Niebezpieczne związki rocka i SF

INDEKS 358398

NOWA Fantastyka

NUMER 5 (116) MAJ 1992 CENA 12 000 ZŁ



Philip K. Dick MODEL NR2

Marek Oramus UKRYTY W GWIAZDACH

Robert A. Heinlein OBCY W OBCYM KRAJU

MAREN

NOWA Fantastyka

NUMER 5 (116) MAJ 1992

Drodzy Czytelnicy!

Mamy chyba zjawisko, fantastyka polska coraz częściej sięga do rzeczywistości. Nowe opowiadania dzieją się w Polsce, bohaterowie noszą swojsko brzmiące nazwiska.

Tak jest na przykład w opowiadaniu Marka Oramusa „Ukryty w gwiazdach". Tak było w „Absolutnym powierniku Alfreda Dyjaka" Marka S. Huberatha („Nowa Fantastyka" nr 3/92), tak będzie w paru tekstach przygotowywanej do druku antologii Wojtka Sedeńki „Czarna msza".

Skąd ten zwrot? Bo już wolno, a to co długo było zakazane, bądź niemożliwe – kusi? Bo rzeczywistość zrobiła się ciekawsza, nieskrępowana, nieokreślona? Bo w Polsce i świecie coś wreszcie od nas zależy? Bo pojawiają się nowe prawdziwe konflikty?... Bo wyczerpała się intelektualna i artystyczna nośność fantastyki kosmicznej, robotycznej, technicznej? ... Nie chcę niczego przesądzać, dlatego z wyprzedzeniem podrzucam ten problem do rozważenia uczestnikom białostockiego Polconu.

W dziale polskim: Oramus, w dziale zagranicznym: Dick! – dwa literackie smoki. Dick na łamach to zawsze święto dla pisma (i dla jego Czytelników). W „Modelu nr 2" znajdziecie Państwo Dicka młodego i w dobrej formie; jestem pewien, że bardzo długo uda mu się Was oszukać. I dobrze, oszustwa literatów zrobione są z innego kruszcu niż na przykład oszustwa polityków i ważą moralnie też zupełnie inaczej.

Na kolorowych stronach odważny wypad „Nowej Fantastyki" na tereny muzyczne, pióra Janka Rutkowskiego, stażysty pisma wystrzelonego do nas z Wydziału Pedagogiki UW. W ciemnych latach komuny traktowaliśmy rocka jako wielkiego sojusznika w walce o obronę wartości, sensu i wyśpiewaniu prawdy („Autobiografię" Hołdysa pamięta każdy). Teraz widać, że rock (i pokrewna mu fantastyka) mogą pójść w inną stronę – za wartościami, ale i przeciw nim można się opowiadać przedstawiając świat dziki, upiorny, że miast na artykulację i budowanie, można postawić na bunt, burzenie, wrzask i destrukcję. Takie manifestacje artystyczne mogą być i bywają poszukiwaniem sensu, ale mogą być też podróżą w zupełnie inną stronę. Mimo to ukazujemy zjawisko, bo rzecz jest kulturowo interesująca i ważna społecznie.

W dziale nauki (paranauki?) ciekawy tekst Mariana Wierzchonia. Fantastyka jak rzekło się wcześniej wypełniła się realiami. Zupełnie jakby tytułem rewanżu Wierzchoń zwraca uwagę na miejsca magiczne, fantastyczne w tzw. rzeczywistym, realistycznym świecie. Gdzież jest więc fantazja, a gdzie rzeczywistość? I tu, i tu – może to jest najprzyjemniejsze w naszych trudnych czasach. Słuchajcie Państwo śpiewu słowików.

Maciej Parowski

Czytelnicy i „Fantastyka"



...3...2...1... po raz pierwszy

...Mam pytanie do Pana Hollanka. Przeczytałem w „Nowej Fantastyce" nr 11/91 Pańską mowę pogrzebową nad SF i fantasy („A jednak coś się złamało"). Czy Pan również (wzorem starych autorów) postawił krzyżyk na fantastyce?! Pyta Pan: „Dokąd to zmierza?" (myślę, że nie jest to pytanie retoryczne, ale – jak i cała „mowa pogrzebowa" – prowokacyjne). Do powtórki z historii. Byli, są i będą groszorobi. Byli, są i będą marzyciele. Tylko proporcje będą się zmieniały. To nieprawda, że fantastyka umiera, to agonia komercfantastyki. Ta prawdziwa żyje w nas, Waszych czytelnikach.

Po pierwszym przeczytaniu „...3...2...1..." miałem wrażenie jakby w następnym miesiącu miano zaprzestać wydawania „Nowej Fantastyki"! Jeśli nawet tak się stanie i znikną z rynku książki w rodzaju „Władcy Pierścieni", „Solaris", „Kataru", „Pana Światła", „Skarbu Stolinów", „Planet śmierci" czy „Conana" to... sami zaczniemy pisać. Takie opowiadania, jakie chcielibyśmy czytać. Że do szuflady? Grafomańskie knoty? Właśnie takie szufladowe SF czy fantasy są duchowo lepsze od komercfantastyki. Bo jeśli ktoś pisze dla siebie, nie na pokaz, to rozwija swoją duszę. A to jest właśnie Sztuka. (Nie jest sztuką napisanie bestsellera, który nie wzbogaca duchowo autora. To po prostu rękodzielnictwo). Aż przyjdzie czas, że pośród tych szufladowych autorów pojawi się „Nowy Zajdel". Bo na pewno za jakiś czas będzie co „kontestować" i od czego uciekać w „krwawe bajki". To, co nas otacza, nigdy nie będzie Rajem...

Piotr Cieślak
Leśmierz



...3...2...1... po raz drugi

...W numerze 12/91 „Nowej Fantastyki" szczególne wrażenie wywarł na mnie felieton pana Adama Hollanka zatytułowany „Fiasko nieśmiertelności". W dwóch wcześniejszych numerach „...3...2...1..." było także chyba najlepszą pozycją. Sądzę jednak, że pan Hollanek popada w straszne dekadencki pesymizm. Wrażenie, jakie wywarło na mnie to grudniowe „...3...2...1..." było dlatego szczególne, że znalazłem w nim moje własne myśli wyrażone przez drugą osobę i to nieporównywalnie lepiej niż ja sam mógłbym je wyrazić. Chciałem przez to powiedzieć, że stan w jakim „znajduję" autora felietonu nie jest mi zupełnie obcy. Uważam jednak, że z takiego stosunku do świata nie wynika i nie może wyniknąć nic dobrego, więc chyba trzeba się przed nim jakoś bronić.

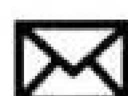
„Człowiek chciałby żyć tak, aby nie umrzeć lub nie całkiem umrzeć". Tak brzmią pierwsze słowa felietonu. No cóż, może wydawać się to śmieszne, ale przecież śmierć jest nieodłączną częścią życia i wydaje mi się, że człowiek „pozbawiony" śmierci byłby istotą okaleczoną, być może nawet przestałby być człowiekiem! Może więc lepiej będzie, jeśli na razie pozostanie tak jak jest. Poza tym proszę tylko spojrzeć na zwykłą trawę – jest wieczna, a umiera przecież co roku!

Nieśmiertelność – czym miałaby być? Istnieniem bez końca? Wszystko ma jakiś początek i koniec. Wiecznym trwaniem bez możliwości jakiejkowiek zmiany? Życie to ruch, a ruch to nieustanna zmiana. (...) Życie jest czymś więcej niż naszym mało znaczącym istnieniem na planecie Ziemi. Życie jest ruchem cząsteczek materii, krążeniem planet wokół słońc, biegiem promienia światła. Życie jest wszystkim, co można spostrzec, wszystkim, co można sobie wyobrazić. Życie jest cudem obejmującym cały wszechświat! Czy nie lepiej być wspaniałą częścią tego cudownego (wiecznego!) zjawiska niż zatruwać sobie najpiękniejsze chwile czarnymi myślami o braku nieśmiertelności? Nieśmiertelności, która jest na dodatek naszym udziałem. Wystarczy tylko umiejętnie spojrzeć.

Nieśmiertelność duszy? Wierzę w nią! I nie zamierzam na poparcie swej wiary przytaczać żadnych dowodów. Przecież nawet ci, którzy zarzekają się wszelkiej wiary, każdego wieczora wierzą (nie wiadomo czemu) w to, że następnego ranka wstaną, a następnego wieczora znów będą się kłaść spać. I wierzą w to, choć na poparcie swej wiary nie mają więcej dowodów niźli ja na poparcie swej w nieśmiertelność duszy. No cóż, jesteśmy skazani na wiarę i na brak dowodów na jej poparcie. Na tym polega właśnie wiara.

Po cóż do spraw nieśmiertelności wciągać sztukę? Sztuka, w pewnym sensie, sama w sobie jest wiecznością. Życie jest sztuką. Myśl zawarta na kartce papieru, na kawałku płótna, czy też na kliszy filmowej nie jest przecież zamknięta swym nośnikiem. Myśl wypełnia przestrzenie, płynie z nieskończoności w nieskończoność, drzemie w nas, budzi się i drży w naszych umysłach. Zadbajmy o to, aby nasze myśli były czyste i dobre, a taki będzie świat, w którym żyjemy! Czy to nie jest prawdziwa rola dla sztuki? Sztuka staje się wartością, gdy człowiek dzięki niej zapomina o upływie czasu, jednoczy się z wiecznością i na chwilę staje się nieśmiertelny. I obojętne czy jest to twórca, czy odbiorca, i nieważne czy jest to jeden człowiek, czy miliony, ważne jest, aby wsłuchując się w bicie własnego serca przez chwilę o nim zapomnieć, aby przez chwilę być nieśmiertelnym! Poza tym wszystko jest mało ważne. To, o czym mamy zapomnieć i tak zapomnimy, a to, o czym mamy pamiętać, choćbyśmy chcieli zapomnieć, to i tak będzie do nas powracało. Jak bumerang.

Leszek Baliński
Sulejów



...3...2...1... po raz trzeci

...Adam Hollanek w grudniowym „...3...2...1..." przedstawił nam katastroficzną wręcz wizję teraźniejszości, z którą nie mogę się zgodzić. Rzadko kiedy słowa pana Hollanka budzą we mnie taki sprzeciw. Najczęściej są dla mnie zupełnie obojętne. Przyznaję się, że czasem jego felietonów wcale nie czytam.

„Fiasko nieśmiertelności" odebrałem jako głos człowieka odchodzącego, niestety. Jest w nim tyle goryczy i pogardy dla wszelkich nowości. Ja natomiast jestem przekonany, że to, co naprawdę dobre zostaje. Szekspir, Gombrowicz, czy Beethoven, ograniczając się do nazwisk, które pan Hollanek wymienił, są nadal popularni w pewnych kręgach i tak było zawsze.

Stare dzieła są wznawiane i cieszą się dużą popularnością (Kafka, Poe i inni). Samo wyrażenie „Lem nie przejdzie do historii" powoduje, że podejrzewam pana Hollanka o tanie chwyty mające na celu wywołanie chóralnego buntu. Strugackich mogą zakrzyczeć ich krajanie, ale w przypadku Lema tak się nie stanie.

Nie wiem, skąd tyle goryczy w tej wypowiedzi. Felieton ów zmusił mnie do przeczytania wcześniejszych, niektórych po raz drugi. I co się okazało? Wszystkie felietony z numerów 100-112 rażą pesymizmem. O czym to świadczy?

Mariusz Leś
Bartoszyce

Fantastyka S-KA Z O.O.

Dyrektor Zarządu: Maciej Makowski

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf.), 25-50-51 (sekretariat, działy: zagr., publicystyki).

Redaguje „Fantastyka" sp. z o.o.: Andrzej Brzezicki (dział graficzny), Dorota Malinowska (dział zagraniczny), Marek Oramus (dział publicystyki), Teresa Pajdzińska (korekta), Maciej Parowski (dział literatury polskiej, redaktor naczelny), Hanna Sosińska-Balcer (dział techniczny), Krzysztof Szolginia (sekretarz redakcji).

Stali współpracownicy: Adam Hollanek, Jacek Inglot, Lech Jęczmyk, Andrzej W. Kaczorowski, Sławomir Kędzierski, Arkadiusz Nakoniecznik, Andrzej Niewiadowski, Jacek Rodek oraz Denuncjator, Karburator, Kunktator, Negocjator, Predator, Sekator i Wibrator.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Wydaje Prószyński i S-ka (Jacek Herman-Iżycki, Mieczysław Prószyński, Zbigniew Sykulski, Tadeusz Winkowski – spółka cywilna)
Adres: 02-569 Warszawa, ul. Różana 34. Komertel/fax (48) 39 12 16 81, tel. 49 87 54.
Skład, druk, oprawa: Drukarnia Prasowa S.A., 90-950 Łódź, Al. Piłsudskiego 82. Zam. 1130/92.
Druk kolorowej wkładki: Zakłady Graficzne Sp. z o.o., 64-920 Piła, ul. Okrzei 5.
Nakład 100 000 egz.

Oddano do składu 24 marca 1992 r.

PL ISSN 0867-132X

INDEKS 358398



Piotr Gierasiński

Philip K. Dick

Model nr 2

(Second variety)

Rosyjski żołnierz nerwowo wspinał się na strome wzgórze z pistoletem gotowym do strzału. Rozglądając się zaciskał wyschnięte usta. Od czasu do czasu odsuwał kołnierz płaszcza i wycierał rękawiczką pot z szyi.

Eryk odwrócił się do kaprala Leone.

– Bierzesz go, czy mogę się nim zająć?

Nastawił widoczność tak, że twarz Rosjanina wypełniła szklany monitor, ukazując twarde, prawie posępne rysy.

Leone zamyślił się. Rosjanin był już blisko. Szedł szybko, prawie biegł.

– Nie strzelaj. Poczekaj – powiedział. – Chyba nie będziemy potrzebni.

Rosjanin przyspieszył jeszcze, wzniecając obłoki popiołu i zapadając się w gruz. Wszedł na szczyt wzgórza, zatrzymał się zdyszany i rozejrzał dookoła. Niebo zasnute było szarymi chmurami. Gdzieniegdzie wystawały gołe pnie drzew. Ziemia była pusta i płaska, pokryta gruzem. Tu i ówdzie sterczały ruiny budynków przypominające pożółkłe szkielety.

Nie czuł się pewnie. Miał wrażenie, że coś jest nie w porządku. Zaczął schodzić ze wzgórza. Teraz był tylko o kilka kroków od bunkra. Zdenerwowany Eryk bawił się swoim pistoletem spoglądając na Leone.

– Nie bój się – powiedział Leone. – Nie dostanie się tu. Zajmą się nim.

– Jesteś pewien? Jest już bardzo blisko.

– Trzymają się niedaleko bunkra. Zaraz znajdzie się w ich zasięgu. Patrz!

Rosjanin przyspieszył. Ześlizgiwał się ze wzgórza. Jego buty zapadały się w kupy szarego popiołu. Próbował utrzymać pistolet w górze. Stanął na chwilę i podniósł do oczu lornetkę.

– Patrzy prosto w naszym kierunku – stwierdził Eryk.

Rosjanin zbliżał się. Widzieli jego oczy, podobne do dwóch niebieskich kamieni. Miał lekko otwarte usta, był nieogolony. Na jednym policzku widać było kwadratowy plaster, spod którego wystawał niebieskawy siniak. Jego płaszcz był zniszczony i brudny. Nie miał jednej rękawiczki. Kiedy biegł, pasek od płaszcza obijał mu się o nogi.

Leone dotknął ramienia Eryka.

– Już się zbliża.

Po ziemi sunął niewielki metalowy przedmiot połyskując w przymglonym świetle słońca. Metalowa kula. Posuwała się po wzgórzu, za Rosjaninem. Była niewielka, jeszcze dziecko. Szczęki miała wystawione na zewnątrz. Dwa sterczące ostrza wirowały tak szybko, że widać było tylko blask jasnej stali. Ro-

sjanin usłyszał jakiś ruch. Natychmiast odwrócił się i strzelił. Kula rozpadła się na kawałki. Ale za chwilę pojawiła się następna. Rosjanin znowu strzelił.

Trzecia kula złapała go za nogę brzęcząc i warkocząc. Wskoczyła mu na ramię, błyszczące ostrza zagłębiły się w gardle Rosjanina.

Eryk odetchnął z ulgą.

– No tak. To by było na tyle. Kiedy patrzę na te cholerne maszyny, skóra mi cierpnie. Czasami żałuję, że w ogóle je wynaleźliśmy.

– Gdyby nie my, zrobiliby to Rosjanie.– Leone nerwowo zapalił papierosa. – Zastanawiam się, jak on doszedł aż tutaj. Nie zauważyłem, żeby ktoś go ochraniał.

W tunelu prowadzącym do bunkra pojawił się porucznik Scott.

– Co się stało? Widać coś na monitorze?

– Rusek.

– Tylko jeden?

Eryk podsunął monitor. Scott spojrzał. Teraz widać było wiele metalowych kul, pełzających po leżącym ciele. Matowe, stalowe maszyny brzęczały, tnąc ciało Rosjanina na małe kawałki.

– Jaka masa szczęk – cicho powiedział Scott.

– Zjawiają się jak muchy. Nie mają już dużo roboty.

Scott odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

– Jak muchy. Zastanawiam się, dlaczego on tu przyszedł. Przecież wiedzą, że wszędzie są szczęki.

Teraz do kul dołączył większy robot. Długa, tępo zakończona rura z wystającymi, szklanymi obiektywami kamer. Zaczął dyrygować całą akcją. Z żołnierza nie pozostało wiele. Resztki stado szczęk zniosło na dół.

– Panie poruczniku – powiedział Leone. – Czy mógłbym wyjść i obejrzeć go?

– Po co?

– Może coś przyniósł.

Scott zastanowił się, wzruszył ramionami. – Dobrze, ale uważaj.

– Mam znaczek. – Leone postukał w metalową opaskę na ręku. – Nic mi nie grozi.

Wziął karabin i ostrożnie wyszedł z bunkra. Przeszedł między blokami betonu i powyginanymi stalowymi konstrukcjami.

Na zewnątrz powietrze było zimne. Podszedł do zwłok rosyjskiego żołnierza zapadając się w miękki popiół. Wiejący wiatr unosił szary pył. Zmrużył oczy i przyspieszył kroku.

Kiedy się zbliżył, szczęki odsunęły się. Niektóre z nich całkiem znieruchomiały. Leone dotknął znaczka. Ten Rusek pewno wiele by dał za coś takiego. Silne promieniowanie emitowane przez znaczek neutralizowało działanie szczęk, rozbrajało je. Nawet duży robot z wystającymi oczami podobnymi do czułków odsunął się z szacunkiem, gdy Leone podszedł bliżej.

Leone pochylił się nad szczątkami żołnierza. Dłoń w rękawiczce była mocno zaciśnięta. Rosjanin musiał coś w niej trzymać. Leone rozchylił zgięte palce. Zobaczył zaplombowane aluminiowe pudełko, wciąż jeszcze błyszczące.

Włożył je do kieszeni i ruszył w kierunku bunkra. Kiedy odszedł, szczęki ożyły i wróciły do przerwanej pracy. Pojawiało się ich coraz więcej. Metalowe kule zbliżały się sunąc stadami po szarym popiele. Słyszał dźwięk ich gąsienic zagłębiających się w miękkiej ziemi. Przeszedł go dreszcz.

Scott spojrzał z zainteresowaniem, kiedy Leone wyjął z kieszeni błyszczące pudełko.

– Miał to przy sobie?

– Trzymał w ręku. – Leone odkręcił wieczko. – Może powinien pan to obejrzeć.

Scott wziął pudełko. Wysypał sobie na dłoń zawartość. Był to mały, starannie złożony kawałek papieru. Scott usiadł blisko światła i rozwinął kartkę.

– Co tam jest napisane? – spytał Eryk. Z tunelu wyszło kilku oficerów. Pojawił się też major Hendricks.

– Majorze – powiedział Scott. – Proszę to zobaczyć.

Hendricks przeczytał kartkę.

– Kiedy to przyszło?

– W tej chwili. To był pojedynczy żołnierz.

– Gdzie on jest? – ostro spytał Hendricks.

– Zaatakowały go szczęki.

Major Hendricks chrząknął.

– Zobaczcie. – Podał kartkę swoim towarzyszom. – Chyba na to właśnie czekaliśmy. Zabrało im trochę czasu podjęcie tej decyzji.

– Więc chcą rozmawiać o warunkach kapitulacji – stwierdził Scott. – Czy podejmiemy rozmowy?

– Decyzja nie należy do nas. – Hendricks usiadł. – Gdzie jest oficer łączności? Chcę się skontaktować z Bazą Księżycową.

Zamyślony Leone patrzył, jak oficer ostrożnie podnosi zewnętrzną antenę sprawdzając, czy na niebie nie widać jakiegoś śladu rosyjskiego statku.

– Majorze – powiedział Scott do Hendricksa – to bardzo dziwne, że tak nagle chcą nawiązać kontakt. Używamy szczęk już prawie od roku, a oni akurat teraz się poddają.

– Może dostały się do ich bunkrów.

– Jeden z dużych robotów, takich z czułkami, wdarł się do ruskiego bunkra w zeszłym tygodniu – powiedział Eryk.

– Zniszczył cały pluton zanim udało im się zamknąć właz.

– Skąd wiesz?

– Kumpel mi powiedział. Ten robot wrócił tu z... z resztkami.

– Baza Księżycowa, panie majorze – przerwał oficer łącznościowy.

Na ekranie pojawił się żołnierz. Jego czysty mundur kontrastował z ubraniami żołnierzy w bunkrze. Był też starannie ogolony.

– Baza Księżycowa. Tu dowództwo jednostki L-Whistle, Terra. Połącz mnie z generałem Thompsonem.

Obraz na ekranie zbladł. Nagle pojawiła się poważna twarz generała Thompsona.

– O co chodzi, majorze?

– Nasze szczęki złapały jednego rosyjskiego żołnierza, który niósł wiadomość. Nie wiemy jak postąpić. Takie podstępy już się zdarzały.

– Jak brzmi wiadomość?

– Rosjanie chcą, żebyśmy wysłali jednego oficera upoważnionego do prowadzenia negocjacji do ich bazy. Chcą zorganizować naradę, ale nie precyzują jej tematu. Piszą, że chodzi o – spojrzał na kartkę – chodzi o poważne, nagłe wydarzenia, które decydują o konieczności rozpoczęcia rozmów między reprezentantem Narodów Zjednoczonych a ich dowódcami.

Podniósł kartkę z wiadomością do ekranu tak, żeby generał mógł ją obejrzeć. Thompson szybko przeczytał tekst.

– Co powinniśmy zrobić? – spytał Hendricks.

– Wyślijcie kogoś.

– To może być podstęp.

– Może, ale lokalizacja ich bazy, którą tu podają, jest właściwa. W każdym razie warto spróbować.

– Wyślę jakiegoś oficera. Zdam raport o wyniku jego misji, gdy tylko wróci.

– W porządku, majorze.– Thompson przerwał połączenie. Obraz na ekranie znikł. Antena powoli się schowała.

Hendricks w zamyśleniu zwinął kartkę, którą wciąż trzymał w ręku.

– Ja pójdę – powiedział Leone.

– Chcą kogoś upoważnionego do prowadzenia negocjacji.– Hendricks potarł policzek. – Negocjacje. Nie byłem na zewnątrz od miesięcy. Może powinienem odetchnąć trochę świeżym powietrzem.

– To może być niebezpieczne.

Hendricks ustawił monitor i wyjrzał na zewnątrz. Szczątki Rosjanina już zniknęły. Widać było tylko jedne szczęki. Zakopywały się właśnie w popiele jak jakiś ogromny, metalowy krab...

– To jedyne, co mnie powstrzymuje. – Hendricks potarł nadgarstek. – Wiem, że jak długo mam to ze sobą, nic mi nie grozi. Ale jest w nich coś podejrzanego. Nienawidzę tych cholernych maszynek. Żałuję, że w ogóle je wynaleźliśmy. Czuję w nich jakieś niebezpieczeństwo. Są niezmordowane...

– Gdybyśmy my ich nie wynaleźli, zrobiliby to Ruscy.

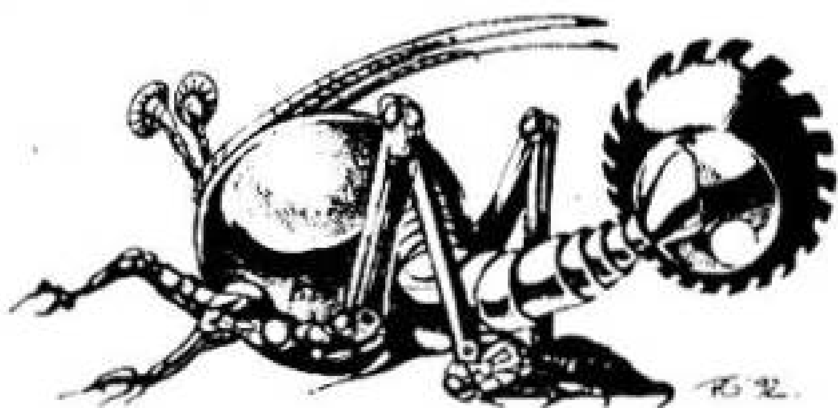
Hendricks odwrócił wzrok.

– W każdym razie dzięki nim chyba wygramy wojnę. W sumie to dobrze.

– Wygląda, jakbyś się ich bał nie mniej niż Ruscy.

Hendricks spojrzał na swój zegarek.

– Chyba powinienem już wyruszyć. Chcę tam dotrzeć przed zapadnięciem zmroku.



Wziął głęboki oddech i wyszedł na szarą, pokrytą gruzem ziemię. Po chwili zapalił papierosa i stanął rozglądając się wokół siebie. Okolica sprawiała wrażenie zupełnie martwej. Nie widać było żadnego ruchu. Aż po horyzont tylko popiół i ruiny budynków. Kilka drzew bez liści i gałęzi, właściwie same pnie. Nad jego głową kłębiły się szare chmury dryfujące między Terrą a Słońcem.

Major Hendricks szedł dalej. Po prawej stronie coś się poruszyło, coś okrągłego i metalowego. Małe szczęki zaczęły gonić jakieś niewielkie zwierzę, może szczura. One polują też na szczury. Traktują je jak substytut.

Doszedł do szczytu niewysokiego wzgórza i podniósł do oczu lornetkę. Oddziały Rosjan stacjonowały kilka mil dalej. Mieli tam swoją bazę. Żołnierz przyszedł właśnie stamtąd.

Minął go niski, przysadzisty robot, czułki zafalowały pytająco. Hendricks patrzył, jak znika w jakimś rumowisku. Nigdy przedtem nie widział tego modelu. Było ich coraz więcej, nowe typy, rozmiary i formy produkowane w podziemnych fabrykach.

Hendricks wyjął papierosa i przyśpieszył. Ciekawe było to użycie form sztucznej inteligencji do prowadzenia wojny. Jak to się zaczęło? Wymagała tego sytuacja. Początkowo Związek Radziecki odniósł znaczny sukces, normalny dla strony, która rozpoczyna wojnę. Większość Ameryki Północnej została starta z mapy. Oczywiście natychmiast podjęto działania odwetowe. Już wiele lat przedtem, zanim zaczęła się wojna, niebo pełne było krążących rakiet. Gdy tylko Waszyngton dowiedział się o ataku, zostały one natychmiast skierowane na Rosję.

Niewiele to jednak pomogło.

Już w pierwszym roku wojny rząd amerykański przeniósł się do Bazy Księżycowej. Nie miał zresztą wyboru. Europa nie istniała. Tylko góry kamieni i chwasty wyrastające z popiołów i kości. Większość Ameryki Północnej też nie nadawała się do życia ani dla roślin, ani dla zwierząt czy człowieka. Kilka milionów ludzi przeniosło się do Kanady i Ameryki Południowej. Jednak w czasie drugiego roku wojny Rosjanie zaczęli zrzucać swoich spadochroniarzy, najpierw pojedynczo, potem w coraz większych grupach. Mieli oni pierwszy naprawdę skuteczny sprzęt chroniący przed promieniowaniem. To, co pozostało z amerykańskiego przemysłu, przeniosło się na Księżyc razem z rządem.

Zostało tylko wojsko. Oddziały ukrywające się gdzie popadło. Porozrzucane, kilka tysięcy tu, jakiś pluton tam. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie się znajdują. Przemieszczali się w nocy, pochowani w ruinach, kanałach, piwnicach, razem ze szczurami i wężami. Wszystko wskazywało na to, że Rosjanie wygrają wojnę. Oprócz paru pocisków wystrzeliwanych codziennie z Księżyca nie było przeciwko nim żadnej skutecznej broni. Przychodzili i odchodzili, kiedy tylko mieli ochotę. Wojna była praktycznie zakończona. Nic nie mogło się oprzeć Rosjanom.

I wtedy pojawiły się pierwsze szczęki. W ciągu jednej nocy sytuacja na froncie zmieniła się.

Początkowo szczęki nie były zbyt zręczne. Działały powoli. Ruscy trafiali je, gdy tylko pojawiały się na powierzchni. Ale z czasem zostały ulepszone, były coraz szybsze i sprytniejsze. Zaczęły je produkować wszystkie fabryki Terry. Fabryki umieszczone głęboko pod ziemią, te same, które kiedyś produkowały pociski atomowe, dziś już prawie zapomniane.

Szczęki stawały się szybsze, a z czasem też i większe. Pojawiały się nowe typy, niektóre wyposażone w czujniki, inne fruwające. Było kilka modeli skaczących. Najlepsi inżynierowie na Księżycu opracowywali nowe projekty, coraz bardziej skomplikowane. Stały się prawie nieuchwytne i Ruscy mieli z nimi masę kłopotu. Niektóre małe szczęki nauczyły się ukrywać, zakopując w popiele i czekając na zdobycz.

Zaczęły też dostawać się do rosyjskich bunkrów, wślizgując się, gdy włazy były otwarte. Jedne szczęki wewnątrz bunkra, wirująca kula najeżona metalowymi ostrzami – to wystarczało. Kiedy pierwsze dostały się do środka, zaraz zjawiały się następne. Przy użyciu takiej broni wojna nie mogła trwać długo.

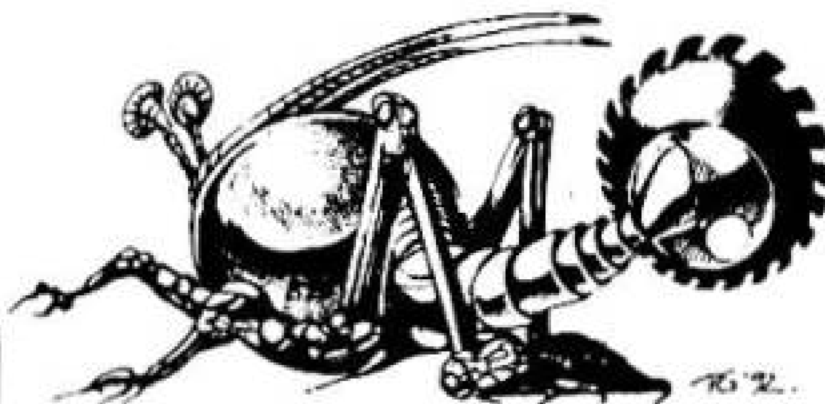
Może właśnie się skończyła.

Może właśnie taką wiadomość usłyszy. Może Politbiuro zdecydowało się poddać. Szkoda, że trzeba było na to czekać tak długo. Sześć lat. To długo, jak na taką wojnę. Setki tysięcy automatycznych rakiet odwetowych, wypuszczanych w kierunku Rosji. Broń bakteriologiczna. Radzieckie pociski sterowane, z gwizdem przecinające powietrze. Jeden po drugim. A teraz to, roboty, szczęki...

Szczęki nie były podobne do innej broni. One żyły, jakkolwiek na to patrzeć. Niezależnie od tego, czy rząd chciał się z tym zgodzić, czy nie. One nie były normalnymi maszynami. Były żywymi istotami, poruszały się, pełzały, otrząsały się nagle z szarego popiołu i rzucały na człowieka, wspinając się tak, żeby dosięgnąć jego gardła. Po to zostały wynalezione. To było ich zadanie.

I wykonywały je dobrze. Szczególnie ostatnio, kiedy pojawiły się nowe modele. Umiały już same się naprawiać. Działały na własny rachunek. Wojska Narodów Zjednoczonych chroniły specjalne znaczki, ale jeżeli ktoś swój zgubił, stawał się potencjalną ofiarą szczęk, niezależnie od munduru, jaki nosił. Gdzieś, pod powierzchnią ziemi, zautomatyzowane maszyny potrafiły je opanować. Ludzie nie zajmowali się tym. Niebezpieczeństwo było zbyt duże, nikt nie chciał przebywać w ich pobliżu. Zostały pozostawione samym sobie. I zdaje się, że całkiem nieźle sobie radziły. Nowe typy były szybsze, bardziej skomplikowane. Wydajniejsze.

Najwyraźniej wygrywały wojnę.



Major Hendricks zapalił drugiego papierosa. Ten krajobraz przytłaczał go. Nic, tylko popiół i ruiny. Wydawało mu się, że był sam, jedyna żyjąca istota na całym świecie.

PHILIP K. DICK

Autor, którego nie trzeba przedstawiać czytelnikom „Nowej Fantastyki". Opowiadanie „Model nr 2" wydrukowane zostało po raz pierwszy w 1953 r. W 1987 r. weszło w skład tomu opowiadań, któremu też posłużyło tytułem. Dick łączy w nim swoje dwa ulubione tematy. Pierwszy to problem, kto jest człowiekiem, a kto jedynie wydaje się nim być. Pisarz uważał, że dopóki nie odpowiemy na to pytanie, nie możemy być pewni nawet swojej własnej tożsamości. Drugi to konflikt między człowiekiem a stworzoną przez niego maszyną. Temat poruszający twórców równie mocno, kiedy SF powstawała, jak i dziś. Klasyczne opowiadanie Dicka mogło przecież dać pomysł twórcom „Terminatora". Jedynie jego wymowa jest bardziej pesymistyczne.

D.M.

Piotr Gierasiński

Na prawo wznosiły się ruiny miasta. Kilka ścian i kupy gruzu. Rzucił zgaszoną zapałkę, przyspieszając kroku. Nagle zatrzymał się, podniósł pistolet, jego ciało zesztywniało. Przez chwilę wydawało mu się...

Zza szkieletu zrujnowanego budynku wyszła jakaś postać i powoli, trochę niepewnie, zbliżała się w jego kierunku.

Hendricks zmrużył oczy.

– Stać!

Chłopiec zatrzymał się. Hendricks opuścił pistolet. Chłopiec stał patrząc na niego w milczeniu. Był mały. Jeszcze dziecko. Mógł mieć osiem lat. Trudno było to stwierdzić na pewno. Większość dzieci, które przeżyły, wydawała się opóźniona w rozwoju. Chłopiec miał na sobie wyblakły niebieski sweter, cały zakurzony i krótkie spodnie. Jego włosy były długie i matowe. Spadały mu na twarz i uszy. Trzymał coś w ręku.

– Co tam trzymasz? – ostro spytał Hendricks.

Chłopiec wyciągnął rękę. Była to zabawka, miś. Pluszowy miś. Oczy chłopca wydawały się bardzo duże, ale bez wyrazu.



Hendricks odprężył się.

– Nie chcę twojego misia. Trzymaj go.

Chłopiec znowu przytulił misia.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał Hendricks.

– Tam.

– W ruinach?

– Tak.

– Pod ziemią?

– Tak.

– Ilu was tam jest?

– Jak to ilu?

– Ilu was jest? Jak duży jest wasz oddział?

Chłopiec nie odpowiedział.

Hendricks zmarszczył brwi.

– Jesteś całkiem sam?

Chłopiec przytaknął.

– Jak ci się udało przeżyć?

– Jest jedzenie.

– Jakie jedzenie?

– Różne.

Hendricks przyjrzał się chłopcu.

– Ile masz lat?

– Trzynaście.

To było nieprawdopodobne. A może? Chłopiec był chudy. Przez lata narażony na promieniowanie. Nic dziwnego, że wydawał się taki mały. Jego ręce i nogi przypominały patyki, cienkie i suche. Hendricks dotknął dłoni chłopca. Skóra była sucha i szorstka; napromieniowana. Spojrzał w dół, na jego twarz. Zupełnie bez wyrazu. Duże oczy, duże i ciemne.

– Czy jesteś niewidomy? – spytał Hendricks.

– Nie. Trochę widzę.

– Jak się chronisz przed szczękami?

– Szczękami?

– Takie okrągłe maszynki. Szybko biegają i brzęczą.

– Nie rozumiem.

Może w okolicy nie było żadnych szczęk. Do wielu miejsc jeszcze nie dotarły. Zbierały się na ogół wokół bunkrów, tam gdzie byli ludzie. Były zaprojektowane w ten sposób, żeby wyczuwać ciepło,ciepło żywych istot.

– Masz szczęście. – Hendricks wyprostował się. – No dobrze. Gdzie idziesz? Wracasz tam?

– Czy mogę pójść z tobą?

– Ze mną? – Hendricks skrzyżował ramiona. – Ja idę daleko. Muszę się spieszyć. – Spojrzał na zegarek. – Muszę tam dojść, zanim się ściemni.

– Też chcę pójść.

Hendricks pogrzebał w plecaku.

– To nie ma sensu. Masz. – Rzucił puszki z jedzeniem, które miał ze sobą. – Weź to i wracaj do siebie. Dobrze?

Chłopiec nie odpowiedział.

– Będę tędy wracał. Za dzień lub dwa. Jeżeli będziesz gdzieś w okolicy, zabiorę cię ze sobą. W porządku?

– Chcę pójść z tobą teraz.

– To daleka droga.

– Mogę iść.

Hendricks poruszył się niespokojnie. Dwie osoby razem stanowiły świetny cel. Poza tym chłopiec będzie opóźniał marsz. Ale z drugiej strony może nie spotka go już wracając. A jeżeli rzeczywiście był całkiem sam...

– Dobrze, chodź.

Stanął obok niego. Hendricks ruszył szybko przed siebie. Chłopiec szedł cicho, trzymając swojego misia.

– Jak masz na imię? – Odezwał się Hendricks po jakimś czasie.

– David Edward Derring.

– David? A co...: co się stało z twoimi rodzicami?

– Umarli.

– W jaki sposób?

– W czasie wybuchu.

– Dawno?

– Sześć lat temu.

Hendricks przystanął.

– Byłeś sam przez sześć lat?

– Nie. Byli jeszcze inni ludzie. Ale potem odeszli.

– I zostałeś sam?

– Tak.

Hendricks spojrzał na chłopca. Był jakiś dziwny, małomówny. Zamknięty w sobie. Ale takie właśnie były dzieci, które przeżyły. Ciche. Spokojne. Jakby przytłoczone jakimś dziwnym pesymizmem. Nic nie było w stanie ich zaskoczyć. Akceptowały wszystko, co los im przynosił. Nie było już żadnego normalnego, naturalnego porządku rzeczy, moralnego czy fizycznego, na którym mogłyby polegać. Obyczaje, przyzwyczaje-

nia, wszystko, czego ich uczono, znikło. Pozostały tylko okrutne doświadczenia.

– Czy idę za szybko?

– Nie.

– Jak mnie zauważyłeś?

– Czekałem.

– Czekałeś? – Hendricks był zaskoczony. – Na co czekałeś?

– Czekałem, żeby coś złapać.

– Co złapać?

– Coś do jedzenia.

– Aaa. – Hendricks przygryzł wargi. Trzynastoletni chłopiec, żywiący się szczurami i na wpół zepsutymi konserwami. Żyjący w jakiejś jamie, w ruinach miasta. Na radioaktywnym terenie wśród szczęk i pikujących rosyjskich bomb, krążących po niebie.

– Gdzie idziemy? – spytał David.

– Do rosyjskiej bazy.

– Rosyjskiej?

– Do wrogów. Tych, którzy zaczęli wojnę. To oni zrzucili pierwsze pociski radioaktywne. Oni to wszystko zaczęli.

Chłopiec pokiwał głową. Jego twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

– Ja jestem Amerykaninem – powiedział Hendricks.

Żadnego komentarza. Szli tak we dwóch. Hendricks nieco z przodu, David tuż za nim, trzymając w objęciach brudnego pluszowego misia.

Około czwartej po południu zatrzymali się , żeby coś zjeść. Hendricks rozpalił ogień w małym dołku między kawałkami betonu. Wyrwał rosnące tam chwasty i pozbierał na małą kupkę kawałki drewna. Oddziały rosyjskie były już niedaleko. Znajdowali się w miejscu, które kiedyś było długą doliną, pełną drzew owocowych i winorośli. Nie pozostało z tego nic, oprócz paru gołych pni i gór ciągnących się w dali na horyzoncie. Wiatr unosił chmury pyłu, który pokrywał wszystko. Rosnące chwasty, pozostałości budynków, ściany stojące tu i ówdzie, resztki dawnej drogi.

Hendricks zrobił kawę, podgrzał gotowaną baraninę i chleb.

– Proszę. – Podał chleb i mięso Davidowi. Chłopiec siedział skulony przy ogniu. Wyraźnie widać było jego białe, kościste kolana. Obejrzał uważnie jedzenie i oddał je z powrotem, potrząsając głową.

– Nie.

– Nie? Nie chcesz?

– Nie.

Hendricks wzruszył ramionami. Może chłopiec był jakimś mutantem, przyzwyczajonym do specjalnego jedzenia. Trudno. Jak będzie głodny, znajdzie sobie pożywienie. Dziwny był ten David. Ale na świecie zdarzało się tyle dziwnych rzeczy. Życie nie było już takie jak dawniej. I już nigdy nie będzie. Ludzie muszą zdać sobie z tego sprawę.

– Jak chcesz – powiedział Hendricks. Sam zjadł chleb i baraninę, popijając kawą. Jadł powoli, z trudem przełykał jedzenie. Kiedy skończył, wstał i zadeptał ogień.

David podniósł się powoli, patrząc na niego swoimi oczami starego dziecka.

– Idziemy – stwierdził Hendricks.

– Dobrze.

Hendricks szedł trzymając w ręku pistolet. Byli już blisko; czuł napięcie, gotowy na wszystko. Rosjanie powinni kogoś oczekiwać, ale jeżeli krył się w tym jakiś podstęp... Łatwo mógł wpaść. Uważnie obserwował okolicę. Nic tylko gruz, popiół, jakieś wzgórza, wypalone pnie. Betonowe ściany. Ale gdzieś tu znajdował się pierwszy rosyjski bunkier. Ukryty głęboko pod ziemią. Na powierzchni można było dostrzec tylko peryskop, kilka karabinowych luf, może antenę.

– Czy szybko tam dojdziemy? – spytał David.

– Tak. Jesteś zmęczony?

– Nie.

– To dlaczego pytasz?

David nie odpowiedział. Szedł, z trudem torując sobie drogę w popiele. Jego nogi i buty były brudne od pyłu. Twarz ściągnięta, pokryta smugami szarego kurzu, które odcinały się od białej skóry. Nie miał rumieńców. Typowe dla dzieci wychowywanych w piwnicach, kanałach i podziemnych schronach.

Hendricks zwolnił. Podniósł do oczu lornetkę i starannie obserwował teren przed sobą. Czy byli tam gdzieś, czekając na niego? Obserwując go tak, jak jego ludzie obserwowali rosyjskiego żołnierza? Przeszedł go dreszcz. Może już trzymali pistolety, gotowi do strzału, zdecydowani zabijać tak jak i jego ludzie.

Hendricks zatrzymał się, otarł pot z twarzy.

– Cholera.

Czuł się niepewnie. Ale przecież powinni go oczekiwać. Jego sytuacja była inna.

Szedł zapadając się w popiół, pistolet trzymał mocno dwiema rękami. Za nim szedł David. Hendricks w skupieniu rozglądał się wokół. To mogło stać się w każdej chwili. Biały błysk, strzał, starannie wycelowany z głęboko ukrytego, betonowego bunkra.

Podniósł rękę i zamachał.

Nic się nie poruszyło. Po prawej stronie widział pasmo wzgórz i suche pnie drzew. Na tych pozostałościach wyrosło kilka dzikich pędów winorośli. I, jak zwykle, chwasty. Hendricks obserwował wzgórza. Czy coś się tam kryło? Było to idealne miejsce na punkt obserwacyjny. Podszedł ostrożnie, David postępował tuż za nim. Gdyby to była jego baza, tu postawiłby wartownika, wypatrującego nieprzyjaciela i badającego okolicę. Oczywiście wokół jego bazy byłaby masa szczęk zapewniających pełną ochronę.

Stanął na rozstawionych nogach, z rękoma na biodrach.

– Czy to tu? – spytał David.

– Prawie.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Nie chcę niepotrzebnie ryzykować. – Hendricks powoli posuwał się do przodu. Teraz wzgórza znajdowały się tuż obok, po jego prawej stronie. Jeżeli tam, na górze stał jakiś Rusek, nie miał żadnych szans. Znowu pomachał ręką. Powinni oczekiwać kogoś w mundurze Narodów Zjednoczonych z odpowiedzią na ich wiadomość. Pod warunkiem, że nie był to podstęp.

– Trzymaj się mnie. – Odwrócił się do Davida. – Nie zostawaj z tyłu.

– Ciebie?

– No, blisko mnie. To już niedaleko. Nie możemy ryzykować. Chodź.

– Poradzę sobie. – David szedł z tyłu, kilka kroków za nim. Wciąż trzymając swojego pluszowego misia.

– Rób, jak chcesz. – Hendricks znowu podniósł do oczu lornetkę, nagle skupiony. Przez moment... Czyżby coś się poruszyło? Uważnie obserwował wzgórza. Wokół panował spokój. Martwa cisza. Żadnych śladów życia, tylko pnie drzew i popiół. Może kilka szczurów. Dużych, czarnych szczurów, które umknęły szczękom. Mutantów, budujących nory z popiołu pomieszanego ze śliną. Adaptacja do warunków. Znów ruszył do przodu.

Na szczycie wzgórza pojawiła się wysoka postać w powiewającym płaszczu. Szarozielonym. Rosjanin. Za nim zjawił się drugi żołnierz, też Rosjanin. Podnieśli pistolety, wycelowali.

Hendricks zamarł. Otworzył usta. Żołnierze klęczeli, patrząc w dół zbocza. Dołączyła do nich trzecia postać, mniejsza, też w szarym mundurze. Kobieta. Stanęła tuż za nimi.

Hendricks odzyskał głos.

– Nie! – Zaczął machać nerwowo. – Jestem...

Rosjanie wystrzelili. Hendricks usłyszał za plecami słaby trzask. Uderzyła w niego fala gorącego powietrza, rzucając go na ziemię. Popiół przysypał mu twarz, wciskając się do oczu i nosa. Krztusząc się, podciągnął się na kolana. Jednak był to podstęp. Nie miał szans. Przyszedł tu, żeby dać się zabić jak bezbronna ofiara. Żołnierze i kobieta schodzili w dół zbocza w jego kierunku, ślizgając się w miękkim popiele. Hendricks był jak sparaliżowany. W głowie czuł pulsowanie. Niepewnie podniósł broń i wycelował. Miał wrażenie, jakby jego pistolet ważył tonę, z trudem mógł go utrzymać. Paliły go policzki. W powietrzu czuć było zapach wystrzału, gorzki, cierpki swąd.

– Nie strzelaj – krzyknął jeden z Rosjan. Mówił po angielsku z silnym akcentem.

Wszyscy troje podeszli do niego. Stanęli wokół.

– Opuść broń, Jankesie – powiedział drugi.

Hendricks był zaskoczony. Wszystko to stało się tak szybko. Złapali go. Zastrzelili chłopca. Odwrócił głowę. David zniknął. To, co z niego zostało, leżało rozrzucone na ziemi.

Rosjanie patrzyli na niego zaciekawieni. Hendricks usiadł,

otarł krew z nosa, strząsając popiół. Potrząsnął głową, próbując się otrzepać.

– Dlaczego to zrobiliście? – wyszeptał z trudem. – Chłopiec?

– Dlaczego? – Jeden z żołnierzy pomógł mu się podnieść i odwrócił go. – Spójrz.

Hendricks zamknął oczy.

– Spójrz! – Dwóch Rosjan popchnęło go do przodu. – Zobacz. Pospiesz się. Zaraz będzie za późno!

Hendricks spojrzał. Poczuł, że brakuje mu tchu.

– Widzisz? Teraz rozumiesz?

Resztki Davida. Kręcące się metalowe kółka. Błyszczący metal. Części, przewody. Jeden z Rosjan kopnął tę kupę żelastwa. Części rozsypały się, potoczyły w różnych kierunkach, kółka, sprężyny, drążki. Plastykowa powłoka spadła, na wpół zwęglona. Hendricks pochylił się drżąc. Odpadł przód głowy. Mógł teraz dostrzec skomplikowany mózg, przewody i złącza, małe rurki i przełączniki, tysiące drobnych fragmentów...

– Robot – powiedział żołnierz trzymający broń. – Obserwowaliśmy, jak szedł za tobą.

– Szedł za mną?

– To ich metoda. Idą za tobą aż do bunkra. W ten sposób dostają się do środka.

Hendricks zamrugał oczami, oniemiały.

– Ale...

– Chodź. – Poprowadzili go w kierunku wzgórza. – Nie możemy tu zostać. To niebezpieczne. W okolicy jest ich pełno.

Wszyscy troje pomogli mu się wspiąć na zbocze, ślizgając się i zapadając w piasku. Kobieta weszła pierwsza i czekała na nich na szczycie wzgórza.

– Najbardziej wysunięta baza – wyszeptał Hendricks. – Przyszedłem tu, żeby negocjować z Rosjanami...

– Nie ma już bazy. Dostały się do środka. Wytłumaczymy ci to. – Osiągnęli wreszcie szczyt. – Zostaliśmy tylko my. We trójkę. Inni byli na dole, w bunkrze.

– Tędy. Tędy w dół. – Kobieta odkręciła klapę, szarą pokrywę umieszczoną w ziemi. – Wchodźcie.

Hendricks zszedł w dół po drabinie, za nim kobieta i żołnierze. Położyli klapę na miejscu, starannie ją przykręcając.

– Dobrze, że cię zauważyliśmy – mruknął jeden z żołnierzy. – Prawie mu się udało dojść za tobą aż tutaj.

– Daj mi papierosa – powiedziała kobieta. – Już od tygodni nie miałam w ustach amerykańskiego papierosa.

Hendricks podał jej otwartą paczkę. Wzięła papierosa i podała paczkę dwóm żołnierzom. W rogu małego pokoju stała lampa, paląc się nierównym płomieniem. Pokój był ciasny i niski. Siedzieli we czwórkę wokół małego drewnianego stołu. Z boku stało kilka brudnych naczyń. Za wystrzępioną zasłoną widać było kawałek drugiego pokoju. Hendricks zauważył fragment kapy, jakieś prześcieradła, ubrania powieszone na kołku.

– Byliśmy tu – powiedział żołnierz siedzący obok niego. Zdjął hełm, odgarnął z czoła jasne włosy. – Jestem kapral Rudi Maxer. Polak. Powołany do Armii Radzieckiej dwa lata temu. – Wyciągnął rękę.

Hendricks zawahał się, potem uścisnął podaną dłoń. – Major Joseph Hendricks.

– Klaus Epstein – przedstawił się drugi żołnierz, niewysoki mężczyzna z ciemnymi, rzednącymi włosami. Nerwowo szarpał koniec ucha. – Austriak. Powołany Bóg wie kiedy. Już nie pamiętam. Byliśmy tu we trójkę, Rudi, ja i Tasso. – Wskazał kobietę. – Udało nam się przeżyć. Wszyscy inni byli w bunkrze.

– I... I one się tam dostały?

Epstein zapalił papierosa.

– Najpierw tylko jeden. Podobny do tego, który szedł z tobą. On wpuścił inne.

Hendricks zaniepokoił się.

– Podobny? Czy jest więcej rodzajów?

– Mały chłopiec. David. David trzymający pluszowego misia. To model nr 3. Najskuteczniejszy.

– Jakie są inne modele?

Epstein sięgnął do kieszeni płaszcza.

– Masz – położył na stole plik zdjęć, przewiązanych sznurkiem. – Sam zobacz.

Hendricks rozwiązał sznurek.

– Widzisz – powiedział Rudi Maxer. – To dlatego chcieliśmy negocjować. To znaczy Rosjanie. Odkryliśmy to jakiś tydzień temu. Okazało się, że wasze szczęki zaczęły same wymyślać nowe modele. Nowe, coraz lepsze typy podobnych do nich robotów. Gdzieś w podziemnych fabrykach. Skonstruowaliście je tak, żeby same się produkowały i naprawiały. Tworzyliście coraz bardziej skomplikowane wersje. To wasza wina.

Hendricks obejrzał zdjęcia. Były robione w pośpiechu. Niewyraźne i zamazane. Pierwsze ukazywały Davida. David idący drogą, sam. Jeden David i drugi David. Trzech Davidów. Wszyscy identyczni. Każdy ze starym pluszowym misiem. Każdy tak samo wzruszający.

– Obejrzyj resztę – powiedziała Tasso.

Następne zdjęcia, robione z dużej odległości, ukazywały rannego żołnierza siedzącego przy ścieżce, z ręką na temblaku, z wyciągniętą przed siebie sztuczną nogą i byle jak skleconymi kulami na kolanach. Potem dwóch żołnierzy, identycznych, stojących obok siebie.

– To jest model nr 1. Ranny żołnierz. – Klaus sięgnął po zdjęcia. – Widzisz, zadaniem szczęk było zbliżanie się do ludzi, znajdowanie ich. Każdy kolejny typ okazywał się lepszy niż poprzedni. Dochodziły coraz bliżej i bliżej, trudno było je pokonać, dostawały się do naszych baz. Ale póki były to zwykłe maszyny, metalowe kule ze szczękami i czujnikami, bez trudu mogliśmy je rozpoznać, jak każdy inny przedmiot. Na pierwszy rzut oka identyfikowaliśmy je jako śmiercionośne roboty.

– Model nr 1 wykończył całe nasze północne skrzydło – powiedział Rudi. – Dużo czasu minęło, zanim ktokolwiek zrozumiał, o co chodzi. Wtedy było już za późno. Ranni żołnierze przychodzili, pukali i prosili, żeby ich wpuścić. Więc wpuszczaliśmy ich. Kiedy tylko znajdowali się w środku, natychmiast zaczynali działać. Obawialiśmy się maszyn...

– Wtedy sądzono, że istnieje tylko jeden typ – mówił Klaus Epstein. – Nikt nie podejrzewał, że mogą istnieć inne. Rozdano nam zdjęcia. Wysłany do was posłaniec wiedział tylko o tym jednym rodzaju. O modelu nr 1. Nazwaliśmy go Ranny Żołnierz. Myśleliśmy, że to wszystko.

– Wasza baza została pokonana przez...

– Przez model nr 3. David z misiem. Był nawet skuteczniejszy. – Klaus gorzko się uśmiechnął. Żołnierze lubią dzieci. Wpuszczaliśmy je do środka i próbowaliśmy karmić. Ciężko było zgadnąć, że to podstęp. W każdym razie ci, którzy byli w bunkrze, nie zgadli.

– My mieliśmy szczęście – stwierdził Rudi. – Klaus i ja byliśmy... Odwiedzaliśmy Tasso, kiedy to się stało. To jej mieszkanie. – Pokazał ręką dookoła. – Ta piwniczka. Skończyliśmy i weszliśmy po drabinie, żeby już wracać. Ze szczytu wzgórza zobaczyliśmy, że są wszędzie wokół bunkra. Walka trwała. Wszędzie Davidy z misiami, całe setki. Klaus zrobił zdjęcia.

Klaus złożył leżące fotografie.

– I tak jest wszędzie w waszych bazach? – spytał Hendricks.

– Tak.

– A co będzie z nami? – Bezmyślnie dotknął znaczka na nadgarstku. – Czy one...

– Wasze znaczki nie przeszkadzają im. Rosjanin, Amerykanin, Polak, Niemiec, to dla nich wszystko jedno. Robią to, do czego zostały stworzone. Spełniają swoje zadanie. Niszczą życie, gdziekolwiek je znajdą.

– Są wrażliwe na ciepło – powiedział Klaus. – Tak je skonstruowaliście od samego początku. Oczywiście modele, które wyście projektowali, przestawały działać pod wpływem radioaktywnych znaczków, jakie nosiliście. Teraz przezwyciężyły już i tę trudność. Nowe typy są skuteczniejsze.

– A jaki jest ten ostatni typ? Spytał Hendricks. – David, Ranny Żołnierz i...?

– Nie wiemy – Klaus wskazał na ścianę. Wisiały tam dwie metalowe tabliczki porysowane na brzegach. Hendricks wstał i obejrzał je. Były pogięte i wyszczerbione.

– Ta po lewej stronie jest z Rannego Żołnierza – powiedział Rudi. – Zniszczyliśmy jednego. Szedł w kierunku naszego starego bunkra. Strzeliliśmy do niego ze wzgórza tak jak do Davida, który był z tobą.

Na tabliczce wyciśnięte było M-1. Hendricks dotknął drugiej.

– A ta jest z Davida?

– Tak. – Na tabliczce można było przeczytać: M-3. Klaus

spojrzał na ścianę, położył rękę na szerokim ramieniu Hendricksa.

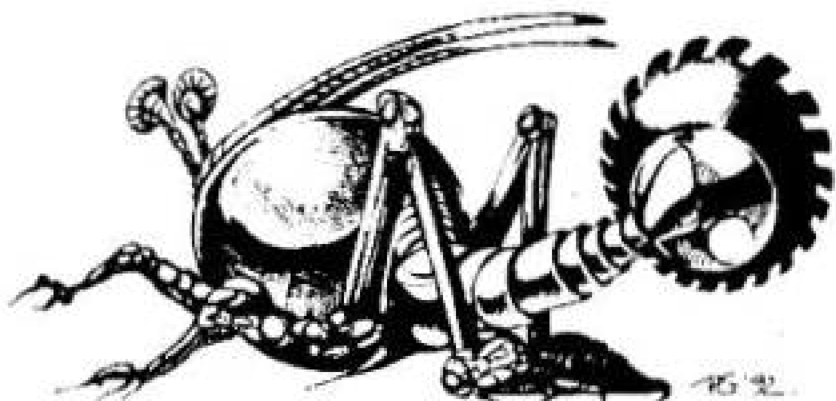
– Rozumiesz, jak wygląda nasza sytuacja. Istnieje gdzieś model nr 2. Tak jak istnieje nr 1 i nr 3.

– Miałeś szczęście – stwierdził Rudi. – David szedł z tobą całą drogę, i nawet cię nie dotknął. Może myślał, że doprowadzisz go do jakiegoś bunkra.

– Kiedy jeden dostanie się do środka, to już koniec – powiedział Klaus. – Są szybkie. Pierwszy wpuszcza resztę. Działają idealnie. Maszyny stworzone w jednym celu. Nic innego je nie interesuje. – Otarł pot z twarzy. – Widzieliśmy to.

Zapanowała cisza.

– Daj mi jeszcze jednego papierosa – powiedziała Tasso. – Są dobre. Już prawie zapomniałam jak smakują.



Zapadła noc. Niebo było całkiem czarne. Przez chmury popiołu nie można było zobaczyć ani jednej gwiazdy. Klaus ostrożnie podniósł klapę tak, żeby Hendricks mógł się rozejrzeć.

Rudi pokazał coś w ciemnościach.

– Tam są bunkry, w których kiedyś mieszkaliśmy. Mniej niż pół mili stąd. To był czysty przypadek, że Klaus i ja nie siedzieliśmy tam, kiedy to się stało. Słabość. Ocaleni przez swoje żądze.

– Wszyscy inni zginęli – powiedział Klaus cicho. – To stało się tak szybko. Tamtego ranka Politbiuro podjęło decyzję. Powiadomili nas o tym. Natychmiast wysłano wiadomość. Widzieliśmy, jak posłaniec rusza w kierunku waszych bunkrów. Chroniliśmy go, dokąd nie zniknął nam z oczu.

– Alex Radriwski. Znaliśmy go obaj. Zniknął około szóstej. Chwilę po wschodzie słońca. Mniej więcej w południe Klaus i ja mieliśmy wolną godzinę. Po cichu zmyliśmy się z bunkra. Nikt nas nie zobaczył. Przyszliśmy tu. To kiedyś było miasto, kilka domów, ulica. Ta piwnica to część dawnego dużego domu. Wiedzieliśmy, że Tasso będzie tu, ukryta w swoim małym mieszkanku. Odwiedzaliśmy ją często. Inni z bunkra też. Tamtego dnia była akurat nasza kolej.

– Tak się uratowaliśmy – stwierdził Klaus. – Czysty przypadek. Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Kiedy... Kiedy skończyliśmy, wyszliśmy na powierzchnię i ruszyliśmy z powrotem. Wtedy to zobaczyliśmy. Setki Davidów. Natychmiast zrozumieliśmy, co się stało. Widzieliśmy zdjęcia modelu nr 1, Rannego Żołnierza. Nasz komisarz rozdał nam je i wyjaśnił o co chodzi. Gdybyśmy poszli jeszcze parę kroków, zobaczyłyby nas. I tak musieliśmy zastrzelić dwa z nich, żeby tu wrócić. Były ich masy, wszędzie. Jak mrówki. Zrobiliśmy zdjęcia i ukryliśmy się z powrotem tutaj, starannie zamykając właz.

– Pojedyncze nie są takie groźne. Poruszają się wolniej od nas. Ale są bezlitosne. Nie przypominają żywych istot. Tamte szły prosto w naszym kierunku. Zastrzeliliśmy je.

Major Hendricks stał oparty o krawędź włazu, przyzwyczajając oczy do ciemności.

– Może w ogóle nie powinniśmy otwierać klapy?

– Trzeba po prostu uważać. Jak inaczej uruchomisz swój nadajnik?

Hendricks powoli podniósł mały nadajnik, który miał przypięty do paska. Przycisnął go do ucha. Metal był zimny i wilgotny. Dmuchnął w mikrofon, podnosząc krótką antenę. Usłyszał słaby szum.

– Chyba masz rację.

Wciąż jednak się wahał.

– Wciągniemy cię, gdyby coś się stało – powiedział Klaus.

– Dzięki. – Hendricks stał jeszcze chwilę, opierając nadajnik. – To ciekawe, prawda?

– Co?

– No, te nowe typy. Nowe modele szczęk. Jesteśmy zupełnie bez szans. Teraz pewno dostały się już do baz Narodów Zjednoczonych. Zastanawiam się, czy to nie jest początek nowego gatunku. Nowy gatunek, no ewolucja. Rasa, która wyprze człowieka.

Rudi chrząknął.

– Nie ma rasy, która zastąpi człowieka.

– Nie? Dlaczego nie? Może właśnie to obserwujemy, koniec gatunku ludzkiego i początek nowego społeczeństwa.

– Ale to nie jest rasa. To mechaniczni mordercy. Stworzyliście je, aby niszczyły. To wszystko, co umieją robić. Są maszynami istniejącymi w jednym, konkretnym celu.

– Na razie tak się wydaje. Ale co będzie później? Kiedy wojna już się skończy. Może, gdy zabraknie ludzi do zabijania, zaczną ukazywać swoje prawdziwe możliwości.

– Mówisz o nich tak, jakby były żywe!

– A nie są?

Zapanowała cisza.

– To są maszyny – powiedział w końcu Rudi. – Wyglądają jak ludzie, ale są to tylko mechanizmy.

– Spróbuj nawiązać łączność, majorze – powiedział Klaus. – Nie możemy tu stać bez końca.

Ściskając w ręku nadajnik Hendricks wywołał kod bazy. Czekał, słuchając uważnie. Żadnej odpowiedzi. Tylko cisza. Starannie sprawdził przewody. Wszystko było w porządku.

– Scott! – powiedział do mikrofonu. – Czy mnie słyszysz?

Cisza. Wyciągnął wyżej antenę i spróbował jeszcze raz. Nic.

– Nie ma połączenia. Może słyszą mnie, ale nie chcą odpowiedzieć.

– Powiedz im, że sytuacja jest krytyczna.

– Pomyślą, że ktoś mnie zmusza do nawiązania łączności, że robię to na wasz rozkaz. – Spróbował jeszcze raz, streszczając krótko wszystkie wiadomości. Odpowiedzi jednak nie było. Usłyszał tylko jakieś słabe trzaski.

– Promieniowanie radioaktywne zagłusza większość sygnałów – powiedział Klaus po chwili. – Może to dlatego.

Hendricks schował nadajnik.

– To nic nie da. Nie ma żadnej odpowiedzi. Promieniowanie radioaktywne? Może. Albo słyszą mnie, ale nie odpowiadają. Szczerze mówiąc, ja też bym tak zrobił, gdyby wysłany żołnierz próbował nawiązać łączność z rosyjskiej bazy. Nie mają powodu, żeby mi wierzyć. Może słyszeli wszystko, co mówiłem...

– A może jest już za późno.

Hendricks pokiwał głową.

– Lepiej zamknijmy właz – powiedział Rudi nerwowo. – Po co podejmować niepotrzebne ryzyko.

Powoli zeszli na dół. Klaus starannie zamknął klapę. Weszli do kuchni. Powietrze było ciężkie i duszne.

– Czy one naprawdę pracują aż tak szybko? – spytał Hendricks. – Opuściłem bunkier dziś w południe. Dziesięć godzin temu. Jak mogłyby tak szybko się przemieścić?

– To nie zabiera im dużo czasu. Wystarczy, że pierwszy z nich dostanie się do środka. Potem stają się zupełnie nie do opanowania. Wiesz przecież, co mogą zrobić małe szczęki. One są niewiarygodne. Ostrza w każdym palcu...

– Już dobrze. – Hendricks odsunął się zniecierpliwiony. Stanął do nich plecami.

– O co ci chodzi? – spytał Rudi.

– Baza Księżycowa. Boże, jeżeli tam też się dostały...

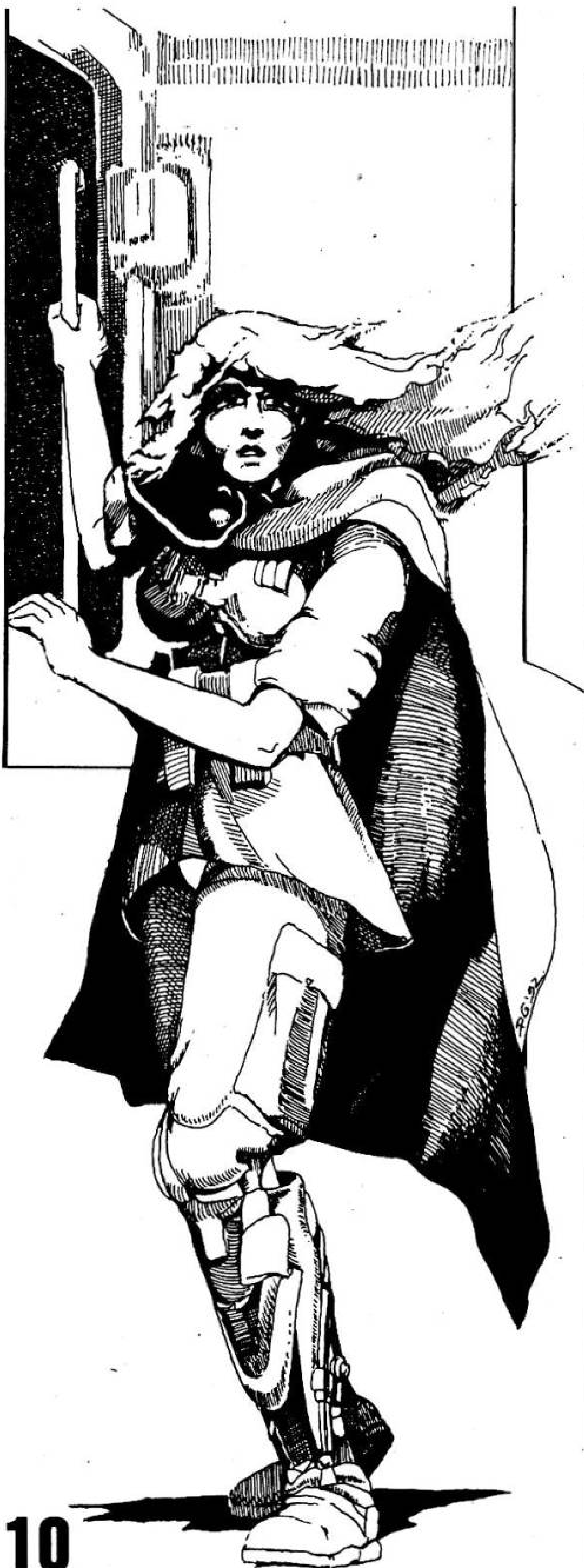
– Baza Księżycowa?

Hendricks odwrócił się.

– Nie mogły przecież dostać się tam. Jak by to zrobiły? To niemożliwe. Nie wierzę w to.

– Co to jest Baza Księżycowa? Słyszeliśmy jakieś plotki, ale nic konkretnego. Jaka jest wasza sytuacja? Chyba musisz być dobrze poinformowany.

– Jesteśmy zaopatrywani z Księżyca. Tam jest nasz rząd, nasz przemysł i ludzie. Wszystko ukryte pod powierzchnią. Dzięki temu jeszcze się trzymamy. Jeżeli znalazły jakiś sposób, żeby przedostać się stąd na Księżyc...



– Wystarczy, żeby jeden z nich tam dotarł. Wtedy on ułatwi drogę innym. Całym setkom identycznych robotów. Widziałeś, jak wyglądają, wszystkie takie same. Jak mrówki.

– Idealny socjalizm – stwierdziła Tasso. – Doskonały wzór państwa komunistycznego. Każdy obywatel może być zastąpiony innym.

Klaus chrząknął niezadowolony.

– Wystarczy już. No dobrze, i co dalej?

Hendricks chodził w tę i z powrotem po małym pokoju. W powietrzu czuć było zapach jedzenia i potu. Pozostali patrzyli na niego. Tasso odsunęła zasłonę dzielącą dwa pokoje.

– Ja idę się przespać.

Wyszła i zasłoniła przejście. Rudi i Klaus usiedli przy stole, wciąż obserwując Hendricksa.

– To ty musisz zdecydować – powiedział Klaus. – My nie znamy sytuacji.

Hendricks pokiwał głową.

– To nie jest takie proste. – Rudi nalał sobie kawy z zardzewiałego garnka. – Na razie jesteśmy tu bezpieczni, ale nie możemy tak zostać na zawsze. Nie mamy dosyć jedzenia.

– Ale jeżeli wyjdziemy...

– Jeżeli wyjdziemy, dostaną nas. Prawdopodobnie nas dostaną. Nie ujdziemy zbyt daleko. Gdzie jest twój bunkier, majorze?

– Trzy, cztery mile stąd.

– Może nam się udać. Jest nas czworo. Każdy będzie patrzył w inną stronę. Nie będą mogły nas zaskoczyć ani zacząć iść za nami. Mamy trzy karabiny, trzy celne karabiny. Tasso może wziąć mój pistolet. – Rudi poklepał się po pasku. – W radzieckiej armii nie zawsze dostaje się buty, ale broni nie brakuje. We czwórkę, uzbrojeni, mamy szansę, że chociaż jeden z nas dojdzie do twojego bunkra. Najlepiej, żebyś to był ty, majorze.

– A jeżeli już tam są? – spytał Klaus.

Rudi wzruszył ramionami.

– Wtedy wrócimy tu.

Hendricks stanął.

– Jak sądzicie, jaka jest szansa, że dostały się już do amerykańskich baz?

– Trudno powiedzieć. Chyba duża. Są dobrze zorganizowane. Wiedzą, co robią. Kiedy raz zaczną, przypominają stado szarańczy. Cały czas posuwają się naprzód i to w niezłym tempie. Zostały zaprogramowane tak, żeby działać cicho i szybko, przez zaskoczenie. Osiągają swój cel zanim ktokolwiek zrozumie o co chodzi.

– Jasne – cicho powiedział Hendricks.

W drugim pokoju Tasso poruszyła się.

– Majorze?

Hendricks odsunął zasłonę.

– Tak?

Tasso, leżąca na małym tapczanie, spojrzała na niego leniwie.

– Czy masz jeszcze te amerykańskie papierosy?

Hendricks wszedł do małego pokoju i usiadł obok niej. Przeszukał kieszenie.

– Nie. Skończyły się.

– Szkoda.

– Jakiej jesteś narodowości?

– Jestem Rosjanką.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Tu?

– To kiedyś była Francja. Znajdujemy się w dawnej Normandii. Przyszłaś z radziecką armią?

– Dlaczego pytasz?

– Po prostu jestem ciekaw. – Patrzył na nią. Nie miała już na sobie płaszcza. Leżał rzucony w rogu łóżka. Była młoda. Mogła mieć około dwudziestu lat. Szczupła. Jej długie włosy były rozrzucone na poduszce. W milczeniu patrzyła na niego dużymi ciemnymi oczami.

– O czym myślisz? – spytała.

– O niczym. Ile masz lat?

– Osiemnaście. – Dalej obserwowała go nieruchomymi oczami, z głową opartą na rękach. Miała na sobie spodnie i koszulę od rosyjskiego munduru. Szarozielone. W talii szeroki skórzany pasek z nabojami i apteczką.

Piotr Gierasiński

– Jesteś w radzieckiej armii?
– Nie.
– To skąd masz ten mundur?
Wzruszyła ramionami.
– Dostałam go.
– Ile... Ile miałaś lat, kiedy się tu znalazłaś?
– Szesnaście.
– Tylko?
Zmrużyła oczy.
– O co ci chodzi?
Hendricks potarł brodę.
– Twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie było wojny. Szesnaście lat. Miałaś szesnaście lat, kiedy zaczęłaś żyć w ten sposób.
– Musiałam jakoś przetrwać.
– Ja cię nie potępiam.
– Twoje życie też wyglądałoby inaczej – powiedziała cicho. Pochyliła się i rozsznurowała jeden but. Rzuciła go na podłogę. – Majorze, czy mógłbyś pójść do drugiego pokoju? Jestem śpiąca.
– To będzie kłopotliwe mieszkać tu w cztery osoby. Czy są tylko te dwa pokoje?
– Tak.
– Jak duża była kiedyś ta piwnica? Większa niż to? Może są tu inne pokoje zasypane gruzem? Moglibyśmy spróbować się do nich dostać.
– Może. Naprawdę nie wiem. – Tasso rozpięła pasek. Położyła się wygodnie na łóżku, odpinając guziki koszuli. – Na pewno nie masz więcej papierosów?
– Miałem tylko jedną paczkę.
– Szkoda. Może jak dotrzemy do twojego bunkra uda nam się coś znaleźć. – Drugi but został rzucony na podłogę. Tasso sięgnęła do lampy. – Dobranoc.
– Idziesz spać?
– Zgadłeś.
Pokój pogrążył się w ciemności. Hendricks wstał i poszedł do kuchni. Nagle stanął oniemiały.
Rudi stał przy ścianie, jego twarz była blada i błyszczała od potu. Otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Klaus stał przed nim, przyciskając lufę swojego pistoletu do jego żołądka. Żaden z nich się nie ruszał.
Klaus, z ręką zaciśniętą na pistolecie, z nieruchomą twarzą. Rudi, blady i cichy, przyciśnięty do ściany.
– Co... – Hendricks chciał zapytać, ale Klaus przerwał mu.
– Spokojnie, majorze. Podejdź tu. Pistolet. Wyjmij swój pistolet.
Hendricks wyciągnął pistolet.
– O co chodzi?
– Pilnuj go. – Klaus popchnął go do przodu. – Stań obok mnie, szybciej!
Rudi poruszył się lekko, opuszczając ręce. Odwrócił się do Hendricksa, przygryzając usta. Oczy mu błyszczały. Z czoła na policzki spływał kroplami pot. Utkwił wzrok w Hendricksie.
– Majorze, on zwariował. Zatrzymaj go. – Głos Rudiego był zduszony i chrapliwy, ledwie słyszalny.
– Co tu się dzieje? – spytał Hendricks.
Nie opuszczając broni Klaus odpowiedział.
– Majorze, pamiętasz naszą dyskusję? Trzy modele? Znamy tylko model nr 1 i model nr 3. Nie wiedzieliśmy, jak wygląda model nr 2. Dotąd nie wiedzieliśmy. – Palce Klausa zacisnęły się na kolbie. – Dotąd nie wiedzieliśmy, ale teraz już wiemy.
Nacisnął spust. W Rudiego uderzył strumień białego gorąca.
– Majorze, to jest model nr 2.
Tasso odsunęła zasłonę.
– Klaus! Co ty zrobiłeś?
Klaus odwrócił się od zwęglonego ciała, osuwającego się na podłogę.
– Model nr 2, Tasso. Teraz już wiemy. Znamy już wszystkie trzy typy. Niebezpieczeństwo zmniejszyło się. Ja...
Tasso patrzyła za niego, na coś, co kiedyś było Rudim, na sczerniałe, tlące się szczątki i fragmenty ubrania.
– Zabiłeś go.
– Go? Chyba chciałaś powiedzieć „to". Obserwowałem. Przeczuwałem coś. Ale nie byłem pewien. Przynajmniej dotąd nie byłem pewien. Ale dziś wieczór zrozumiałem. – Klaus nerwowo pocierał swój pistolet. – Mamy szczęście. Nie widzicie tego? Jeszcze godzina i ta maszyna mogła...



– Byłeś p e w i e n? – Tasso odepchnęła go i pochyliła się nad dymiącymi resztkami, leżącymi na podłodze. Jej twarz stężała. – Majorze, zobacz sam. Kości, ciało.

Hendricks uklęknął obok niej. Te szczątki były szczątkami człowieka. Osmalone ciało, nadpalone fragmenty kości, kawałki czaszki. Trzewia, krew. Krew tworząca kałużę na podłodze.

– Żadnych kółek – powiedziała Tasso spokojnie. Wyprostowała się. – Żadnych kółek, żadnych części, żadnych mechanizmów. To nie szczęki. To nie jest model nr 2. – Skrzyżowała ramiona. – Będziesz się musiał jakoś z tego wytłumaczyć.

Klaus usiadł przy stole. Nagle jego twarz całkiem zbladła. Objął głowę rękoma i zaczął się kiwać w przód i w tył.

– Opanuj się. – Palce Tasso zacisnęły się na jego ramieniu. – Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego go zabiłeś?

– Bał się – powiedział Hendricks. – Wszystko to, cała ta sytuacja zagęszczająca się wokół nas.

– Może.

– A co innego? Jak myślisz?

– Myślę, że może miał jakiś powód, żeby zabić Rudiego. Jakiś dobry powód.

– Jaki?

– Może Rudi dowiedział się o czymś.

Hendricks patrzył na jej bladą twarz.

– O czym? – spytał.

– O nim. O Klausie.

Klaus spojrzał bystro.

– Wiesz, co ona próbuje powiedzieć? Ona myśli, że to ja jestem modelem nr 2. Nie widzisz tego, majorze? Chce, żebyś uwierzył, że celowo go zabiłem. Że jestem...

– To dlaczego go zabiłeś? – spytała Tasso.

– Powiedziałem ci. – Ze znużeniem potrząsnął głową. – Myślałem, że jest robotem. Myślałem, że...

– Ale dlaczego?

– Obserwowałem go. Miałem coraz więcej podejrzeń.

– Dlaczego?

– Wydawało mi się, że coś zauważyłem. Że coś usłyszałem. Wydawało mi się, że... – przerwał.

– Mów dalej.

– Siedzieliśmy przy stole. Graliśmy w karty. Wy byliście w drugim pokoju. Wydawało mi się, że usłyszałem brzęczenie.

Zapanowała cisza.

– Wierzysz w to? – spytała Tasso Hendricksa.

– Tak. Wierzę mu.

– Ja nie. Myślę, że zabił Rudiego w jakimś celu. – Tasso dotknęła karabinu leżącego w rogu pokoju. – Majorze...

– Nie. – Hendricks potrząsnął głową. – Skończmy to już. Jeden wystarczy. Boimy się tak, jak on się bał. Jeżeli go zabijemy, zachowamy się tak, jak przedtem on się zachował.

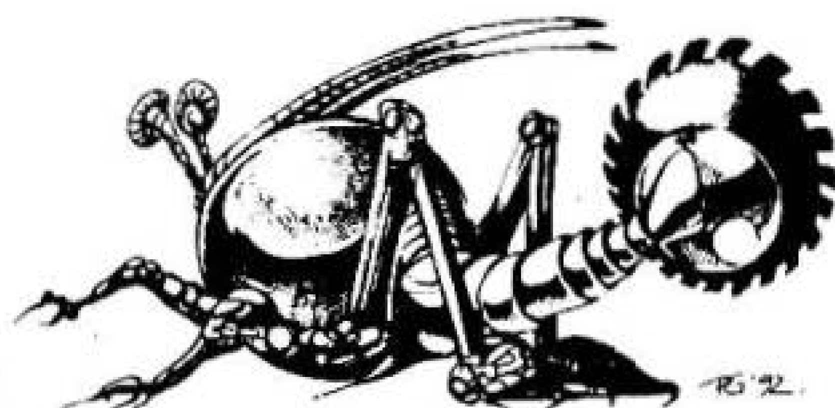
Klaus spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję. Bałem się. Rozumiesz to, prawda? Teraz ona się boi tak jak ja. Ona chce mnie zabić.

– Skończmy z zabijaniem. – Hendricks podszedł do drabiny. – Idę na górę, spróbuję jeszcze raz nawiązać łączność. Jeżeli mi się nie uda, jutro rano wyruszymy w kierunku mojej bazy.

Klaus wstał szybko.

– Pójdę z tobą i ci pomogę.



Nocne powietrze było zimne. Ziemia stygła. Klaus odetchnął głęboko. On i Hendricks wyszli na powierzchnię. Klaus stanął na szeroko rozstawionych nogach, z karabinem gotowym do strzału, patrząc i nasłuchując. Hendricks kucnął koło wejścia, nastawiając mały nadajnik.

– No i jak? – spytał Klaus po chwili.

– Na razie nic.

– Spróbuj jeszcze. Powiedz im, co się stało.

Hendricks znowu zaczął nadawać. Bez skutku. W końcu opuścił antenę.

– To na nic. Nie słyszą mnie. Albo słyszą, ale nie chcą odpowiedzieć. Albo...

– Albo już ich nie ma.

– Spróbuję jeszcze raz. – Hendricks podniósł antenę. – Scott, czy mnie słyszysz? Odbiór!

Słuchał. Nic, tylko zakłócenia. Nagle, bardzo słabo...

– Tu Scott.

Zacisnął palce.

– Scott, czy to ty?!

– Tu Scott.

Klaus kucnął obok niego.

– Czy to twoja baza?

– Scott, słuchaj. Czy mnie zrozumiałeś? Chodzi o nie, o szczęki. Czy odebrałeś moją wiadomość? Czy mnie słyszysz?

– Tak. – Ledwie słyszalna odpowiedź. Z trudem zrozumiał nawet to słowo.

– Czy odebrałeś moją wiadomość? Czy w bunkrze wszystko w porządku? Nie dostały się do środka?

– Wszystko jest w porządku.

– Czy próbowały wedrzeć się do środka?

Głos coraz bardziej zanikał.

– Nie.

Hendricks odwrócił się do Klausa.

– Wszystko w porządku.

– Czy zostali zaatakowani?

– Nie. – Hendricks przycisnął słuchawkę mocniej do ucha. – Scott, ledwie cię słyszę. Czy zawiadomiłeś Bazę Księżycową? Czy oni wiedzą? Czy są ostrzeżeni?

Cisza.

Hendricks odprężył się, opuścił słuchawkę.

– Koniec. To musi być promieniowanie.

Hendricks i Klaus spojrzeli na siebie. Żaden z nich nic nie powiedział. Po jakimś czasie Klaus odezwał się.

– Czy rozpoznałeś głos któregoś ze swoich ludzi?

– Za słabo ich słyszałem.

– Nie możesz być pewien?

– Nie.

– Więc to mogło być...

– Nie wiem. Teraz nie jestem pewien. Zejdźmy na dół i zamknijmy właz.

Wolno zeszli po drabinie do ciepłej piwnicy. Klaus starannie zakręcił klapę. Tasso czekała na nich. Jej twarz była zupełnie bez wyrazu.

– Nie udało się? – Żaden z nich nie odpowiedział. – No więc? – W końcu odezwał się Klaus. – Co o tym myślisz, majorze? Czy był to twój oficer, czy jeden z nich?

– Nie wiem.

– To znaczy, jesteśmy w takiej samej sytuacji jak przedtem.

Hendricks patrzył w dół. Na jego twarzy widać było skupienie.

– Musimy tam pójść. Żeby się upewnić.

– W każdym razie mamy tu dosyć jedzenia tylko na parę tygodni. Będziemy musieli stąd wyjść, wcześniej czy później.

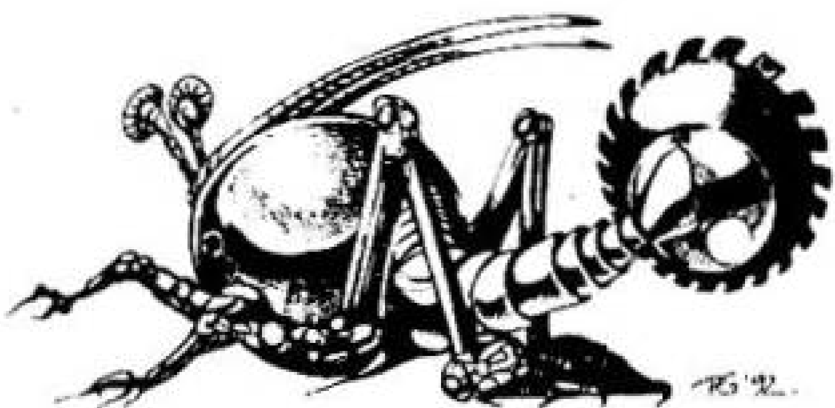
– Chyba masz rację.

– Co się stało? – spytała Tasso. – Udało ci się skontaktować z twoim bunkrem? O co właściwie chodzi?

– To mógł być któryś z moich ludzi – powiedział powoli Hendricks. – Ale mógł to też być jeden z nich. W każdym razie nigdy się tego nie dowiemy stojąc tu. – Spojrzał na zegarek. – Prześpijmy się teraz trochę. Jutro powinniśmy wcześnie wstać.

– Wcześnie?

– Wczesnym rankiem mamy największe szanse uniknąć szczęk – stwierdził Hendricks.



Ranek był rześki i jasny. Major Hendricks obserwował okolicę przez swoją lornetkę.

– Widzisz coś? – spytał Klaus.

– Nie.

– Potrafisz rozpoznać nasze bunkry?

– Gdzie?

– Tam. – Klaus wziął lornetkę i ustawił ją. – Wiem, w którym kierunku szukać. – Patrzył dłuższą chwilę bez słowa.

Tasso weszła na górę i wyszła na powierzchnię.

– Widać coś?

– Nie. – Klaus oddał lornetkę Hendricksowi.

– Nie widać ich stąd. Chodźmy. Nie stójmy tu.

We trójkę zeszli ze wzgórza, ślizgając się w miękkim popiele. Przez płaską skałę przebiegła jaszczurka. Stanęli w napięciu.

– Co to było? – wyszeptał Klaus.

– Jaszczurka.

Zwierzątko biegło szybko dalej przez popiół. Było w kolorze podłoża.

– Idealna adaptacja – powiedział Klaus. – To dowód, że mieliśmy rację. To znaczy Łysenko.

Doszli na sam dół wzgórza i zatrzymali się. Stanęli blisko siebie, rozglądając się dookoła.

– Chodźmy. – Hendricks ruszył dalej. – Piechotą to spory kawałek drogi.

Klaus szedł obok niego. Tasso z tyłu, z pistoletem gotowym do strzału.

– Majorze, chciałem cię o coś zapytać – powiedział Klaus. – Jak natknąłeś się na Davida? Tego, który potem szedł z tobą.

– Spotkałem go po drodze. W jakichś ruinach.

– I co on mówił?

– Niewiele. Powiedział, że jest sam.

– Nie dało się rozpoznać, że to maszyna? Mówił jak prawdziwy człowiek? Nic nie podejrzewałeś?

– Niewiele mówił. Nie zauważyłem nic podejrzanego.

– To niesamowite. Maszyny tak podobne do ludzi, że nie jesteś w stanie rozpoznać. Prawie żywe. Zastanawiam się, jak się to skończy.

– Robią to, do czego wy, Amerykanie, je stworzyliście – stwierdziła Tasso. – Zostały zaprojektowane tak, żeby wykrywać i niszczyć życie. Ludzkie życie. Wszędzie, gdzie tylko je znajdą.

Hendricks patrzył na Klausa zamyślony.

– Dlaczego pytasz? Nad czym się zastanawiasz?

– Nieważne – odpowiedział Klaus.

– Klaus myśli, że to ty jesteś modelem nr 2 – stwierdziła Tasso spokojnie. – Teraz ciebie zaczął podejrzewać.

Klaus zaczerwienił się.

– Dlaczego nie? Wysłaliśmy posłańca do bazy amerykańskiej, a przyszedł on. Może myślał, że trafi tu na łatwy łup.

Hendricks zaśmiał się chrapliwie.

– Przyszedłem z bunkrów Narodów Zjednoczonych. Tam było pełno ludzi.

– Może szukałeś okazji, żeby dostać się do naszych baz. Może to była dla ciebie szansa. Może...

– Przecież rosyjskie bazy zostały zajęte zanim tu doszedłem. Zanim opuściłem mój bunkier. Nie zapominaj o tym.

Tasso podeszła do nich.

– To o niczym nie świadczy, majorze.

– Dlaczego?

– Wygląda na to, że poszczególne modele nie porozumiewają się między sobą. Każdy z nich jest produkowany w innej fabryce. Nie wydaje się, żeby razem pracowały. Może wyruszyłeś w kierunku rosyjskich baz nie wiedząc nic o działaniach innych modeli. Może nawet nie wiedząc, jak one wyglądają.

– Skąd wiesz tak dużo o szczękach? – spytał Hendricks.

– Widywałam je. Obserwowałam, jak zajmują rosyjskie bunkry.

– Wiesz rzeczywiście dużo – stwierdził Klaus. – Prawdę mówiąc widziałaś niewiele. Nie przypuszczałem, że jesteś takim uważnym obserwatorem.

Tasso zaśmiała się.

– Teraz na mnie kolej?

– Skończmy z tym – powiedział Hendricks. Szli dalej, nic nie mówiąc.

– Czy całą drogę będziemy szli na piechotę? – spytała Tasso po chwili. – Nie jestem przyzwyczajona do chodzenia. – Rozejrzała się. Wokół widać było tylko popiół. Wszędzie, jak okiem sięgnąć. – Jak tu okropnie.

– Tak będzie przez całą drogę – powiedział Klaus.

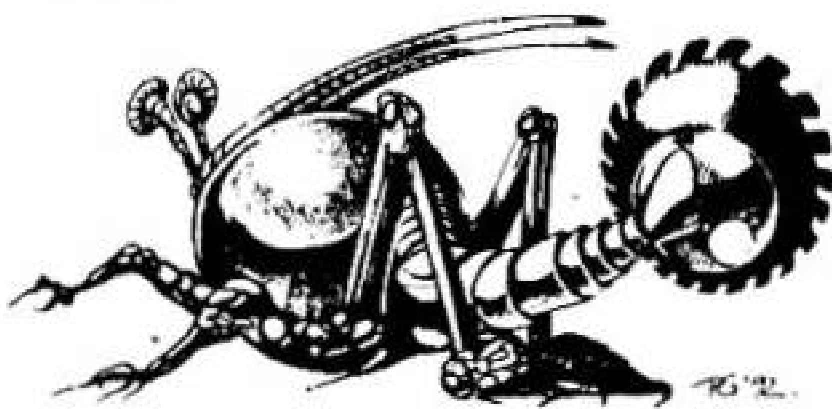
– Czasami wydaje mi się, że wolałabym, żebyś był w swoim bunkrze, kiedy zaczął się atak.

– Wtedy zamiast mnie byłby tu ktoś inny – stwierdził Klaus.

Tasso roześmiała się, wkładając ręce do kieszeni.

– Chyba masz rację.

Szli dalej, rozglądając się uważnie po rozciągającej się wokół nich, pokrytej popiołem równinie.



Słońce chyliło się ku zachodowi. Hendricks powoli, z trudem posuwał się do przodu. Ruchem ręki przywoływał do siebie Klausa i Tasso. Klaus przyklęknął, opierając kolbę pistoletu o ziemię.

Tasso znalazła wystającą betonową płytę i usiadła na niej z westchnieniem ulgi.

– Jak dobrze jest wreszcie odpocząć.

– Cicho bądź – powiedział Klaus ostro.

Hendricks dotarł do szczytu wzniesienia, tego samego wzniesienia, do którego poprzedniego dnia doszedł rosyjski posłaniec. Hendricks położył się, wyjął swoją lornetkę i zaczął obserwować okolicę.

Nie zauważył nic podejrzanego. Tylko popiół i suche pnie drzew. Ale tam, nie więcej niż pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie się znajdował, było wejście do bunkra. Do bunkra, który tak niedawno opuścił. Hendricks patrzył nic nie mówiąc. Żadnego ruchu. Żadnego znaku życia. Nic nawet nie drgnęło.

Klaus doczołgał się do niego.

– Gdzie to jest?

– Tam na dole. – Hendricks podał mu lornetkę. Nad nimi po wieczornym niebie sunęły chmury pyłu. Ściemniało się. Mieli przed sobą najwyżej kilka godzin dnia. Może nawet mniej.

– Nic nie widzę – powiedział Klaus.

– Koło tego drzewa, tam. Widzisz ten pień? Obok stosu cegieł. Wejście jest tuż przy tych cegłach.

– Muszę ci wierzyć na słowo.

– Kryjcie mnie stąd, razem z Tasso. Będziesz mnie widział przez całą drogę, aż do wejścia do bunkra.

– Idziesz sam?

– Z moim znaczkiem jestem bezpieczny. Ziemia wokół bunkra to jedna wielka masa szczęk. Kryją się w popiele. Jak kraby. Bez znaczków nie mielibyście żadnej szansy.

– Może masz rację.

– Cały czas będę szedł wolno. Kiedy tylko zorientuję się...

– Jeżeli one są tam, w bunkrze, to nie uda ci się wejść tu z powrotem. Działają szybko. Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

– W takim razie co proponujesz?

Klaus zastanowił się.

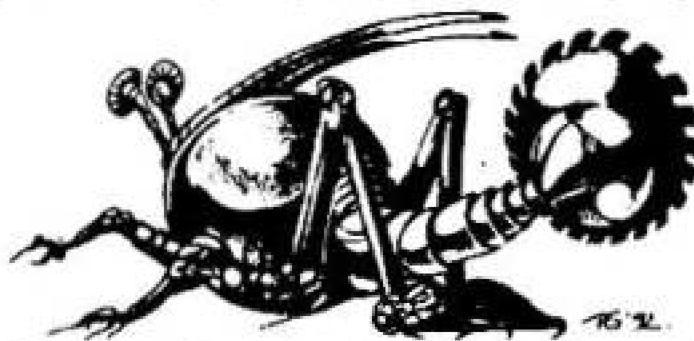
– Nie wiem. Poproś, żeby ktoś wyszedł na zewnątrz. Wtedy będziesz wiedział.

Hendricks wyjął swój nadajnik i podniósł antenę.
– Spróbujmy.
Klaus dał znak Tasso. Wprawnie podczołgała się do miejsca, w którym siedzieli.
– Pójdzie sam – powiedział Klaus. – My będziemy go stąd kryli. Gdy tylko zobaczysz, że zawraca, strzelaj obok niego. One działają szybko.
– Nie wykazujesz zbytniego optymizmu – stwierdziła Tasso.
– Nie, wcale.
Hendricks odbezpieczył swój pistolet i sprawdził go starannie.
– Może wszystko jest w porządku.
– Nie widziałeś tego. Są ich setki. Wszystkie takie same. Rozbiegają się jak mrówki.
– Powinienem się zorientować, zanim zejdę na sam dół. – Hendricks przygotował pistolet, wziął go w jedną rękę, nadajnik w drugą. – No dobrze, życzcie mi szczęścia.
Klaus wyciągnął rękę.
– Nie wchodź, zanim się nie upewnisz. Porozmawiaj z nimi z zewnątrz. Każ im się pokazać.
Hendricks wstał. Zaczął schodzić ze wzgórza.
Chwilę później szedł wolno w kierunku sterty cegieł i gruzu, leżącej obok suchego pnia. W kierunku wejścia do bunkra.
Nic się nie poruszyło. Podniósł nadajnik, włączając go.
– Scott! Czy mnie słyszysz?
Cisza.
– Scott! Tu Hendricks. Czy mnie słyszysz? Stoję obok wejścia do bunkra. Możesz mnie zobaczyć na monitorze.
Nasłuchiwał mocno trzymając nadajnik. Żadnej odpowiedzi. Tylko trzaski. Podszedł kawałek dalej. Jakieś szczęki wychyliły się z piasku, podsunęły w jego kierunku, potem stanęły i znieruchomiały. Pojawiły się następne, znacznie większe, z czujnikami. Też zaczęły sunąć , badając starannie potencjalną ofiarę. Jednak one też zatrzymały się o kilka kroków od niego, jakby z szacunkiem. Chwilę później dołączyły do nich następne, równie duże. Po cichu szczęki posuwały się za nim w miarę, jak szedł w stronę bunkra.
Hendricks zatrzymał się, a za nim stanęły również szczęki. Był już bardzo blisko. Prawie przy schodach prowadzących na dół, do bunkra.
– Scott! Czy mnie słyszysz? Stoję tuż przy wejściu. Na zewnątrz. Na powierzchni. Czy mnie widzisz?
Czekał, trzymając pistolet gotowy do strzału i przyciskając odbiornik do ucha. Czas płynął. Starał się coś usłyszeć, ale z odbiornika nie wydobywał się żaden dźwięk. Tylko cisza i słabe trzaski.
Aż nagle, jakby z daleka, metalicznie...
– Tu Scott.
Głos brzmiał neutralnie. Zimno. Nie mógł go zidentyfikować. Ale odbiornik był niewielki.
– Scott! Posłuchaj mnie. Stoję tuż przy wejściu do bunkra. Jestem na powierzchni. Patrzę prosto na właz.
– Tak.
– Czy mnie widzisz?
– Tak.
– Na monitorze? Ustawiłeś go na mnie?
– Tak.
Hendricks zastanowił się. Czekające wokół niego szczęki tworzyły krąg. Wszędzie dookoła metalowe, szare kształty.
– Czy w bunkrze wszystko jest w porządku? Czy nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego?
– Wszystko jest w porządku.
– Czy możesz wyjść na powierzchnię? Chciałbym cię zobaczyć. – Hendricks wziął głęboki oddech. – Wyjdź na zewnątrz. Chcę z tobą porozmawiać.
– Zejdź na dół.
– Wydałem ci rozkaz.
Cisza.
– Idziesz? – Hendricks nasłuchiwał. Nie było żadnej odpowiedzi. – Rozkazuję ci wyjść na powierzchnię.
– Zejdź na dół.
Hendricks zacisnął usta.
– Daj mi Leone.
Długa pauza. Słyszał tylko trzaski. Potem pojawił się głos, twardy, metaliczny. Podobny do poprzedniego.
– Tu Leone.
– Hendricks. Jestem na powierzchni. Przy wejściu do bunkra. Chcę, żeby jeden z was wyszedł na zewnątrz.
– Zejdź na dół.
– Dlaczego mam zejść na dół? Wydaję wam rozkaz!
Cisza. Hendricks opuścił nadajnik. Rozejrzał się uważnie wokół siebie. Wejście do bunkra było tuż obok. Prawie u jego stóp. Schował antenę i przyczepił nadajnik do paska. Chwycił pistolet w obie ręce. Zaczął iść do przodu, krok za krokiem. Jeżeli go obserwowali, wiedzieli, że ruszył w stronę wejścia. Na chwilę przymknął oczy.
Potem postawił nogę na pierwszym stopniu, prowadzącym w dół.
Tuż przed nim pojawiło się dwóch Davidów, mieli identyczne twarze, zupełnie bez wyrazu. Strzelił i rozprysły się na kawałki. Pojawiło się ich więcej, wychodziły cicho, całymi grupami. Wszystkie identyczne.
Hendricks odwrócił się i zaczął uciekać z powrotem, w kierunku wzgórza.
Ze szczytu Tasso i Klaus zaczęli strzelać. Małe szczęki sunęły już w ich stronę, błyszczące metalowe kule, ścigające się w obłokach popiołu. Ale Hendricks nie myślał już o tym. Klęczał z pistoletem przyciśniętym do policzka, celując w wejście do bunkra. Davidy wychodziły grupami, trzymając swoje pluszowe misie, ich chude nóżki szybko pokonywały schody prowadzące na powierzchnię. Hendricks strzelał do najbliższych postaci. Rozpadały się na kawałki, kółka i sprężyny fruwały we wszystkich kierunkach. Strzelał dalej, ledwie widząc cel przez chmury drobnych części.
Nagle pojawiła się ogromna postać, krocząca ociężale i lekko się kołysząca. Hendricks znieruchomiał na chwilę zaskoczony. Mężczyzna, jednonogi żołnierz, wspierający się na kuli.
– Majorze! – Dobiegł go głos Tasso. Usłyszał strzały. Wielka postać posuwała się do przodu, otoczona grupą Davidów. Hendricks przełamał chwilową niemoc. Model nr 1, Ranny Żołnierz. Wycelował i strzelił. Żołnierz rozpadł się na kawałki, części, tysiące fragmentów. Na płaskim terenie przed bunkrem widać było masę Davidów. Strzelał cały czas, wolno posuwając się do tyłu, pochylony, wciąż celując.
Ze szczytu wciąż strzelał Klaus. Zbocze wzgórza było jednym wielkim polem szczęk posuwających się coraz wyżej. Hendricks przemieszczał się w kierunku wzniesienia, biegnąc skulony. Tasso zostawiła Klausa i odsunęła się w prawo.
Kolejny David podszedł w jego kierunku, mała twarz była zupełnie bez wyrazu. Brązowe włosy spadały mu na oczy. Pochylił się nagle otwierając ramiona. Jego pluszowy miś wypadł na ziemię i potoczył się w kierunku Hendricksa. Strzał. David i jego miś zniknęli. Hendricks uśmiechnął się i przymknął oczy. To wszystko było jak sen.
– Chodź tu! – Głos Tasso. Hendricks zaczął się przesuwać w jej kierunku. Stała przy betonowych kolumnach, resztkach ścian zrujnowanego budynku. Strzelała z pistoletu, który dał jej Klaus.
– Dziękuję. – Znalazł się przy niej, ciężko dysząc. Popchnęła go do tyłu, za jakąś betonową ścianę, szukając czegoś przy pasku.
– Zamknij oczy! – Wyjęła jakiś owalny przedmiot. Szybko odkręciła zatyczkę, odbezpieczyła. – Zamknij oczy i połóż się.
Rzuciła granat, który poszybował równym łukiem, spadł i potoczył się w stronę wejścia do bunkra. Jeden Ranny Żołnierz stał niepewnie na kupie cegieł. Obok niego pojawiło się kilku Davidów. Ranny Żołnierz ruszył w kierunku pocisku, stanął niezgrabnie, chcąc go podnieść.
Granat wybuchł. Silny wstrząs przewrócił Hendricksa tak, że upadł na twarz. Poczuł uderzenie gorącego wiatru. Niewyraźnie zobaczył Tasso, która stała za betonową ścianą i powoli i metodycznie strzelała do Davidów pojawiających się w chmurach białego dymu.
Z tyłu na wzgórzu Klaus walczył z zacieśniającym się kręgiem szczęk. Odsuwał się, ciągle strzelając, próbując się przedrzeć przez ten pierścień.
Hendricks podniósł się na nogi. Bolała go głowa. Niewiele widział. Wszystko wokół niego wirowało w zawrotnym tempie. Nie mógł poruszyć prawym ramieniem.
Tasso przysunęła się do niego.

– Chodź, idziemy stąd.
– A Klaus? On wciąż tam jest.
– Chodź! – Tasso odciągnęła Hendricksa do tyłu. Potrząsnął głową próbując zaprotestować. Jednak Tasso prowadziła go szybko, jej oczy błyszczały, wypatrując szczęk, które mogły umknąć przed wybuchem.
Z chmury popiołu wyłonił się jeszcze jeden David. Tasso strzeliła w jego kierunku. Żaden więcej już się nie pojawił.
– Ale Klaus. Co z nim będzie? – Hendricks zatrzymał się i stanął niepewnie. – Przecież on...
– Chodź już!
Szli, oddalali się coraz bardziej od bunkra. Kilka małych szczęk sunęło za nimi jeszcze przez chwilę, ale potem zrezygnowały i ruszyły w inną stronę.
W końcu Tasso zatrzymała się.
Raz prawie upadła. Zatrzymała się na chwilę, starając się odzyskać równowagę. Potem ruszyła dalej.
Klaus.
Hendricks wstał.
– Klaus! – Zaczął iść w jego kierunku. – Jak do diabła udało ci się...
Tasso strzeliła. Hendricks odchylił się do tyłu. Jeszcze jeden strzał. Pocisk przeszedł tuż obok niego, poczuł falę ciepła. Trafił Klausa w pierś. Sprężyny i kółka rozprysły się we wszystkich kierunkach. Przez chwilę jeszcze szedł. Potem zakołysał się w przód i w tył. Upadł na ziemię z szeroko rozrzuconymi ramionami. Po ziemi potoczyło się kilka kółek.
Cisza.
Tasso odwróciła się do Hendricksa.
– Teraz już rozumiesz dlaczego zabił Rudiego.

Piotr Gierasiński

– Tu możemy na chwilę stanąć i odetchnąć.
Hendricks usiadł na jakiejś górze gruzu. Otarł pot z szyi, oddychając ciężko.
– Zostawiliśmy tam Klausa.
Tasso nie odpowiedziała. Wzięła swój pistolet i wsadziła do niego nowy krążek nabojów.
Hendricks patrzył na nią zdziwiony.
– Dlaczego go tam zostawiłaś?
Tasso złożyła pistolet. Zaczęła starannie oglądać kupy kamieni leżące obok. Jej twarz nic nie wyrażała.
– O co chodzi? – spytał w końcu. – Czego tak szukasz? Czy czekasz na coś? – Potrząsnął głową próbując zrozumieć. Co ona właściwie robiła? Na co czekała? Nie zauważył nic nadzwyczajnego. Wszędzie wokół nich widać było tylko popiół i ruiny. Czasem suche pnie drzew, bez liści i gałęzi.
– Co... – Tasso przerwała mu. – Bądź cicho – Jej oczy zwęziły się nagle. Podniosła pistolet. Hendricks odwrócił się, idąc za jej spojrzeniem.
Na drodze, którą przyszli, pojawiła się jakaś postać. Szła niepewnie w ich kierunku. W podartym ubraniu. Kulała jak po długim marszu, posuwała się wolno i ostrożnie. Stając co jakiś czas, odpoczywając i zbierając siły do dalszego marszu.
Hendricks usiadł powoli. Potrząsnął głową. Był jak ogłuszony. Nie mógł myśleć.
– Widzisz? – spytała Tasso. – Rozumiesz?
Hendricks nie odpowiedział. Wszystko nagle zawirowało wokół niego. Coraz szybciej i szybciej. Otoczyła go ciemność.



Hendricks powoli otworzył oczy. W całym ciele czuł dziwną niemoc. Próbował usiąść, ale jego rękę i ramię przeniknął nagły ból. Westchnął.
– Nie wstawaj – powiedziała Tasso. Pochyliła się i położyła mu na czole chłodną dłoń.
Była noc. Mimo sunących chmur popiołu na niebie świeciło kilka gwiazd. Hendricks leżał na plecach zaciskając zęby. Tasso patrzyła na niego obojętnie. Rozpaliła małe ognisko ze znalezionych kawałków drzewa. Ogień palił się słabo, sycząc przy

zetknięciu z wiszącym nad nim metalowym kubkiem. Panowała cisza. Otaczała ich nieruchoma ciemność.

– Więc to on był modelem nr 2 – wyszeptał Hendricks.

– Zawsze to podejrzewałam.

– Dlaczego nie zniszczyłaś go wcześniej? – spytał zdziwiony.

– Ty mnie powstrzymywałeś. – Tasso pochyliła się nad kubkiem. – Kawa. Zaraz będzie gotowa.

Siadła obok niego. Zaczęła rozkładać swój pistolet i oglądać starannie wszystkie części.

– To świetny pistolet – powiedziała półgłosem. – Mechanizm jest doskonały.

– A co z nimi? Ze szczękami?

– Wstrząs po wybuchu unieruchomił większość z nich. To delikatne, wysoko zorganizowane mechanizmy, tak przypuszczam.

– Davidy też?

– Tak.

– Skąd miałaś taki granat?

Tasso wzruszyła ramionami.

– Produkujemy je. Nie doceniacie naszej technologii, majorze. Bez tego granatu żadne z nas już by nie istniało.

– Bardzo się przydał.

Tasso wyprostowała nogi, ogrzewając stopy przy ogniu.

– Byłam zaskoczona, że nic nie zrozumiałeś, kiedy on zastrzelił Rudiego. Dlaczego myślałeś, że on...

– Powiedziałem ci, myślałem, że to ze strachu.

– Naprawdę? Wiesz, majorze, przez chwilę podejrzewałam i ciebie. Dlatego, że nie pozwoliłeś mi go zastrzelić. Myślałam, że może go ochraniasz – zaśmiała się.

– Czy jesteśmy tu bezpieczni? – spytał Hendricks niespokojnie.

– Na razie tak. Dokąd nie przyjdą następne, z innych okolic. – Tasso zaczęła czyścić wnętrze swojego pistoletu kawałkiem jakiejś szmatki. Kiedy skończyła, złożyła cały mechanizm. Zamknęła pistolet, gładząc palcami naboje.

– Mieliśmy szczęście – powiedział cicho Hendricks.

– Tak, dużo szczęścia.

– Dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnęłaś.

Tasso nie odpowiedziała. Spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały w świetle ogniska. Hendricks obejrzał swoją rękę. Nie mógł poruszać palcami. Cała jedna strona wydawała się sparaliżowana. W środku czuł tępy ból.

– Jak się czujesz? – spytała Tasso.

– Mam uszkodzoną rękę.

– Coś jeszcze?

– Chyba jakieś obrażenia wewnętrzne.

– Dlaczego nie położyłeś się, zanim rzuciłam granat?

Hendricks nic nie odpowiedział. Patrzył, jak Tasso nalewa kawę z kubka do małej metalowej miseczki. Podała mu ją.

– Dziękuję. – Podniósł się na tyle, żeby móc pić. Przełykał z trudem. Poczuł, jak w środku coś mu się przewraca. Odsunął od siebie miseczkę. – To wszystko, co mogę teraz wypić.

Tasso wypiła resztę. Czas płynął. Chmury popiołu przesuwały się nad nimi po ciemnym niebie. Hendricks odpoczywał, nie myśląc o niczym. Po chwili zdał sobie sprawę, że Tasso stoi obok, patrząc na niego.

– O co chodzi? – wyszeptał.

– Czy czujesz się już lepiej?

– Troszkę.

– Wiesz, majorze, że gdybym cię stamtąd nie wyciągnęła. dostałyby cię. Byłbyś martwy, jak Rudi.

– Wiem.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłam? Mogłam cię zostawić. Mogłabym zostawić cię tutaj.

– Dlaczego?

– Dlatego, że musimy jakoś się stąd wydostać. – Tasso poruszyła ognisko patykiem, patrząc spokojnie w dół. – Żadna ludzka istota tu nie przeżyje. Kiedy pojawią się następne, nie będziemy mieli żadnej szansy. Zastanawiałam się nad tym, kiedy byłeś nieprzytomny. Myślę, że zostały nam jakieś trzy godziny, zanim tu dotrą.

– I oczekujesz, że wydostanę nas stąd?

– Właśnie. Oczekuję, że wydostaniesz nas stąd.

– Dlaczego akurat ja?

– Dlatego, że ja nie znam żadnego sposobu. – Patrzyła na niego błyszczącymi, nieruchomymi oczami. – Jeżeli nie znasz metody na wydostanie się stąd, zabiją nas. Nie widzę innej możliwości. Co ty na to, majorze? Co zamierzasz zrobić? Czekałam całą noc. Kiedy byłeś nieprzytomny, siedziałam tu czekając i nasłuchując. Już prawie świt. Noc już się kończy.

Hendricks zastanowił się.

– To ciekawe – powiedział w końcu.

– Ciekawe?

– Że sądzisz, że mogę nas stąd wydostać. Jak uważasz, co mógłbym zrobić?

– Czy znasz sposób na dostanie się do Bazy Księżycowej?

– Do Bazy Księżycowej? Jak?

– Musi być jakiś sposób.

Hendricks potrząsnął głową.

– Nie. O ile wiem, nie ma.

Tasso nic nie powiedziała. Przez chwilę jej nieruchome oczy zamigotały. Schyliła nagle głowę, odwracając się. Wstała.

– Jeszcze kawy?

– Nie.

– Jak chcesz. – Tasso piła nic nie mówiąc. Nie widział jej twarzy. Leżał na ziemi, na plecach, zamyślony, próbując się skoncentrować. Nie mógł się skupić. Wciąż bolała go głowa. Wciąż czuł obezwładniającą niemoc.

– Może jest jeden sposób – powiedział nagle.

– No?

– Kiedy będzie świt?

– Za dwie godziny. Niedługo zacznie wschodzić słońce.

– Gdzieś tu powinien być statek. Nigdy go nie widziałem. Ale wiem, że istnieje.

– Jaki statek? – jej głos zabrzmiał ostro.

– Krążownik rakietowy.

– Czy on może nas stąd zabrać? Aż do Bazy Księżycowej?

– Do tego miał służyć. Gdyby sytuacja była krytyczna.

Potarł dłonią czoło.

– Co ci jest?

– Moja głowa. Jakoś nie mogę myśleć. Z trudem... Z trudem się koncentruję. To ten granat.

– Czy statek jest blisko? – Tasso kucnęła obok niego. – Gdzie on jest? Jak daleko stąd?

– Próbuję się skupić.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

– Blisko? – Jej głos był jak stalowe ostrze. – Gdzie to może być? Czy jest ukryty pod ziemią?

– Tak. W podziemnym garażu.

– Jak go znaleźć? Czy jest jakoś oznaczony? Czy istnieje jakiś specjalny kod?

Hendricks skoncentrował się.

– Nie. Żadnego oznaczenia, żadnego kodu.

– Więc co?

– Znak.

– Jaki znak?

Hendricks nie odpowiedział. W migającym świetle jego oczy wydawały się szkliste jak dwie półprzezrzyste kule. Palce Tasso jeszcze mocniej zacisnęły się na jego ramieniu.

– Jaki znak? Co to jest?

– Nie... Nie mogę się skupić. Daj mi odpocząć.

– Dobrze. – Zostawiła go i wstała. Hendricks leżał na ziemi, na plecach, oczy miał zamknięte. Tasso odeszła z rękami w kieszeniach. Kopnęła jakiś kamień leżący na drodze i stanęła patrząc w górę. Czarne niebo zaczynało już szarzeć. Zbliżał się ranek.

Trzymała w ręku swój pistolet i chodziła wokół ogniska. Na ziemi leżał nieruchomo major Hendricks, oczy miał wciąż zamknięte. Niebo stawało się coraz bardziej szare. Można już było dostrzec ciągnące się we wszystkich kierunkach pola popiołu. Ruiny budynków, gdzieniegdzie jakaś ściana, kupa betonowego gruzu, suchy pień drzewa.

Powietrze było zimne, przejmujące. Gdzieś daleko jakiś ptak zakwilił słabo.

Hendricks poruszył się. Otworzył oczy.

– Już świta?

– Tak.

Hendricks podniósł się lekko.

– Chciałaś coś wiedzieć. O coś mnie pytałaś.

☞ ☞ ☞ na str. 25



CZASOPRZESTRZEŃ W ZAPACHU GAULOISÓW I TERPENTYNY

Bruce Pennington urodził się w Somerset w 1944 r. Jego pierwszy kontakt z twórczością plastyczną datuje się na lata 1949-50, kiedy zaczął otrzymywać od rodziny i przyjaciół pierwsze książeczki do kolorowania. Tak to polubił, że w latach 1960-1962 rozpoczął wstępny kurs sztuki i projektowania w Bechenham.

W 1962 r. wstępuje na wyższy kurs malarstwa, uczęszczając jednocześnie na niektóre zajęcia w Bromley Common. W tym czasie odkrył dla siebie twórczość Gustava Moreau, Klimta i Muchy. Wpływy malarstwa findesieclowego są widoczne w jego twórczości do dziś.

W latach 1964-1966 Pennington pracuje w agencji reklamowej, natomiast pierwsze, jak sam mówi, poważne artystyczne zamówienie otrzymał z wydawnictwa PANTHER, na okładkę do książki „The Defence" Vladimira Nabokova. W tym samym roku wykonał pierwszą pracę fantastyczną – okładkę do „Stranger in a Strange Land" Roberta Heinleina, dla New English Library.

W latach siedemdziesiątych zainteresował się magią, okultyzmem i religią.

W 1976 r. wydawnictwo Paper Tiger wydało album „Eschatus", będący plonem jego poszukiwań „w tym temacie".

Twórczość Bruce'a Penningtona można traktować jako przegląd estetyk towarzyszących nam na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat.

Jest swoistym katalogiem zmieniających się mód, zainteresowań, fascynacji, zanotowaną na dziesiątkach płócien ewolucją sposobów obserwowania i interpretacji otaczającego nas świata.

Andrzej Brzezicki
(w przedziwny sposób postarzony o lat kilkanaście)

Album: ULTRATERRANIUM - The Paintings of Bruce Pennington; Dragon's World, Limpsfield 1991.



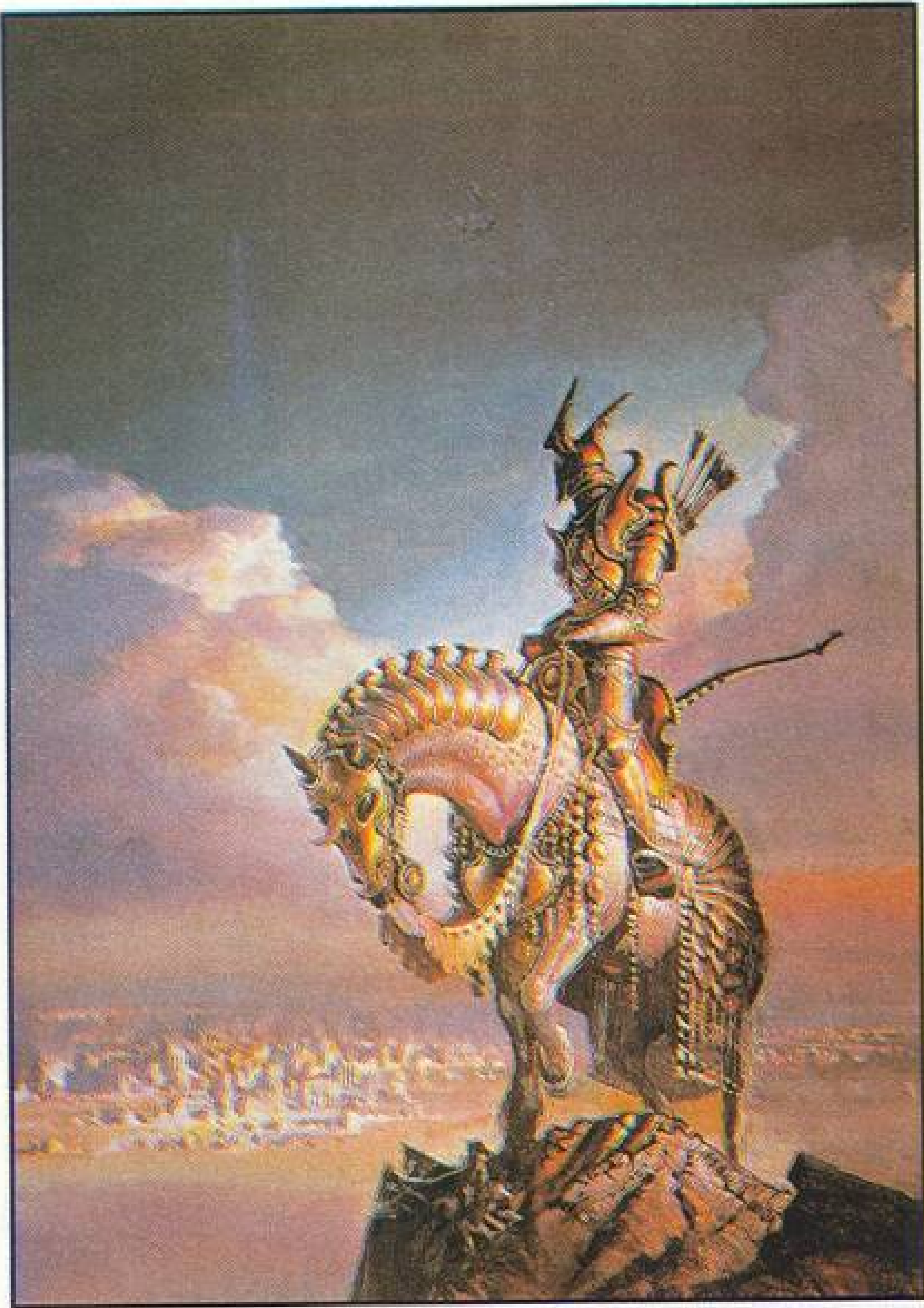
DESERTED ESTUARY



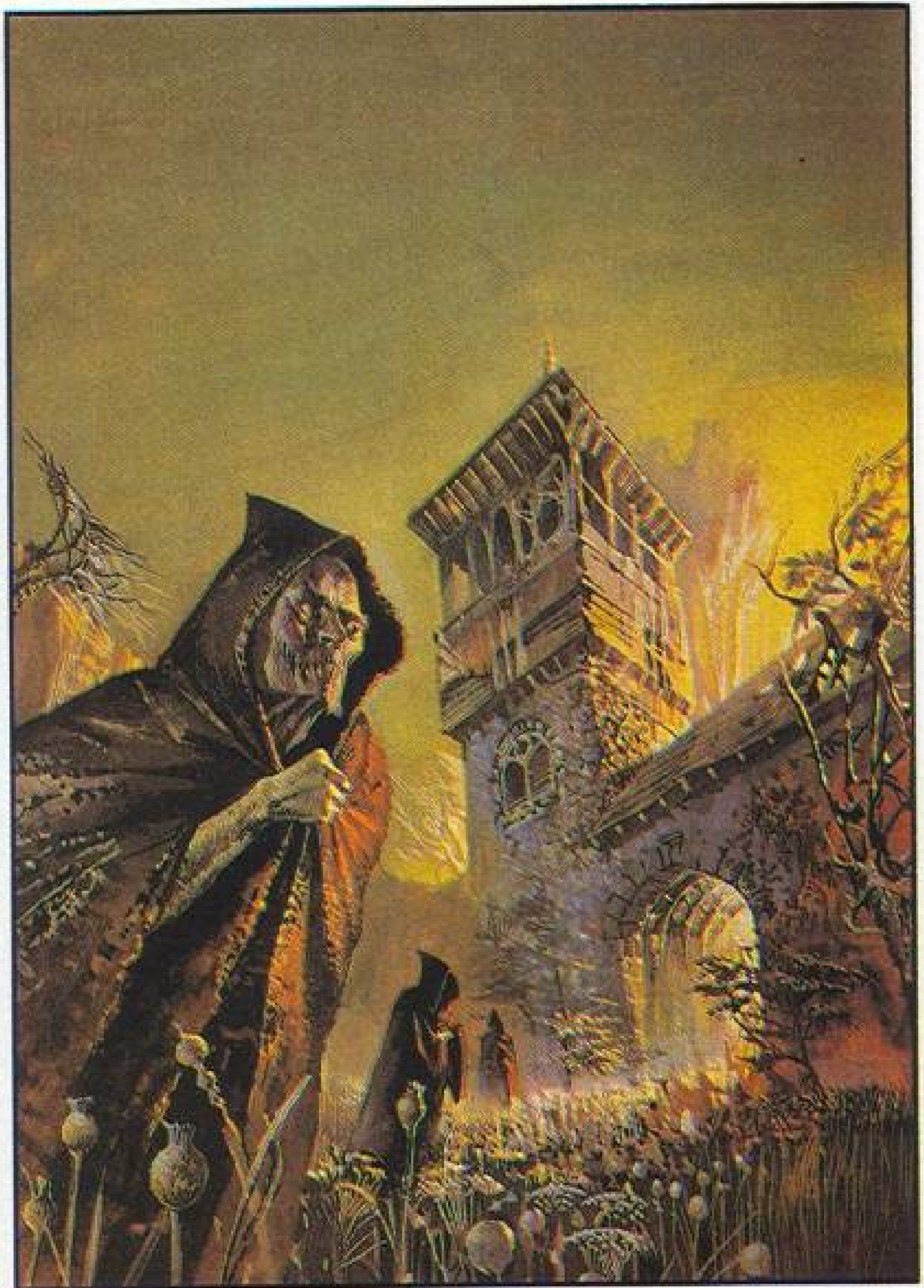
EARTHWORKS



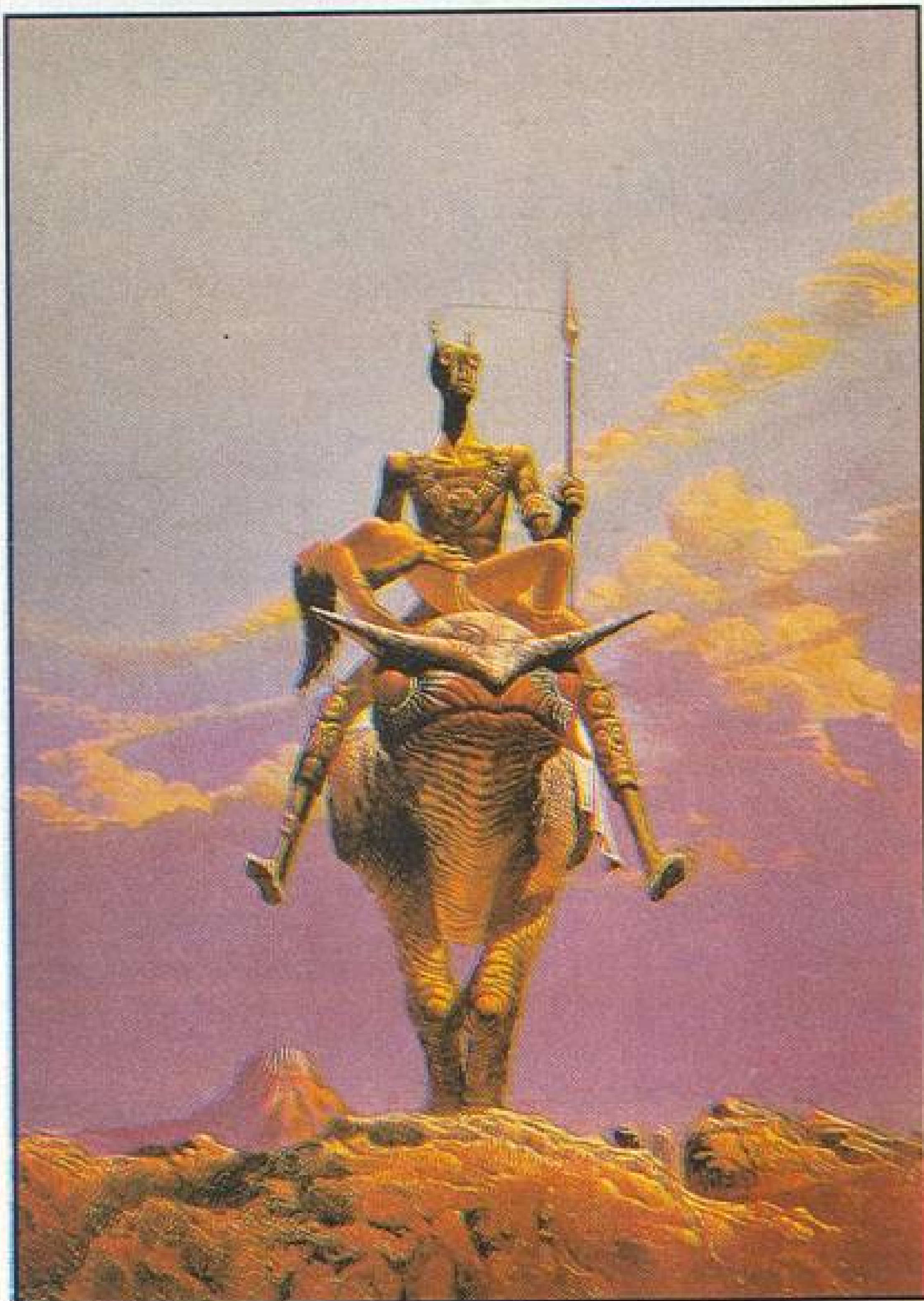
THE SHADOW OF THE TORTURER



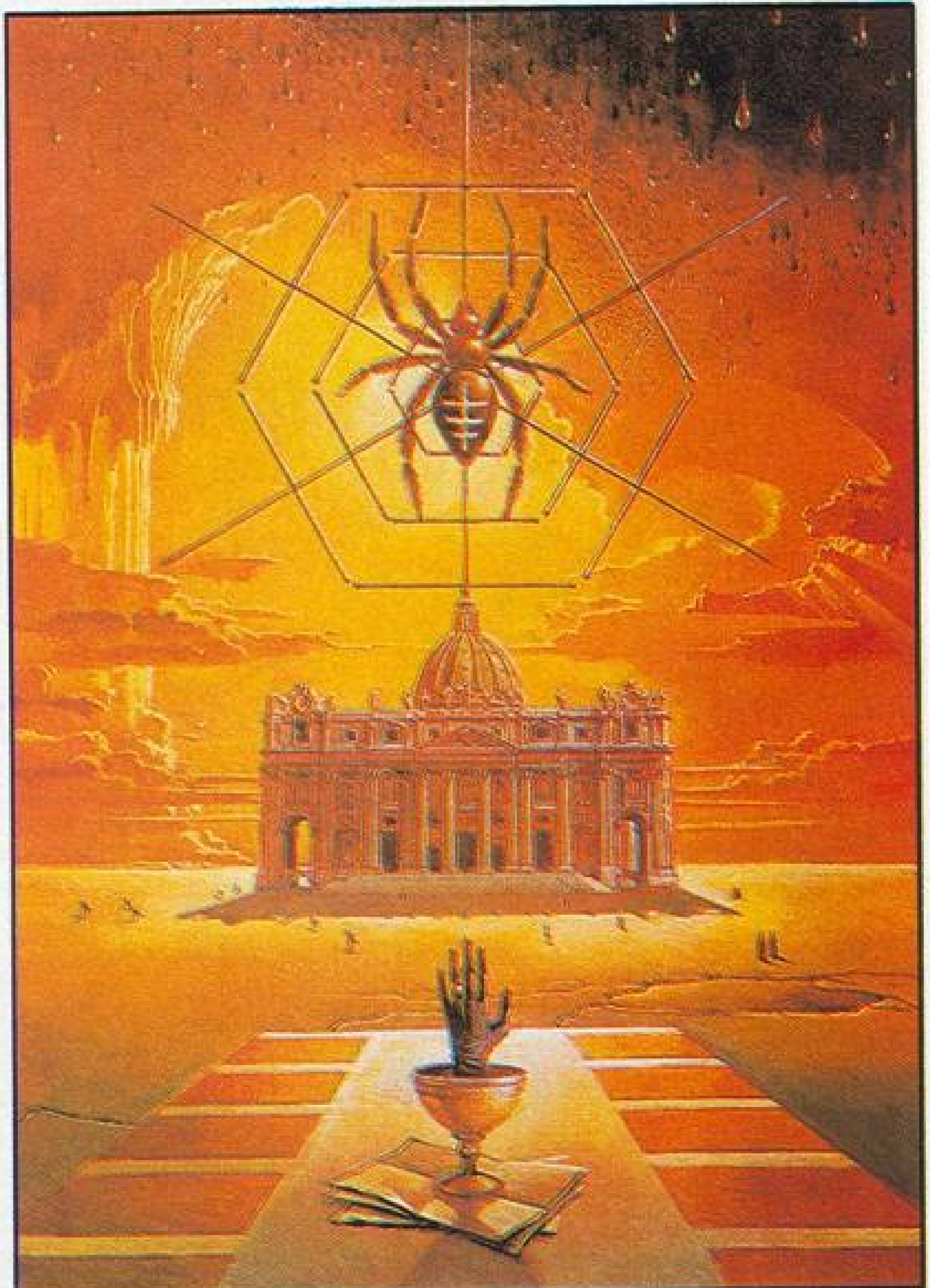
FLASHING SWORDS



TWILIGHT

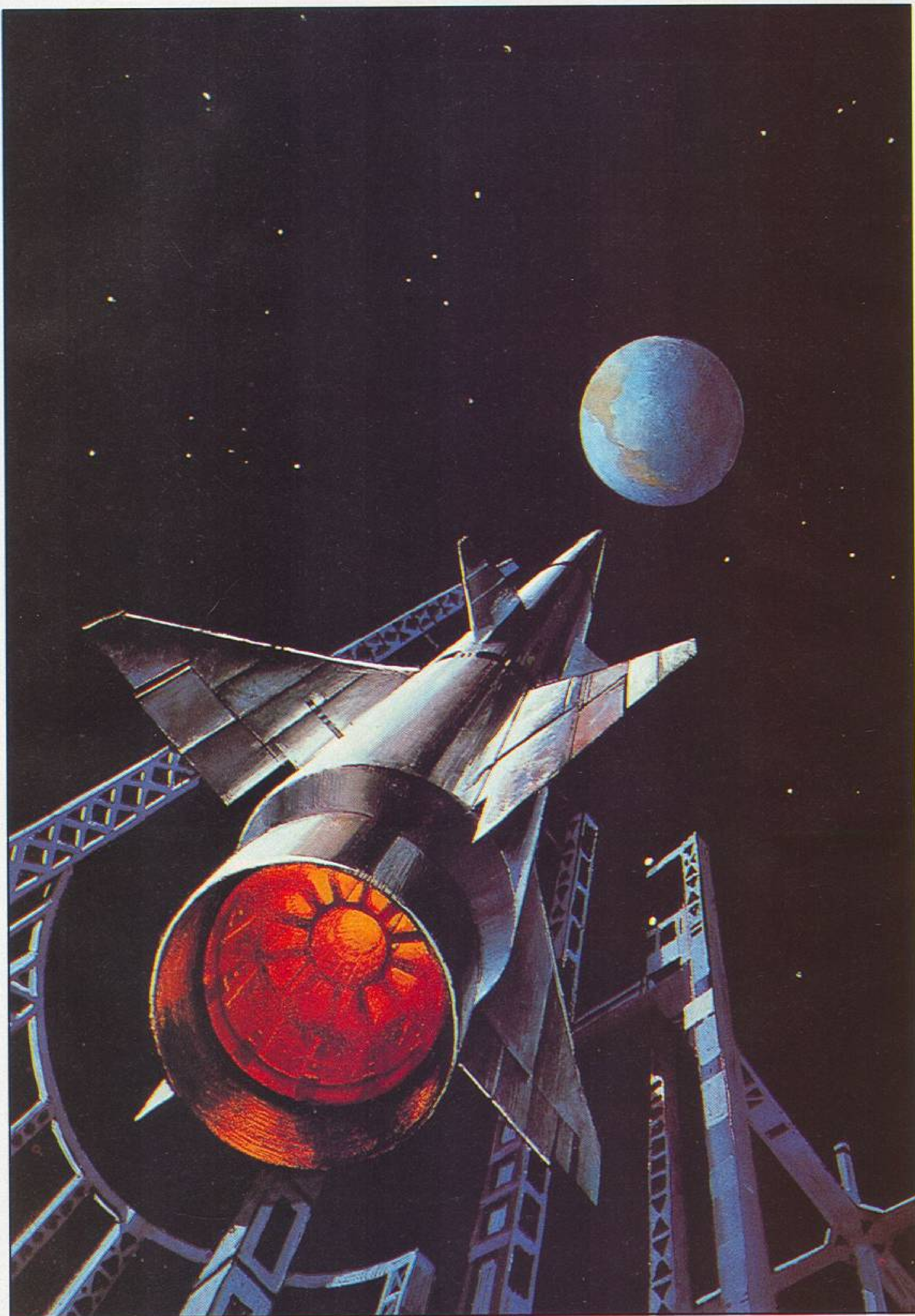


THE PRINCESS OF MARS



THE ANTIPODE





THE MOON IS A HARSH MISTRESS

Model nr 2

ze str. 16

– Przypomniałeś sobie już?
– Tak.
– Więc co to jest? – patrzyła na niego z uwagą. – Co? – powtórzyła ostro.
– Studnia. Ruiny studni. Pod nimi znajduje się ten garaż.
– Studnia. – Tasso odprężyła się. – W takim razie musimy ją znaleźć. – Spojrzała na zegarek. – Majorze, mamy godzinę. Czy myślisz, że uda nam się ją znaleźć w ciągu godziny?
– Daj mi rękę – powiedział Hendricks.
Tasso odłożyła pistolet i pomogła mu wstać.
– To nie będzie łatwe.
– Masz rację. – Hendricks zacisnął usta. – Ale chyba nie będziemy musieli iść daleko.
Ruszyli w drogę. Poranne słońce dawało niewiele ciepła. Okolica była zupełnie płaska i jałowa, rozciągała się przed nimi szara przestrzeń, bez żadnych znaków życia. Kilka ptaków krążyło cicho, wysoko nad nimi.
– Widzisz coś? – spytał Hendricks. – Żadnych szczęk?
– Nie. Na razie nie.
Minęli jakieś ruiny. Beton i cegła. Cementowe fundamenty. Kilka szczurów uciekło im spod nóg. Tasso odskoczyła przestraszona.
– To kiedyś było miasto – powiedział Hendricks. – Miasteczko. Prowincjonalne miasteczko. W tej okolicy uprawiano winorośl. Tu gdzie teraz jesteśmy.
Doszli do zburzonej ulicy. Przecinały ją szczeliny, w których rosły chwasty. Po prawej stronie sterczał kamienny komin.
– Uważaj – ostrzegł ją.
Minęli jakiś dół, dawne wejście do piwnicy. Wystawały z niego poszarpane końce rur, powyginane i zardzewiałe. Przeszli obok fragmentu domu. Po jednej stronie stała wanna, złamane krzesło. Kilka łyżek i kawałki porcelanowej zastawy. Na środku ulicy zapadła się ziemia. Zagłębienie pełne było chwastów, gruzu i kości.
– To tam – cicho powiedział Hendricks.
– Tędy?
– Na prawo.
Minęli resztki wielkiego czołgu. Licznik przy pasku Hendricksa zapiszczał ostrzegawczo. W czołgu znajdował się radioaktywny ładunek. Kilka metrów dalej leżało zmumifikowane ciało, rozciągnięte w nienaturalnej pozycji, z otwartymi ustami. Za drogą było już tylko płaskie pole, kamienie, chwasty i kawałki rozbitego szkła.
– Tam – powiedział Hendricks.
Z ziemi wystawała częściowo zburzona kamienna studnia. Leżało na niej kilka desek. Większość cembrowiny zapadła się w gruz. Hendricks szedł niepewnie w jej kierunku, Tasso za nim.
– Czy jesteś pewien, że to tu? – spytała Tasso. – To nie wygląda jak znak.
– Jestem pewien. – Hendricks usiadł na brzegu studni, zacisnął zęby. Oddychał szybko. Otarł pot z twarzy. – To było stworzone po to, żeby oficer dowodzący bazą mógł się w razie czego wydostać. Gdyby bunkier musiał się poddać.
– To ty nim byłeś?
– Tak.
– Gdzie jest statek? Tutaj?
– Stoimy na nim. – Hendricks przesunął ręką po kamieniach, z których zbudowana była studnia. – Fotokomórka reaguje tylko na mnie, na nikogo innego. To mój statek. To miał być mój statek.
Usłyszeli ostry trzask. Pod nimi rozległ się niski, głuchy dźwięk.
– Odsuń się – powiedział Hendricks. Obydwoje odeszli od studni.
Część ziemi osunęła się ukazując metalową ramę. Powoli wyłaniała się ona spod popiołu, odsuwając cegły i chwasty. Statek wysunął się na powierzchnię i wszystko znieruchomiało.
– To on – powiedział Hendricks.

Statek był niewielki. Stał spokojnie w swojej metalowej klatce. Wyglądał jak wielka, zgięta na końcu igła. Do ciemnej dziury, z której się wyłonił spadał deszcz popiołu. Hendricks podszedł w kierunku statku. Wspiął się na ramę, odkręcił luk i otworzył go. Wewnątrz widać było zegary kontrolne i fotel.
Tasso podeszła i stanęła obok niego zaglądając do środka.
– Nie jestem przyzwyczajona do pilotowania takiego statku – powiedziała po chwili.
Hendricks spojrzał na nią.
– Ja będę prowadził.
– Tak myślisz? Tam jest tylko jedno siedzenie, majorze. Ten statek jest przeznaczony dla jednej osoby.
Oddech Hendricksa stał się szybszy. Starannie obejrzał wnętrze statku. Tasso miała rację. Było tylko jedno miejsce. Statek został zaprojektowany tak, żeby pomieścić jedną osobę.
– Rozumiem – powiedział powoli. – Tą osobą jesteś ty.
Skinęła głową.
– Oczywiście.
– Dlaczego?
– Ty nie możesz pojechać. Mógłbyś nie przeżyć podróży. Jesteś ranny. Prawdopodobnie nie dostałbyś się tam.
– Ciekawa propozycja. Ale widzisz, ja wiem, gdzie znajduje się Baza Księżycowa. A ty nie. Możesz latać dookoła niej przez miesiąc i nie trafić tam. Jest dobrze ukryta. Jeżeli się nie wie, gdzie szukać...
– Muszę podjąć to ryzyko. Może nie znajdę jej. Na pewno nie sama. Ale myślę, że powiesz mi wszystko, co wiesz. Twoje życie od tego zależy.
– Dlaczego?
– Jeżeli znajdę Bazę Księżycową odpowiednio szybko, może uda mi się ich namówić, żeby wysłali po ciebie statek. Jeżeli znajdę Bazę szybko. Jeżeli nie, to nie masz żadnej szansy. Na statku na pewno są zapasy jedzenia. Starczą mi na długo...
Hendricks poruszył się niespokojnie. Ale uszkodzone ramię przeszkadzało mu. Tasso pochyliła się, odsuwając się lekko. Błyskawicznie podniosła rękę. Próbował się usunąć, ale ona była szybsza. Metalowa kula trafiła go w bok głowy, tuż nad uchem. Poczuł obezwładniający ból. Nagle zrobiło mu się ciemno przed oczami. Osunął się na ziemię.
Niejasno zdał sobie sprawę, że stoi nad nim Tasso i kopie go czubkiem buta.
– Majorze! Obudź się!
Otworzył oczy, jęknął.
– Posłuchaj mnie – pochyliła się, trzymając pistolet tuż przy jego twarzy. – Muszę się spieszyć. Zostało mi niewiele czasu. Statek jest gotowy do drogi, ale zanim odlecę, chcę, żebyś mi podał wszystkie potrzebne informacje.
Hendricks otrząsnął się, próbując zebrać myśli.
– No szybciej! Gdzie jest Baza Księżycowa? Jak ją znaleźć? Czego mam szukać?
Hendricks milczał.
– Odpowiedz!
– Słucham?
– Majorze, statek jest dobrze zaopatrzony. Mogę w nim przeżyć tygodnie. W końcu znajdę Bazę. A ty za pół godziny będziesz martwy. Twoja jedyna szansa... – przerwała.
Na zboczu, obok jakichś ruin, coś się poruszyło. Coś leżącego w popiele. Tasso odwróciła się szybko, wycelowała, strzeliła. Kulisty przedmiot zaczął uciekać, tocząc się. Strzeliła jeszcze raz. Szczęki rozpadły się na kawałki, kółka i sprężyny wyleciały w powietrze.
– Widzisz? – powiedziała Tasso. – Już się pojawiają. To nie potrwa długo. .
– Namówisz ich, żeby po mnie wrócili?
– Tak. Najszybciej, jak będę mogła.
Hendricks spojrzał na nią. Patrzył przez chwilę uważnie.
– Nie kłamiesz? – Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz jakby nagłego strachu i tęsknoty. – Wrócisz po mnie? Zabierzesz mnie do Bazy Księżycowej?
– Zabiorę cię do Bazy Księżycowej. Ale powiedz mi, gdzie to jest! Zostało mi niewiele czasu.
– Dobrze. – Hendricks usiadł i wziął do ręki kamień. – Patrz.
Zaczął rysować coś na piasku. Tasso stała obok niego, śle-

dząc oczami ruchy kamienia. Hendricks szkicował z grubsza mapę Księżyca.

– To jest pasmo Apeninów. Tu jest krater Archimedesa. Baza Księżycowa znajduje się za Apeninami, jakieś dwieście mil. Nie wiem dokładnie gdzie. Nikt na Ziemi nie wie. Ale kiedy będziesz nad Apeninami, wyślij sygnał, najpierw jedną rakietę czerwoną i jedną zieloną, a zaraz potem dwie czerwone, szybko po sobie. Monitor w Bazie odbierze twój sygnał. Baza jest oczywiście ukryta pod powierzchnią. Poprowadzą cię za pomocą sterów magnetycznych.

– A stery statku? Jak mam nimi operować?

– Prawie wszystko jest automatyczne. Musisz tylko wydać odpowiednią komendę w odpowiednim momencie.

– Dobrze.

– Fotel pochłania większość wstrząsów przy starcie. Powietrze i temperatura są kontrolowane automatycznie. Statek opuści Terrę i znajdzie się w przestrzeni kosmicznej. Sam ustawi się w kierunku Księżyca. Kiedy będziecie już blisko , zacznie krążyć po orbicie, około sto mil ponad powierzchnią. Ta orbita zaprowadzi cię w pobliże Bazy. Gdy znajdziesz się w pobliżu Apeninów, wypuść rakiety sygnalizacyjne.

Tasso wślizgnęła się do wnętrza statku i usiadła na fotelu. Pasy zapięły się automatycznie. Chwyciła stery.

– Szkoda, że nie możesz jechać, majorze. Wszystko to było przygotowane dla ciebie, a teraz musisz tu zostać.

– Zostaw mi pistolet.

Odpięła pistolet od paska. Trzymała go w ręku zastanawiając się nad czymś.

– Nie odchodź za daleko stąd. I tak trudno będzie cię znaleźć.

– Nie. Zostanę tu, obok studni.

Chwyciła rozrusznik, jej palce dotknęły gładkiego metalu.

– To piękny statek, majorze. Świetnie skonstruowany. Podziwiam jakość waszych wyrobów. Wasi ludzie zawsze dobrze pracowali. Produkujecie rzeczy najwyższej klasy. Praca i wynalazki to największe wasze osiągnięcia.

– Daj mi pistolet – powiedział Hendricks niecierpliwie wyciągając rękę. Usiłował wstać.

– Do widzenia, majorze! – Tasso odrzuciła daleko pistolet. Spadł za plecami Hendricksa, uderzył o ziemię i potoczył się kawałek dalej. Hendricks szybko odwrócił się za nim. Ukląkł i chwycił broń.

Luk statku zamknął się z trzaskiem. Podtrzymujące go pręty opadły. Hendricks zaczął iść z powrotem. Wewnętrzne drzwi zatrzasnęły się. Niepewnie podniósł pistolet.

Teraz słychać było grzmiący dźwięk. Statek wyprysnął ze swojej klatki. Metalowe pręty nagle zaczęły się topić. Hendricks przypadł do ziemi, odsuwając się. Statek przebił się przez skłębione chmury pyłu, znikając w przestworzach.

Hendricks stał patrząc długo, aż nawet strumień dymu rozpłynął się w powietrzu. Wokół nie widać było żadnego ruchu. Poranne powietrze wydawało się chłodne i spokojne. Zaczął iść bez celu z powrotem drogą, którą przyszli. Lepiej pozostawać w ciągłym ruchu. Minie dużo czasu, zanim nadejdzie pomoc – jeżeli w ogóle nadejdzie.

Szukał po kieszeniach, aż znalazł paczkę papierosów. Zapalił jednego łakomie. Oni wszyscy chcieli od niego papierosy. Ale miał ich niewiele.

Jaszczurka przebiegła przez popiół obok niego. Zatrzymał się w napięciu. Ale jaszczurka zniknęła. Na niebie nad nim słońce wznosiło się coraz wyżej. Kilka much usiadło na płaskiej skale tuż obok. Hendricks odpędził je stopą.

Robiło się gorąco. Pot spływał mu po twarzy, za kołnierz. Chciało mu się pić.

Przystanął teraz i usiadł na jakiejś kupie gruzu. Otworzył swoją apteczkę i połknął kilka pastylek nasennych. Rozejrzał się dookoła. Nie wiedział, gdzie jest.

Nagle szybko podniósł pistolet. Wydawało mu się, że zauważył człowieka. Przypomniał sobie jednak, że to szczątki Klausa, modelu nr 2. Tu właśnie Tasso zastrzeliła go. Widać było kółka, złącza, metalowe części rozrzucone po piasku. Błyszczące i mieniące się w świetle słońca.

Hendricks wstał i podszedł tam. Poruszył zdrętwiałą stopą. Zobaczył metalowy korpus, aluminiowe żebra. Masy przewodów, jak trzewia. Całe sterty drucików, przełączników i sprężynek. Niezliczone silniczki i pręty.

Pochylił się. Czaszka zgniotła się przy upadku. Widoczny był sztuczny mózg. Przyjrzał mu się. Labirynt obwodów. Miniaturowe rurki. Przewody tak cienkie jak włos. Dotknął czaszki. Odchyliła się. Zobaczył tabliczkę. Przyjrzał się jej.

Nagle zbladł.

M-4.

Przez długi czas patrzył na tabliczkę. Model nr 4. Nie numer 2. Pomylili się. Istniało jednak więcej typów. Nie tylko trzy. Może wiele więcej. Co najmniej cztery. I Klaus nie był modelem nr 2.

Ale jeżeli nie Klaus...

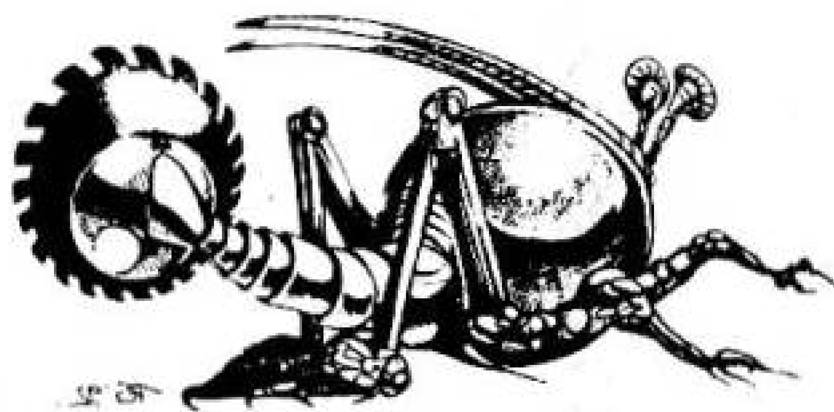
Nagle zesztywniał. Coś się zbliżało, brnąc przez popiół za wzgórzem. Co to mogło być? Wytężył wzrok. Postacie. Postacie zbliżające sie powoli, zapadające się w pył.

Idące w jego kierunku.

Hendricks kucnął szybko, podnosząc pistolet. Pot zalewał mu oczy. Walczył z opanowującą go paniką patrząc, jak postacie zbliżają się.

Pierwszy szedł David. David zauważył go i przyśpieszył kroku. Następny kroczył szybko za nim. Drugi David. Trzeci. Trzy, wszystkie identyczne, zbliżały się cicho w jego kierunku, ich twarze były zupełnie bez wyrazu, chude nóżki miarowo podnosiły się i opadały. Każdy trzymał w rękach pluszowego misia.

Wycelował i strzelił. Pierwsze dwa Davidy rozpadły się na kawałki. Trzeci szedł dalej. Za nim pojawiła się jeszcze jedna postać. Wolno brnęła w jego stronę, zapadając się w miękkim popiele. Ranny Żołnierz. Ranny Żołnierz i David. A...



A za Rannym Żołnierzem i Davidem szły, jedna obok drugiej, dwie Tasso. Skórzany pas, spodnie od rosyjskiego munduru, koszula, długie włosy. Znajoma postać, którą widział jeszcze tak niedawno. Siedzącą w fotelu statku. Dwie identyczne, szczupłe, milczące Tasso.

Były już bardzo blisko. David pochylił się, upuszczając swojego pluszowego misia, który nagle zaczął szybko sunąć po ziemi. Hendricks automatycznie nacisnął spust. Miś zniknął, rozpadł się na kawałki. Dwie Tasso zbliżały się, idąc jedna obok drugiej po szarym popiele.

Były tuż przy nim. Hendricks uniósł pistolet na wysokość biodra i strzelił.

Dwie Tasso rozprysły się. Ale pojawiła się już następna grupa, pięć czy sześć Tasso, wszystkie identyczne, idące rzędem w jego kierunku.

A on dał jej statek i kod. Przez niego była już w drodze do Bazy Księżycowej. To on do tego dopuścił.

Nie mylił się jednak, jeżeli chodzi o granat. Został wyprodukowany przez maszyny znające inne typy, Davida i Rannego Żołnierza. I Klausa. To nie ludzie go wymyślili. Powstał w jednej z podziemnych fabryk, gdzie nie pracował żaden człowiek.

Rząd Tasso zbliżył się do niego. Hendricks patrzył na nie spokojnie. Znajome twarze, koszule, pasy i starannie przymocowane do nich granaty.

Granaty.

Kiedy Tasso dotarły do niego, przez głowę Hendricksa przebiegła ostatnia, ironiczna myśl. Poczuł się trochę lepiej, gdy to sobie uświadomił. Granaty. Stworzone przez model nr 2 do niszczenia innych modeli.

Już więc zaczęły produkować broń jedne przeciwko drugim.

Przełożyła **Anna Koszur**

powieść

Robert A. Heinlein

OBCY W OBCYM KRAJU (2)

(Stranger in a Strange Land)

przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Rozdział VI



Marek Bielecki

Restauracja w Hagerstown miała to, co nazywa się „atmosferą": część stołów była ustawiona na trawniku schodzącym łagodnie do jeziora, część zaś wśród gałęzi trzech ogromnych drzew. Jill chciała jeść na drzewie, ale Ben dał w łapę *maitre d'hotel* i ten specjalnie dla nich ustawił stolik tuż nad brzegiem jeziora. Ben zażądał dodatkowo, żeby przyniesiono im odbiornik stereowizji.

Jill nie kryła rozczarowania.

– Po co płacić takie straszne pieniądze, jeżeli nawet nie możemy zjeść czegoś na drzewie, a w dodatku musimy się gapić w to cholerne pudło?

– Cierpliwości, moja mała. Przy tamtych stołach są zainstalowane mikrofony, żeby można było wezwać kelnera. Ten prawie na pewno nic takiego nie ma, bo kelner wziął go spośród kilku rezerwowych. Co zaś tyczy się stereowizji, to nie tylko nie jest po amerykańsku więc nie trzeba gapić się w ekran, ale przy okazji można wykorzystać fakt, że hałas z pewnością zakłóci odbiór z mikrofonu kierunkowego. Oczywiście zakładając, że ludzie pana Douglasa zechcą się nami aż tak bardzo interesować.

– Naprawdę myślisz, że nas śledzą? – zapytała Jill. Chyba nie nadaję się do roli przestępcy.

– To naprawdę nic strasznego. Kiedy zajmowałem się skandalem w General Synthetics, nigdy nie spałem w jednym miejscu więcej niż dwa razy pod rząd i odżywiałem się wyłącznie konserwami. Z czasem można to polubić. Przyśpiesza przemianę materii.

– Na moją dobrą przemianę wpłynąłby zamożny pacjent w podeszłym wieku.

– Nie chcesz za mnie wyjść, Jill?

– Będę chciała, kiedy już wyślę na tamten świat mojego przyszłego męża. Może zresztą stanę się wtedy tak bogata, że będę cię mogła trzymać jako zwierzątko domowe?

– Zacznij już dzisiaj.

– Nic z tego. Dopiero wtedy, jak tamten wykorkuje.

Program rozrywkowy, atakujący w trakcie obiadu ich bębenki nielitościwym strumieniem decybeli, został nagle przerwany. W odbiorniku pojawiła się głowa spikera, który uśmiechnął się szeroko i powiedział:

– SSS, Światowa Sieć Stereowizyjna i jej sponsor, Cukierki Maltuzjańskie*, Sp. z o. o., mają przyjemność oddać czas antenowy rządowi Federacji. Pamiętajcie, dziewczęta, każda z was ssie cukierki maltuzjańskie – wygodne, smaczne, niezawodne, dostępne bez recepty. Po co ryzykować, stosując przestarzałe, nieestetyczne, szkodliwe i niepewne sposoby? Po co ryzykować utratę jego miłości i szacunku? – Drapieżnie rozkoszny spiker spojrzał gdzieś w bok, po czym pośpiesznie dokończył: – Oto mądra dziewczyna, która stosuje cukierki maltuzjańskie. Zaraz po niej przed kamerami wystąpi sam sekretarz generalny!

Pojawiła się trójwymiarowa młoda kobieta, tak zmysłowa, piersiasta i uwodzicielska, że każdy mężczyzna po prostu musiał nagle poczuć niedosyt, spoglądając na znajdującą się akurat u jego boku partnerkę. Dziewczyna przeciągnęła się i wyszeptała łóżkowym głosem:

– Ja n i g d y nie rozstaję się z cukierkami maltuzjańskimi!

Obraz rozpłynął się, a w chwilę potem zabrzmiały dźwięki hymnu „Chwała wiecznemu pokojowi".

– A ty ssiesz te cukierki? – zapytał Ben.

– Nie twój interes! – parsknęła Jill, po czym dodała: – To oszukaństwo. A poza tym, skąd wiesz czy ja tego potrzebuję?

Caxton nic nie odpowiedział, bo odbiornik wypełnił się ojcowskimi rysami sekretarza generalnego Douglasa.

– Przyjaciele! – zaczął. – Współobywatele Federacji! Spotyka mnie dzisiaj niezwykły zaszczyt i wyróżnienie. Od chwili powrotu naszego wspaniałego „Championa"...

Douglas przez dłuższy czas gratulował mieszkańcom Ziemi zakończonej sukcesem próby nawiązania kontaktu z rasą żyjącą na innej planecie, dając zręcznie do zrozumienia, że sukces ten został osiągnięty przy osobistym współudziale każdego z ludzi i że w gruncie rzeczy każdy z nich mógłby stać na czele ekspedycji, gdyby nie to, że akurat miał coś innego do roboty, oraz że on, sekretarz generalny, był jedynie posłusznym instrumentem realizującym ich wolę. Ogólna wymowa wypowiedzi była taka, że przeciętny obywatel jest równy innym, będąc jednocześnie niemal od wszystkich lepszym, i że stary dobry Joe Douglas stanowi uosobienie takiego właśnie przeciętnego człowieka. Jego wymięty krawat i równiutko przylizane włosy miały to wrażenie potwierdzać.

Ben zastanawiał się, kto mógł mu to napisać. Najprawdopodobniej Jim Sanforth, który z całego sztabu Douglasa miał największe wyczucie w dobieraniu kojących przymiotników, mile łechcących uszy słuchaczy. Zanim zabrał się za politykę, pisywał teksty reklamówek i nie miał żadnych skrupułów. Tak, ten kawałek o „dłoniach kołyszących dziecko" z całą pewnością wyszedł spod jego pióra. Jim był jednym z tych mężczyzn, którzy potrafią uwieść każdą dziewczynę, mając jako przynętę choćby jeden cukierek.

– Wyłącz to! – zażądała Jill.

– Ciii, malutka. Muszę go wysłuchać.

– ...i tak oto, przyjaciele, mam zaszczyt przedstawić wam naszego współobywatela Valentine'a Michaela Smitha, Człowieka z Marsa! Mike, wiemy, że jesteś zmęczony i ostatnio nie najlepiej się czułeś, ale czy mógłbyś powiedzieć parę słów do swoich przyjaciół?

Na ekranie pojawiło się półzbliżenie człowieka siedzącego w wózku inwalidzkim. Z jednej jego strony stał ojcowski Douglas, a z drugiej sztywno wyprostowana, niezwykle fotogeniczna pielęgniarka.

Jill ze zdumienia wciągnęła głośno powietrze.

– Cicho! – szepnął Ben.

Gładka, dziecinna twarz człowieka siedzącego w fotelu rozjaśniła się w nieśmiałym uśmiechu. Spojrzał prosto w kamerę i powiedział:

– Witajcie. Wybaczcie, że siedzę. Jestem jeszcze trochę osłabiony.

Mówił z wyraźną trudnością; pielęgniarka nachyliła się nad nim, żeby zbadać tętno.

Odpowiadając na pytania Douglasa Człowiek z Marsa prawił komplementy kapitanowi van Trompowi i jego załodze, dziękował za ratunek i podkreślał, że wszyscy na Marsie są szalenie podekscytowani spotkaniem z Ziemianami, i że on osobiście ma nadzieję przyczynić się do nawiązania przyjacielskich kontaktów między obiema planetami. Pielęgniarka chciała już przerwać rozmowę, ale Douglas zapytał łagodnie:

– Mike, czy możesz nam odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie?

– Oczywiście, panie Douglas. Jeżeli tylko będę potrafił.

– Co sądzisz o ziemskich dziewczętach?

– Ooo!

Na nagle zaróżowionej, dziecięcej twarzy pojawił się ekstatyczny uśmiech. Kamerzysta zrobił zbliżenie głowy i ramion sekretarza generalnego.

– Mike prosił mnie, bym wam przekazał – kontynuował ojcowskim tonem Douglas – że wróci do was, jak tylko będzie mógł. Sami rozumiecie, najpierw musi nabrać trochę sił. Być może, zobaczycie go już za tydzień, o ile lekarze uznają, że mu to nie zaszkodzi.

Pojawiła się kolejna reklamówka cukierków maltuzjańskich; wynikało z niej jednoznacznie, że dziewczyna, która ich nie zażywa, jest nie tylko niespełna rozumu, ale w pewnym sensie stanowi nawet zagrożenie dla otoczenia i na jej widok każdy mężczyzna przejdzie bezzwłocznie na drugą stronę ulicy. Ben zmienił kanał, po czym odwrócił się do Jill i powiedział ponuro:

– No, wygląda na to, że mogę podrzeć jutrzejszy artykuł. Douglas ma go w swoich łapach.

– Ben!

– Słucham?

– To nie jest Człowiek z Marsa!

– Co takiego? Dziecino, jesteś pewna?

– Jest do niego podobny, ale to na pewno nie ten pacjent, którego widziałam w izolatce.

Ben zwrócił jej uwagę, że przecież Smitha widziało już dziesiątki ludzi – strażnicy, pielęgniarze, lekarze, kapitan i załoga „Championa". Być może, także i inni. Część z nich z całą pewnością oglądała program. Administracja od samego początku musiałaby się liczyć z tym, że niektórzy zauważą oszustwo. To nie miało sensu – ryzyko było zbyt duże.

W odpowiedzi Jill hardo wysunęła dolną wargę i upierała się, że to na pewno nie był człowiek, z którym rozmawiała w szpitalu.

– Dobrze, niech będzie po twojemu! – prychnęła wreszcie ze złością. – Mężczyźni!

– Ależ, Jill...

– Odwieź mnie do domu.

Ben wyszedł zamówić taksówkę. Nie wezwał jej z restauracji, tylko poszedł na znajdujące się nie opodal lądowisko. W drodze powrotnej Jill nie odezwała się ani słowem, natomiast Ben wyciągnął z teczki dialogi spisane z taśmy i przeczytał je uważnie jeszcze raz. Skończywszy zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział:

– Jill?

– Tak, panie Caxton?

– Ja ci dam pana! Przepraszam cię. Nie miałem racji.

– W jaki sposób doszedłeś do tego wniosku?

* *Thomas Robert Malthus (1766-1834) – angielski ekonomista głoszący pogląd, że liczba ludności Ziemi powiększa się z szybkością przekraczającą tempo wzrostu produkcji żywności i że tragicznych konsekwencji wynikających z tego faktu można uniknąć wyłącznie dzięki klęskom w rodzaju wojen, powodzi i trzęsień ziemi, które pochłaniają olbrzymie ilości ofiar, a także dzięki wstrzemięźliwości płciowej wynikającej z nakazów moralnych (przyp. tłum.).*

Klepnął dłonią w leżący na kolanach plik papierów.

– Sądząc po tym, jak zachowywał się jeszcze wczoraj, to nie mógł być on. W tak stresowej sytuacji z całą pewnością zapadłby w trans.

– Cieszę się, że wreszcie zacząłeś zwracać uwagę na oczywiste rzeczy.

– Czy byłabyś uprzejma kopnąć mnie raz, ale dobrze, a potem zostawić w spokoju? Czy wiesz, co to oznacza?

– Że posłużyli się jakimś aktorem. Powiedziałam ci to już godzinę temu.

– Zgadza się. Zupełnie niezły aktor. Ale tu chodzi o coś więcej. Według mnie istnieją dwie możliwości: albo Smith nie żyje i...

– Mój Boże, nie żyje!

Jill przypomniała sobie tajemniczą ceremonię dzielenia się wodą i nagle niemal poczuła obok siebie obecność dziwnej, niemożliwej do opisania słowami, osobowości Smitha.

– Kto wie? Jeżeli mam rację, to dubler pozostanie przy życiu tylko tak długo, jak długo będą go potrzebować. Potem „umrze" i zostanie wywieziony z miasta z tak silnie uwarunkowanym zakazem mówienia o całej sprawie, że dostałby ataku astmy, gdyby próbował pisnąć choćby słowo. Kto wie, może nawet zrobiliby mu lobotomię? Jeżeli Smith rzeczywiście jest martwy, to właściwie możemy od razu zająć się czymś innym, bo nigdy nie uda nam się dowieść prawdy. Dlatego lepiej załóżmy, że jednak żyje.

– Och, mam nadzieję!

– „Czym Hekuba dla ciebie lub ty dla Hekuby?" – zacytował niedokładnie Caxton. – Jeżeli żyje, to i tak może się jeszcze okazać, że w tej sprawie nie ma nic nieczystego. Przecież ważne osobistości bardzo często korzystają z usług dublerów. Może za dwa lub trzy tygodnie nasz przyjaciel Smith będzie już w na tyle dobrym stanie, że zdecydują się go pokazać publiczności, chociaż, szczerze mówiąc, diabelnie w to wątpię.

– Dlaczego?

– Rusz mózgownicą, kociaczku. Douglasowi już raz nie udało się wyciągnąć od niego tego, co chciał. Ponieważ jednak ta sprawa nie może zostać nie załatwiona, Douglas schowa zapewne Smitha tak głęboko, że nikt go nie znajdzie. Nigdy nie będzie nam dane ujrzeć prawdziwego Człowieka z Marsa.

– Uważasz, że go zabije?

– Po co być aż tak brutalnym? Wystarczy, że umieści go w jakimś prywatnym domu opieki i nie pozwoli kontaktować się z nikim z zewnątrz.

– O, Boże! Ben, co robić?

Caxton skrzywił się.

– Na razie to oni ustalają reguły gry, ale mam zamiar zjawić się tam w towarzystwie Świadka i prawnika i zażądać widzenia ze Smithem. Może uda mi się wyciągnąć tę sprawę na światło dzienne.

– Będę z tobą!

– Jeszcze czego. Sama powiedziałaś, że to może zniszczyć twoją karierę.

– Przecież potrzebujesz mnie, żebym go zidentyfikowała.

– Kiedy już stanę z nim twarzą w twarz będę potrafił poznać, czy to tylko zręczny aktor, czy naprawdę ktoś, kto całe życie spędził wśród istot zupełnie innych niż ludzie. Gdyby jednak coś miało się nie udać, będziesz moim ukrytym atutem – wiesz, że próbują bawić się z nami w chowanego, a w dodatku masz dostęp do Bethesda Center. Kochanie, jeżeli słuch o mnie zaginie, możesz działać na własną rękę.

– Ben, oni chyba nie zrobią ci nic złego?

– Maluchu, tym razem walczę trzy kategorie wyżej, niż wynikałoby to z mojej wagi.

– To mi się wcale nie podoba. Co masz zamiar zrobić, kiedy już uda ci się do niego dotrzeć?

– Zapytam go, czy chce wyjść ze szpitala. Jeżeli powie, że tak, to od razu go zabiorę. W obecności Świadka nie odważą się nas zatrzymać.

– A co potem? Ciągle jeszcze potrzebuje opieki lekarskiej. Ben, on naprawdę nie potrafi się o siebie zatroszczyć.

Caxton ponownie się skrzywił.

– Myślałem już o tym. Moglibyśmy na przykład umieścić go w moim mieszkaniu i...

– ...i ja bym się nim opiekowała. Zróbmy tak!

– Powoli, powoli. Douglas z całą pewnością coś by wykombinował, żeby Smitha z powrotem zamknąć w klatce. Nas zresztą też. – Zmarszczył brwi. – Ale znam kogoś, komu mogłoby to ujść na sucho.

– Kogo?

– Wiesz, kto to jest Jubal Harshaw?

– A kto nie wie?

– To właśnie jedna z jego zalet: wszyscy go znają. Dzięki temu nie można go sobie podporządkować. Jest jednocześnie lekarzem i prawnikiem, a to czyni go podwójnie uodpornionym. A co najważniejsze, jest tak wielkim indywidualistą, że gdyby tylko miał ochotę, stanąłby ze scyzorykiem w ręku przeciwko całej Federacji. To zwiększa jego wartość jeszcze ośmiokrotnie. Poznałem go podczas jakiegoś procesu o zniesławienie; jest przyjacielem, na którego zawsze można liczyć. Jeżeli uda mi się wyciągnąć Smitha z Bethesda Center, zabiorę go do Harshawa w Góry Pocono. Niech rządowe pieski usiłują go stamtąd wyszarpać!

Rozdział VII

Jill przejęła dyżur dziesięć minut wcześniej niż wynikało z jej rozkładu zajęć. Obiecała Benowi, że nie będzie ingerować w jego próbę skontaktowania się ze Smithem, ale chciała być możliwie blisko. Niewykluczone, że będą mu potrzebne posiłki.

Żołnierze zniknęli z korytarza. Dzięki tackom z lekami i pacjentom czekającym na operacje, przez następne dwie godziny Jill nie miała na nic czasu; zdołała tylko w przelocie nacisnąć klamkę w drzwiach do pokoju K-12. Były zamknięte, podobnie jak te prowadzące do minipoczekalni. Korzystając z nieobecności strażników miała zamiar wśliznąć się właśnie przez to pomieszczenie, ale miała zbyt wiele do roboty. Niemniej jednak starała się przyglądać uważnie wszystkim osobom pojawiającym się na jej piętrze.

Ben się nie pokazał. Wzięta dyskretnie na spytki koleżanka także nie widziała, żeby ktoś wchodził do pokoju K-12. Jill trochę to zdziwiło; Ben nie ustalał dokładnie czasu, ale miał zamiar przypuścić szturm możliwie wcześnie rano.

Musiała sprawdzić, co się dzieje. Korzystając z chwili spokoju zapukała do drzwi pomieszczenia, w którym przebywał lekarz sprawujący opiekę nad Smithem, wsadziła do środka głowę i udała lekkie zdziwienie.

– Och! Dzień dobry, doktorze. Myślałam, że jest tu doktor Frame.

Lekarz siedzący przy konsolecie obejrzał ją od stóp do głów i twarz rozpromieniła mu się szerokim uśmiechem.

– Nie widziałem go dzisiaj, siostro. Jestem doktor Brush. Mogę w czymś pomóc?

Widząc typowo męską reakcję Jill nieco się odprężyła.

– Och, to nic takiego. Jak się miewa Człowiek z Marsa?

– Proszę?

Uśmiechnęła się.

– Tutaj to nie tajemnica, doktorze. Pański pacjent... – Nie dokończyła, pokazując ruchem głowy w stronę sąsiedniego pokoju.

– Że co? – Lekarz sprawiał wrażenie mocno zdezorientowanego. – To jego t u t a j trzymają?

– Jak to, czyżby go nie było?

– Nie, z dokładnością do sześciu miejsc po przecinku. To pani Rose Bankerson, pacjentka doktora Garnera. Przenieśliśmy ją z samego rana.

– Naprawdę? A co się stało z Człowiekiem z Marsa?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę straciłem okazję, żeby zobaczyć z bliska Valentine'a Smitha?

– Był tu jeszcze wczoraj.

– Chyba tylko ja mogłem mieć takiego pecha! Niech siostra zobaczy, co mi się dostało.

Włączył monitor, na którym pojawił się obraz z kamery zainstalowanej w sąsiednim pokoju. W łóżku leżała drobna, stara kobieta.

– Co jej jest?

– Hmm... Gdyby nie to, że ta pani ma dużo za dużo pieniędzy, nazywałoby się to po prostu demencją starczą. A tak leży tutaj, czekając końca i ostatecznej diagnozy.

Jill porozmawiała jeszcze chwilę z lekarzem, a potem pod pierwszym lepszym pretekstem wyszła z dyżurki. Sprawdziła w książce oddziału – to, co powiedział lekarz, zgadzało się: „V. M. Smith, K-12, przen." A pod spodem: „Do K-12 Rose S. Bankerson, dr Garner, dieta bez żadn. dod."

Dlaczego przenosiny odbyły się w nocy? Zapewne żeby uniknąć niepotrzebnych świadków. Ale dokąd go zabrali? Normalnie zadzwoniłaby po prostu do izby przyjęć, ale po rozmowie z Benem i sfałszowanym wywiadzie w stereowizji zrobiła się trochę przewrażliwiona. Postanowiła zaczekać i spróbować dowiedzieć się czegoś ze źródeł nieoficjalnych.

Przede wszystkim jednak poszła do automatu telefonicznego i spróbowała połączyć się z Benem. W redakcji powiedziano jej, że pan Caxton wyjechał z miasta. W pierwszej chwili zaniemówiła ze zdumienia, ale zdołała się jakoś wziąć w garść i poprosiła, żeby przekazano mu informację o jej telefonie.

W domu nie było go również, nagrała więc prośbę, żeby natychmiast się z nią skontaktował.

*

Ben Caxton nie marnował czasu. Zatrudnił samego Jamesa Olivera Cavendisha. Wprawdzie wystarczyłby jakikolwiek Świadek, ale Cavendish cieszył się taką reputacją, że w sprawach, w których występował, sędzia był już właściwie niepotrzebny. Zaawansowany wiekiem dżentelmen zeznawał wielekroć przed Sądem Najwyższym, niektóre zaś z krążących o nim plotek mówiły, że łączna suma kwot zawartych w testamentach powierzonych jego pamięci sięgała wielu miliardów. Był uczniem wielkiego doktora Samuela Renshawa, natomiast trening hipnotyczny odebrał jako członek Kryształowej Fundacji. Za jeden dzień pracy żądał więcej niż Ben zarabiał przez tydzień, lecz Caxton miał nadzieję, że wszystkie koszty pokryje gazeta. Do tego zadania nawet najlepszy Świadek nie był wystarczająco dobry.

Ben najpierw wstąpił po młodszego Frisby'ego z kancelarii adwokackiej „Biddle, Frisby, Frisby, Biddle & Reed", potem zaś po Cavendisha. Szczupła postać Świadka, spowita w białą szatę stanowiącą znak jego profesji, nasunęła Benowi skojarzenia ze Statuą Wolności. Wcześniej Caxton zapoznał ze swoimi zamiarami Frisby'ego (zdaniem adwokata podejrzenia opierały się na wyjątkowo kruchych podstawach), żeby w obecności Świadka, tak jak wymagały tego przepisy, nie mówić o tym, co ten miał dopiero zobaczyć i usłyszeć.

Taksówka wysadziła ich przy Bethesda Center. Udali się od razu do biura dyrekcji, gdzie Ben pokazał swoją legitymację i zapytał, czy mógłby widzieć się z dyrektorem.

Siedząca za biurkiem kobieta zapytała wyniośle, czy był umówiony, na co Ben musiał przyznać, że nie.

– W takim razie ma pan bardzo wątłe szanse, żeby porozmawiać z doktorem Broemerem. O jaką sprawę chodzi?

– Proszę mu powiedzieć – powiedział Ben na tyle głośno, żeby usłyszeli go wszyscy znajdujący się w pobliżu – że Caxton, ten od „Gniazda wron", przyszedł ze Świadkiem i prawnikiem, żeby przeprowadzić wywiad z Valentine'em Michaelem Smithem, Człowiekiem z Marsa.

Zaskoczył tym sekretarkę, która jednak szybko się opanowała i odparła lodowatym tonem:

– Przekażę mu to. Zechcą panowie usiąść.

– Dziękuję, poczekamy tutaj.

Frisby wyciągnął cygaro, Ben przechadzał się nerwowo, natomiast Cavendish czekał z cierpliwym spokojem kogoś, kto widział już wszysto co dobre i złe na tym świecie. Wreszcie Królowa Śniegu wróciła i oznajmiła:

– Przyjmie panów pan Berquist.

– Berquist? Gil Berquist?

– Pan Gilbert Berquist.

Caxton zastanowił się szybko; Gil Berquist był jednym z całego zastępu popychadeł Douglasa, oficjalnie nazywanych jego „asystentami".

– Nie interesuje mnie Berquist. Chcę rozmawiać z dyrektorem.

Ale Berquist był już przy nich, z wyciągniętą ręką i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Benny Caxton! Jak się masz, brachu! Ciągle pisujesz te łzawe historyjki? – Zerknął szybko na Świadka.

– Ciągle. Co tu robisz, Gil?

– Jeżeli kiedykolwiek uda mi się opuścić służbę państwową, też zafunduję sobie stałą kolumnę w jakiejś gazecie. To musi być bosko przeteleksować rano kilkaset słów jakichś plotek, a potem robić przez resztę dnia, co dusza zapragnie. Zazdroszczę ci, Ben.

– Zapytałem, co tutaj robisz, Gil. Chcę się widzieć z dyrektorem, a potem z Człowiekiem z Marsa. Nie przyszedłem tu, żebyś spławił mnie w wielkopański sposób.

– Ależ, Ben! Doktor Broemer był wprost rozchwytywany przez dziennikarzy, więc sekretarz generalny przysłał mnie, żebym zdjął z barków dyrektora część tego ciężaru.

– Dobra. Chcę się widzieć ze Smithem.

– Mój kochany, z nim chce się widzieć każdy reporter, korespondent, komentator, felietonista i redaktor, nie wspominając już o ich żeńskich odpowiednikach. Dwadzieścia minut temu była tutaj Polly Podglądaczka, żeby przeprowadzić z nim wywiad o zwyczajach seksualnych Marsjan.

Berquist z oburzeniem podniósł obie ręce.

– Chcę się widzieć ze Smithem. Pozwolisz mi, czy nie?

– Ben, chodź do jakiejś knajpki, gdzie spokojnie pogawędzimy nad szklaneczką czegoś mocniejszego. Powiem ci wszystko, co wiem.

– Nie chcę, żebyś mi cokolwiek mówił. Muszę porozmawiać ze Smithem. To mój adwokat, Mark Frisby.

Tak, jak było w zwyczaju, Ben nie przedstawił Świadka.

– My już się znamy – powiedział Berquist. – Jak tam ojciec, Mark? Ciągle ma kłopoty z zatokami?

– Od czasu do czasu.

– To przez ten cholerny klimat. No, chodźże, Ben. I ty też, Mark.

Caxton nie miał zamiaru ustąpić.

– Chwileczkę! Chcę rozmawiać z Valentine'em Michaelem Smithem. Reprezentuję redakcję „Post", a pośrednio jej dwieście milionów czytelników. Czy mogę się z nim zobaczyć? Jeżeli nie, to powiedz mi to wyraźnie i uzasadnij odmowę.

Berquist westchnął ciężko.

– Mark, może powiesz temu wścibskiemu skrybie, że nie może ot, tak sobie, zwalać się na głowę choremu człowiekowi? Nawet tego wczorajszego wywiadu Smith udzielił wbrew wyraźnym zaleceniom lekarza. Chłopak ma święte prawo do tego, żeby w ciszy i spokoju odzyskiwać siły.

– Krążą plotki, że wczorajszy wywiad był sfałszowany – wtrącił się Ben.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Berquista.

– Frisby, czy mógłbyś uświadomić swojego klienta, co to jest zniesławienie? – powiedział zimno.

– Spokojnie, Ben.

– Wiem, co to jest zniesławienie, Gil. Ale kogo ja zniesławiam? Człowieka z Marsa, czy kogoś innego? Jeżeli tak, to wymień jego nazwisko. – Podniósł głos. – Powtarzam jeszcze raz: słyszałem, że osobnik, który wczoraj wieczorem wystąpił w stereo, nie był Człowiekiem z Marsa. Chcę się z nim zobaczyć i osobiście go o to zapytać.

W zatłoczonym pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo cicho. Berquist spojrzał wściekle na Świadka, ale zaraz się opanował i powiedział z uśmiechem:

– Ben, jest całkiem możliwe, że właśnie udało ci się uzyskać zgodę na wejście do jego pokoju. A potem na salę sądową. Zaczekaj chwilę.

Wrócił bardzo szybko.

– Załatwiłem ci to, chociaż wcale na to nie zasługujesz – powiedział zmęczonym głosem. – Chodź ze mną. Tylko ty. Przykro mi, Mark, ale nie możemy tam robić zbyt wielkiego ścisku. Smith jest po prostu chory.

– Nic z tego – odparł Ben.

– Jak to?

– Albo my trzej, albo żaden z nas.

– Ben, nie wygłupiaj się. Przecież robimy dla ciebie wyją-



Marek Bielecki

tek. Wiesz co? Mark może iść z nami, ale poczeka na korytarzu, a on przecież nie jest ci do niczego potrzebny.

Mówiąc to wskazał na Cavendisha, który zdawał się niczego nie słyszeć.

– Może i nie, ale po południu znajdziesz w moim artykule informację o tym, że rząd nie zgodził się na obecność Świadka podczas mojej rozmowy z Człowiekiem z Marsa.

Berquist wzdrygnął się.

– Dobrze więc, chodźcie wszyscy. Mam nadzieję, Ben, że te wszystkie oszczerstwa jeszcze kiedyś wyjdą ci bokiem.

Ze względu na wiek Cavendisha jechali najpierw windą, a potem ruchomym chodnikiem wzdłuż laboratoriów i sal, mijając oddział za oddziałem. W pewnej chwili zatrzymał ich strażnik, który przekazał ich następnemu posterunkowi. Wreszcie znaleźli się w dyżurce wypełnionej po sufit aparaturą używaną do ciągłego śledzenia funkcjonowania organizmu ciężko chorych pacjentów.

– To jest doktor Tanner – przedstawił im Berquist siedzącego w pokoju lekarza. – Doktorze, panowie Caxton i Frisby. – Cavendish, rzecz jasna, nie został przedstawiony.

Tanner sprawiał wrażenie lekko zaniepokojonego.

– Panowie, mam do was ogromną prośbę: nie mówcie ani nie róbcie niczego, co mogłoby zaniepokoić pacjenta. Ma wybitnie neurotyczną osobowość i łatwo zapada w stan patologicznego transu, o ile można to tak określić.

– Epilepsja? – zapytał Ben.

– Laik mógłby tak powiedzieć, ale to raczej coś w rodzaju katalepsji.

– Jest pan psychiatrą?

Tanner zerknął na Berquista.

– Tak.

– Gdzie pan robił specjalizację?

– Ben, może lepiej chodźmy zobaczyć chorego – wtrącił się Berquist. – Później wypytasz o wszystko doktora Tannera.

– Dobra.

Tanner obrzucił badawczym spojrzeniem wskaźniki, po czym pstryknął wyłącznikiem i spojrzał na ekran. Po chwili otworzył drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju i wszedł tam jako pierwszy, wymownym gestem nakazując im ciszę.

W pomieszczeniu panował półmrok.

– To dlatego, że jego wzrok nie jest przyzwyczajony do naszego poziomu jasności – wyjaśnił Tanner półgłosem. Podszedł do zajmującego środek pokoju łóżka. – Mike, przyprowadziłem ci kilku przyjaciół.

Caxton postąpił kilka kroków naprzód. Na wodnym materacu leżał młody mężczyzna, przykryty po pachy cienkim prześcieradłem. Przyglądał im się bez słowa. Jego gładka, okrągła twarz nie miała żadnego wyrazu.

O ile Ben mógł się zorientować, był to ten sam człowiek, którego poprzedniego wieczoru widział w stereowizji. Przez chwilę poczuł się dziwnie słabo na myśl, że mała Jill wkopała go w niezłą historię – odszkodowanie za zniesławienie może załatwić go do końca życia.

– Ty jesteś Valentine Michael Smith?

– Tak.

– Człowiek z Marsa?

– Tak.

– To ty byłeś wczoraj wieczorem w stereowizji?

Człowiek leżący w łóżku nic nie odpowiedział.

– Wątpię, czy on to rozumie – odezwał się doktor Tanner. – Mike, czy pamiętasz, gdzie byłeś wczoraj z panem Douglasem?

Przez spokojną do tej pory twarz przebiegł bolesny grymas.

– Jasne światła. Nieprzyjemnie.

– Tak, reflektory trochę cię raziły. Pan Douglas poprosił, żebyś przywitał się ze wszystkimi.

Pacjent uśmiechnął się lekko.

– Długo jechałem na wózku.

– Dobra, już chwytam – przerwał Caxton. – Mike, czy jesteś dobrze traktowany?

– Tak.

– Wcale nie musisz tu zostać. Możesz chodzić?

– Ależ, panie Caxton! – zaprotestował pośpiesznie Tanner, ale umilkł, kiedy Berquist położył mu dłoń na ramieniu.

– Mogę chodzić... trochę. Jestem zmęczony.

– Dopilnuję, żebyś dostał wózek. Mike, jeżeli nie masz ochoty tu zostać, mogę cię zabrać, dokądkolwiek zechcesz.

Tanner strząsnął ze swego ramienia dłoń Berquista i powiedział groźnie:

– Nie mogę pozwolić, żeby wpływał pan na decyzję mojego pacjenta!

– Przecież on jest wolnym człowiekiem, prawda? – zapytał Ben. – A może raczej więźniem?

– Oczywiście, że jest wolny – wtrącił się Berquist. – Niech pan jeszcze chwilę zaczeka, doktorze. Ten głupiec kręci stryczek na własną szyję.

– Dzięki, Gil. Słyszałeś go, Mike. Możesz iść, dokąd zechcesz.

Pacjent utkwił przerażone spojrzenie w doktorze Tannerze.

– Nie! Nie, nie, nie!

– Już dobrze, dobrze...

– Panie Berquist, tego już naprawdę za wiele! – prychnął z rozdrażnieniem Tanner.

– W porządku, doktorze. Ben, wystarczy.

– Jeszcze tylko jedno pytanie.

Caxton myślał intensywnie, starając się wykorzystać sposobność do maksimum. Najwyraźniej Jill jednak się myliła, choć wczoraj wszystko wskazywało na to, że ma rację.

– Dobrze, ale już naprawdę ostatnie – zgodził się niechętnie Berquist.

– Dzięki. Mike, wczoraj wieczorem odpowiedziałeś na kilka pytań, które zadał ci pan Douglas. – Pacjent nie zareagował. – Między innymi zapytał cię o to, jak ci się podobają ziemskie dziewczęta, prawda?

Twarz chorego rozpromieniła się radosnym uśmiechem.

– Huuuu!

– No, właśnie. Mike, czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie i kiedy widziałeś te dziewczęta?

Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. Pacjent spojrzał na Tannera, a potem nagle wyprężył się, błysnął białkami oczu, po czym skulił się w pozycji embrionalnej z podkurczonymi kolanami, pochyloną głową i ramionami przyciśniętymi do klatki piersiowej.

– Precz stąd! – wybuchnął Tanner, chwytając chorego za rękę i próbując wyczuć puls.

– Doigrałeś się, Caxton! – wycedził z mściwą satysfakcją Berquist. – Wyjdziesz sam, czy mam wezwać strażnika?

– Wyjdę, wyjdę.

Wszyscy z wyjątkiem Tannera opuścili pokój. Berquist zamknął za sobą drzwi.

– A może ty mógłbyś mi to wyjaśnić, Gil? – nalegał Caxton. – W jaki sposób mógł zobaczyć te dziewczyny, skoro cały czas trzymacie go w zamknięciu?

– Co? Nie bądź głupi. Widział całą masę dziewczyn – pielęgniarki, laborantki, różne inne... Przecież sam wiesz.

– Właśnie, że nie wiem. Zdaje się, że opiekowali się nim wyłącznie pielęgniarze i że nie dopuszczano do niego żadnych kobiet?

– Nie bądź śmieszny. – Berquist przez chwilę wyglądał na zdenerwowanego, ale szybko się opanował. – Przecież wczoraj sam widziałeś, że była z nim pielęgniarka.

– Rzeczywiście, widziałem – przyznał Caxton i zamilkł.

Frisby odezwał się dopiero wtedy, kiedy taksówka wzbiła się w powietrze.

– Wiesz, Ben, nie sądzę, żeby Douglas zdecydował się na oddanie sprawy do sądu, ale jeżeli masz jeszcze dostęp do źródła

tych plotek, to chyba dobrze by było, gdybyśmy na wszelki wypadek postarali się o trochę lepsze dowody.

– Daj spokój, Mark. Na pewno nie wniesie oskarżenia. – Ben zagapił się ponuro w podłogę. – Skąd mamy wiedzieć, że to był naprawdę Człowiek z Marsa?

– O rety, Ben! Daj wreszcie spokój!

– Ale sam powiedz: skąd mamy wiedzieć? Widzieliśmy leżącego w szpitalnym łóżku człowieka, którego wiek mniej więcej się zgadzał. Na to, że to był naprawdę on, mamy tylko słowo Berquista, a Berquist rozpoczynał swoją karierę polityczną redagując teksty rządowych dementi. Widzieliśmy też jakiegoś nieznajomego faceta podającego się za psychiatrę, ale kiedy usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego kwalifikacji, natychmiast mi przerwano. Panie Cavendish, czy spostrzegł pan tam coś, co przekonało pana bez reszty, że pokazano nam prawdziwego Człowieka z Marsa?

– Moja rola nie polega na wygłaszaniu opinii – odparł Cavendish. – Ja tylko patrzę i słucham.

– Przepraszam.

– Czy potrzebuje pan jeszcze moich usług jako Świadka?

– Już nie. Bardzo panu dziękuję.

– To ja dziękuję. Nadzwyczaj interesująca sprawa.

Starszy dżentelmen zdjął białą opończę, tym samym powracając do grona zwykłych śmiertelników. Surowe rysy jego twarzy nieco złagodniały.

– Gdybym mógł doprowadzić do konfrontacji z kimś z załogi „Championa"!.. – westchnął Ben.

– Zdziwiło mnie trochę, że nie sprawdził pan jednej rzeczy – powiedział Cavendish.

– Jakiej?

– Zgrubień na skórze.

– Zgrubień?

– Oczywiście. Przeszłość każdego człowieka można odczytać ze zgrubień na jego skórze. Opublikowałem kiedyś artykuł na ten temat w „Kwartalniku Świadka". Ponieważ ten młodzieniec z Marsa nigdy nie nosił butów i był poddany sile ciążenia trzykrotnie mniejszej niż na Ziemi, zgrubienia skóry na jego stopach powinny odpowiadać właśnie takim, a nie innym warunkom środowiska, w jakim przebywał.

– Do licha! Panie Cavendish, dlaczego wcześniej mi pan tego nie powiedział?

– Proszę pana! – Starzec wyprostował się dumnie. – Jestem Świadkiem, a nie uczestnikiem sporu.

– Przepraszam. – Caxton zmarszczył brwi. – Wracamy. Sprawdzę jego stopy albo rozwalę cały szpital!

– Ale będzie pan musiał poszukać innego Świadka. Nie zachowałem koniecznego dystansu wobec wydarzeń.

– O, kurczę. Rzeczywiście.

– Uspokój się, Ben – poradził mu Frisby. – I tak już zabrnąłeś wystarczająco daleko. Ja osobiście jestem przekonany, że to był Człowiek z Marsa.

Caxton odwiózł ich tam, gdzie sobie życzyli, a następnie ustawił autopilota na lot okrężny, żeby mieć czas na przemyślenie wszystkiego, co widział i słyszał. Udało mu się dostać do szpitala w towarzystwie Świadka i prawnika. Podjęcie w ciągu zaledwie kilku godzin kolejnej próby byłoby mało rozsądne i z pewnością zakończyłoby się niepowodzeniem.

Ale przecież swojej liczącej się pozycji stałego komentatora „Post" nie zawdzięczał temu, że dawał się łatwo spławiać. Chciał się znowu tam dostać.

Ale jak? Wiedział, gdzie trzymano rzekomego „Człowieka z Marsa". Przebrać się za elektryka? To bez sensu. Nie dotarłby dalej niż do doktora Tannera.

Czy ten Tanner rzeczywiście był lekarzem? Ludzie spod znaku Eskulapa raczej niechętnie dawali się wplątywać w różne szwindle sprzeczne z ich etyką zawodową. Na przykład Nelson, lekarz pokładowy z „Championa", umył od wszystkiego ręce tylko dlatego, że...

Zaraz, chwileczkę! Doktor Nelson mógł z łatwością stwierdzić, czy ów młodzieniec jest naprawdę Człowiekiem z Marsa, nie oglądając mu zgrubień na stopach ani na żadnej innej części ciała. Caxton natychmiast zajął się poszukiwaniem Nelsona, korzystając z pomocy redakcji, bo sam nie miał pojęcia, skąd powinien zacząć. Osbert Kilgallen, asystent Bena, również tego nie wiedział, ale dział informacji o Ważnych Osobach, oddający nieocenione usługi wszystkim dziennikarzom „Post", umiejscowił doktora w New Mayflower. Niebawem Ben mógł już z nim rozmawiać.

Doktor Nelson nie oglądał programu z udziałem Smitha. Owszem, słyszał, że taki program został nadany; nie, nie miał żadnych powodów, aby przypuszczać, że popełniono oszustwo. Czy doktor Nelson wiedział o próbie nakłonienia Smitha do zrzeczenia się wszelkich praw przysługujących mu opierając się na precedensie Larkina? Nie, nie wiedział, a nawet, gdyby rzeczywiście tak było, to niewiele go to obchodzi, bo mówienie o czyichkolwiek prawach do Marsa jest kompletnym absurdem. Mars należy wyłącznie do Marsjan. A więc? Ale przypuśćmy, doktorze, że ktoś jednak...

Nelson rozłączył się. Kiedy Caxton spróbował ponownie się połączyć, głos z taśmy powiedział:

– Użytkownik tego numeru chwilowo nie przyjmuje żadnych rozmów. W razie potrzeby proszę...

Caxton powiedział coś głupiego na temat pochodzenia doktora Nelsona, następnie zaś uczynił rzecz jeszcze głupszą: wystukał numer Pałacu i zażądał, żeby umożliwiono mu rozmowę z sekretarzem generalnym Douglasem.

Przez lata pracy w charakterze łowcy sensacji Ben przekonał się, że o różnych sekretach i tajemnicach można się najlepiej dowiedzieć docierając tak wysoko, jak to tylko możliwe i starając się sprawiać swoją osobą tyle kłopotów, ile tylko się da. Zdawał sobie sprawę, że ciągnięcie tygrysa za ogon nie należy do najbezpieczniejszych zajęć – orientował się w psychopatologii władzy równie dobrze, jak Jill źle – ale pokładał znaczne zaufanie w swojej pozycji reprezentanta innej siły, z całą pewnością nie należącej do najmniej istotnych.

Zapomniał tylko o jednym: telefonując do Pałacu z taksówki nie miał żadnych świadków.

Rozmawiał po kolei z pół tuzinem przekazujących go sobie nawzajem urzędników, każdego następnego obrzucając stekiem coraz gorszych wyzwisk. Był tym tak pochłonięty, że nie zauważył, kiedy taksówka przestała zataczać szerokie, łagodne kręgi.

Kiedy wreszcie zrozumiał, co się stało, było już za późno; maszyna przestała reagować na polecenia. Ben miał gorzką świadomość tego, że dał się podejść jak żółtodziób. Sprawdzono, skąd telefonuje, zidentyfikowano taksówkę, wyłączono jej zrobotyzowanego kierowcę, wzięto ją na niewidzialny hol z fal radiowych policyjnego nadajnika i po cichu, bez żadnego zamieszania, ściągano go tam, gdzie nie miał najmniejszej ochoty się znaleźć.

Spróbował połączyć się ze swoim adwokatem.

Ciągle jeszcze próbował, kiedy taksówka wylądowała i sygnał jej nadajnika został pochłonięty przez wysokie, wznoszące się ze wszystkich stron ściany. Ben chciał wysiąść, lecz nie mógł otworzyć drzwi i wcale nie był zbytnio zdziwiony, kiedy zaczął szybko tracić przytomność...

Rozdział VIII

Jill usiłowała sobie wmówić, że Ben trafił na jakiś trop i po prostu zapomniał ją o tym powiadomić, ale sama w to nie wierzyła. Caxton zawdzięczał swoje sukcesy wręcz niesamowitej uwadze, jaką poświęcał stosunkom z ludźmi. Zawsze pamiętał o wszyst-

kich urodzinach i prędzej czmychnąłby gdzieś nie spłacając karcianego długu niż zapomniał o pozostawieniu jej choćby króciutkiej wiadomości, bez względu na to, jak bardzo by się śpieszył.

Musiał zostawić jakąś informację! W przerwie obiadowej zadzwoniła do redakcji, do Osberta Kilgallena, ale ten z uporem powtarzał, że Ben nie pozostawił dla niej żadnej wiadomości i że on sam nie ma o nim żadnych informacji.

– Nie powiedział nawet, kiedy wróci?

– Nie. Zawsze czeka z oddaniem artykułu do ostatniej chwili, na wypadek, gdyby miało się pojawić coś ekstra.

– A skąd z panem rozmawiał? Mam nadzieję, że nie jestem zbyt wścibska?

– Ależ skąd, panno Boardman. Nie rozmawiał; przysłał teleks z Paoli Flat w Filadelfii.

Tyle musiało jej wystarczyć. Siedząc w jadalni dziobała bez apetytu obiad. Wcale nie chodziło o to, że coś mogłoby mu się stać... Ani o to, że miałaby być w nim zakochana...

– Hej, Boardman! Obudź się!

Jill oderwała wzrok od talerza i zobaczyła przyglądającą się jej Molly Wheelwright, dietetyczkę z sąsiedniego oddziału.

– Och, przepraszam.

– Pytałam, od kiedy wprowadziliście u siebie taki zwyczaj, żeby kłaść pacjentów z ubezpieczalni w luksusowych izolatkach?

– O niczym takim nie wiem.

– K-12 to chyba u was, nie?

– K-12? To nie z ubezpieczalni, tylko bogata staruszka z taką furą forsy, że płaci lekarzowi tylko za to, żeby przyglądał się jej, jak oddycha.

– Aha! W takim razie jakoś bardzo niedawno musiała zdobyć tę fortunę. Od siedemnastu miesięcy leżała na ogólnej sali na geriatrii.

– Widocznie to jakaś pomyłka.

– Na pewno nie moja. U mnie w kuchni nie ma żadnych pomyłek. Wierz mi, człowieka można poznać po diecie równie łatwo, jak po odciskach palców. Pa, muszę już lecieć.

Jill pomyślała, że mogłaby podjąć próbę odszukania Człowieka z Marsa sprawdzając dokładnie, gdzie zanoszono jaki rodzaj pożywienia, ale szybko zrezygnowała z tego pomysłu; sprawdzenie wszystkich kuchni zajęłoby jej masę czasu. Bethesda Center istniało już wtedy, kiedy jeszcze prowadzono wojny na oceanach, i nawet wówczas było olbrzymim organizmem. Potem przekazano je Departamentowi Zdrowia, Oświaty i Opieki Społecznej, jednocześnie znacznie rozbudowując. Teraz należało do rządu Federacji i osiągnęło wielkość małego miasta.

Mimo wszystko w tej historii z panią Bankerson było coś dziwnego. Do szpitala przyjmowano wszystkich pacjentów – prywatnych, z opieki społecznej, rządowych – ale na oddział Jill zazwyczaj trafiały dość zamożne osoby, z senatorami włącznie. Staruszka w rodzaju pani Bankerson stanowiła dość niezwykłe zjawisko.

Może po prostu zabrakło miejsca w innych oddziałach?

Po obiedzie miała zbyt wiele pracy, żeby zaprzątać sobie głowę tą sprawą. Kiedy już prawie udało jej się dodzwonić do odległego o prawie ćwierć mili magazynu, gdzie chciała zamówić potrzebne jej natychmiast łóżko samobieżne, przypomniała sobie, że przecież widziała coś takiego w minipoczekalni przylegającej do K-12. Zdaje się, że nawet zrugała siedzących na nim żołnierzy. Widocznie przestawiono je tam, robiąc miejsce dla łóżka wyposażonego w wodny materac. Powinno jeszcze tam stać.

Minipoczekalnia była zamknięta. Nawet uniwersalny klucz Jill nie mógł sobie poradzić z zatrzaśniętym zamkiem. Zanotowała w pamięci, że musi zwrócić na to uwagę obsłudze technicznej i weszła do dyżurki, żeby tam dowiedzieć się, co się stało z potrzebnym jej łóżkiem.

Zastała tam tego samego lekarza, co poprzednio. Doktor Brush nie pracował na stałe w Bethesda Center. Jak sam powiedział, został tu sprowadzony przez doktora Garnera, żeby opiekować się jego pacjentką. Obejrzał się, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Siostra Boardman! Właśnie siostry potrzebowałem.

– Więc dlaczego pan nie zadzwonił? Jak się czuje pacjentka?

– Dobrze – odpowiedział, zerknąwszy na monitor – ale za to ja nie bardzo.

– Jakieś problemy?

– Och, to zabierze najwyżej pięć minut. Mogłaby mi siostra tyle poświęcić? I nic nikomu o tym nie mówić?

– Chyba tak. Muszę tylko zadzwonić do pokoju pielęgniarek i powiedzieć, gdzie jestem.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie. – Proszę zamknąć za mną drzwi i nikomu nie otwierać. Jak wrócę, wystukam pierwsze trzy takty z „Wesołego fryzjera". Zrobi to siostra dla mnie?

– No, niech będzie – zgodziła się niechętnie Jill. – A co z chorą?

– Proszę tylko siedzieć i obserwować ją na ekranie. Najlepiej jej nie niepokoić.

– A gdzie mam pana szukać, gdyby coś się stało? W pokoju lekarzy?

– Eee... Będę w męskiej toalecie na końcu korytarza. A teraz już cicho, błagam. To b a r d z o pilne!

Jill zamknęła drzwi za lekarzem, po czym obrzuciła czujnym spojrzeniem umieszczoną w dyżurce aparaturę. Pacjentka spała; wskaźniki informowały o silnym pulsie i regularnym, spokojnym oddechu. W takim razie po co ta całodobowa opieka?

Postanowiła sprawdzić, czy uda się jej dostać do poczekalni przez drzwi łączące małe pomieszczenie z izolatką. Co prawda, w ten sposób naruszy zakaz doktora Brusha, ale z całą pewnością nie zaniepokoi pacjentki; kto, jak nie ona, miał wiedzieć, jak przechodzi się przez pokój nie budząc chorego? Poza tym już dawno zaobserwowała, że lekarze bardzo rzadko mają pretensje o coś, o czym nie wiedzą. Otworzyła cicho drzwi i weszła do środka.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by upewnić się, że pani Bankerson jest pogrążona w głębokim starczym śnie. Jill bezszelestnie podeszła do drugich drzwi; były zamknięte, lecz tym razem jej klucz dał sobie z nimi radę.

W środku zobaczyła stojące przy ścianie samobieżne łóżko. Zobaczyła również, że pokoik jest zajęty; w fotelu, trzymając w dłoniach książkę z obrazkami, siedział Człowiek z Marsa.

Smith podniósł na nią wzrok i obdarzył ją promiennym uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Jill poczuła lekki zawrót głowy. Valentine Michael Smith t u t a j? To niemożliwe. Przecież go przeniesiono. Sama widziała zapis w książce oddziału, czarno na białym.

Potem łamigłówka zaczęła się układać w jedną, bardzo niesympatyczną całość. Fałszywy „Człowiek z Marsa" w stereowizji... Obecność staruszki, mająca na celu ukrycie faktu, że w K-12 przebywa jeszcze jeden pacjent... Drzwi od korytarza, których nie można otworzyć uniwersalnym kluczem... Wreszcie makabryczna wizja sanitariuszy wytaczających z izolatki wózek, na którym pod nieskazitelnie białym prześcieradłem leży nie jedno ciało, lecz dwa. Równocześnie z ostatnią wizją pojawił się strach i świadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła, odkrywając ten pieczołowicie strzeżony sekret.

Smith z wysiłkiem wstał z fotela, wyciągnął obie ręce i powiedział:

– Wodny bracie!

– Cześć. Eee... Jak się masz?

– Mam dobrze. Jestem szczęśliwy. – Dodał coś w dziwnej, gardłowej mowie, ale zaraz przeszedł z powrotem na angielski, starannie wymawiając każde słowo. – Jesteś tutaj, mój bracie. Nie było cię. Teraz jesteś. Piję cię głęboko.

Dziewczyną targały sprzeczne uczucia; z jednej strony, kiedy

patrzyła na Smitha, topniało jej serce, z drugiej zaś chwytał ją za gardło strach, że ktoś może ją tutaj zastać.

– Widzisz? – zapytał z dumą Smith, niczego nie dostrzegając. – Chodzę! Jestem silniejszy!

Zrobił ostrożnie kilka kroków, po czym stanął – zadyszany, tryumfujący i roześmiany.

Z trudem zdobyła się na to, żeby również się uśmiechnąć.

– No, no, robimy postępy. Rzeczywiście, jesteś coraz silniejszy. Muszę już iść; tak tylko wpadłam, żeby cię zobaczyć.

Na twarzy Smitha momentalnie pojawiła się rozpacz.

– Nie odchodź!

– Muszę.

Pochylił ze smutkiem głowę.

– Skrzywdziłem cię. Nie wiedziałem – powiedział z tragiczną pewnością w głosie.

– Skrzywdziłeś mnie? Ależ nie, skądże znowu! Po prostu muszę iść i to szybko.

– Weź mnie, wodny bracie. – Było to bardziej stwierdzenie niż prośba.

– Co? Och, nie mogę! Naprawdę muszę już iść. Nie mów nikomu, że tutaj byłam, dobrze?

– Nie mówić, że mój wodny brat był tutaj?

– Tak. Nikomu. Przyjdę później. Bądź grzecznym chłopcem, czekaj i nic nikomu nie mów.

Smith przetrawił to, co usłyszał.

– Będę czekać. Nie będę mówić – oznajmił wreszcie z rozpogodzoną twarzą.

– Świetnie!

Jill nie miała pojęcia, w jaki sposób uda jej się dotrzymać obietnicy i wrócić do niego. „Zepsuty" zamek drzwi prowadzących na korytarz wcale nie był zepsuty – drzwi zamknięto dodatkowo na najzwyklejszy skobel. W szpitalu wszystkie drzwi do łazienek i pomieszczeń, w których przebywali chorzy, były wyposażone w zamki dające się łatwo otworzyć noszonymi przez personel uniwersalnymi kluczami, ale już zwykły skobel stanowił zaporę nie do pokonania.

Jill wyciągnęła zatyczkę.

– Czekaj tutaj. Przyjdę do ciebie.

– Będę czekać.

W chwili, kiedy wróciła do dyżurki, usłyszała lekkie „puk! puk! puk-puk! puk! puk-puk!" – sygnał, którym Brush miał dać znać o swoim powrocie. Otworzyła mu pośpiesznie drzwi.

Wpadł niczym bomba.

– Gdzie siostra była? – zapytał napastliwie. – Pukałem trzy razy!

Zerknął podejrzliwie na drzwi prowadzące do pokoju pacjentki.

– Chora przekręciła się na drugi bok – skłamała naprędce Jill. – Poprawiałam jej poduszkę.

– Do licha, przecież mówiłem, żeby siostra nigdzie się stąd nie ruszała!

Nagle Jill uświadomiła sobie, że lekarz jest po prostu przerażony. Nie zwlekając przeszła do kontrataku.

– Nie jestem odpowiedzialna za pańską pacjentkę, doktorze – powiedziała lodowatym tonem – ale skoro pozostawił ją pan pod moją opieką, zrobiłam to, co uważałam za stosowne. Jeżeli ma pan na ten temat inne zdanie, to proszę zawiadomić ordynatora.

– Co? Nie, nie trzeba. Naprawdę nie ma potrzeby.

– Właśnie, że jest, panie doktorze. Pacjentka w tym wieku może łatwo się udusić na wodnym materacu. Niektóre pielęgniarki znoszą bez słowa humory lekarzy, ale ja do nich nie należę. Żądam, żeby poinformował pan ordynatora.

– Panno Boardman, proszę przyjąć moje przeprosiny. Niepotrzebnie się uniosłem.



Marek Bielecki

– Niech i tak będzie – odparła wyniośle Jill. – Coś jeszcze?

– Nie, dziękuję siostrze. Dziękuję za pomoc. Tylko... Czy mogłaby siostra nikomu o tym nie wspominać?

– Dobrze.

Możesz być spokojny, że nie wspomnę! Ale co mam robić? Och, gdyby Ben był w mieście...

Wróciwszy do pokoju pielęgniarek usiadła za swoim biurkiem i udawała, że przegląda jakieś papiery. Dopiero po dłuższej chwili przypomniała sobie, że miała zadzwonić po samobieżne łóżko. Zrobiła to, a następnie wysłała młodszą pielęgniarkę z jakimś poleceniem i spróbowała się skupić.

Gdzie jest Ben? Gdyby mogła się z nim skontaktować, zwolniłaby się na dziesięć minut, porozmawiała z nim i przerzuciła ciężar podjęcia decyzji na jego krzepkie barki. Ale Ben, niech go gęś kopnie, włóczył się nie wiadomo gdzie, pozostawiwszy wszystko na jej głowie.

Czy na pewno? Niepokój drążący jej podświadomość wydostał się wreszcie na powierzchnię. Ben nigdzie by nie wyjechał, nie informując jej najpierw o tym, co osiągnął podczas próby skontaktowania się z Człowiekiem z Marsa. Jako współkonspirator miała prawo wiedzieć o wszystkim, a Ben zawsze grał fair.

Przypomniała sobie jego słowa: „Kochanie, jesteś moją atutową kartą. Jeżeli słuch o mnie zaginie, możesz działać na własną rękę." Wtedy puściła je mimo uszu, ponieważ nie wierzyła, że coś mogłoby mu się przytrafić. Teraz musiała to przyjąć do wiadomości. Każdy człowiek prędzej lub później staje w obliczu sytuacji, kiedy musi postawić na szali „swoje życie, honor i szczęście", nie będąc pewnym, jak to się dla niego skończy. Dla Jill Boardman taki moment nadszedł właśnie tego popołudnia o godzinie 15.47.

*

Kiedy Jill wyszła, Człowiek z Marsa usiadł ponownie na swoim miejscu, ale nie wziął już do ręki książki z obrazkami. Można by powiedzieć, że „czekał cierpliwie", gdyby nie to, że takie określenie nie miałoby nic wspólnego z marsjańskim podejściem do sprawy. Cieszył się po cichutku, bo przecież jego brat powiedział, że wróci. Był gotów czekać bez najmniejszego poruszenia nawet kilka lat.

Nie miał pewności, kiedy dzielił się wodą z tym bratem; nie tylko miejsce, w którym się znajdował, było dziwacznie zniekształcone w przestrzeni i czasie, wypełnione następstwami obrazów i dźwięków, których jeszcze nie grokował, ale nawet sam czas pojmowano tutaj w sposób zupełnie odmienny od tego, do jakiego przyzwyczaił się w swoim gnieździe. Różnica polegała nie na tym, że tam żyło się znacznie dłużej, ale na samym podejściu do problemu. Na przykład po marsjańsku nie można było powiedzieć „jest później niż myślisz", albo „co nagle, to po diable", chociaż z różnych powodów: pierwsze wyrażenie byłoby po prostu niezrozumiałe, drugie zaś stanowiło niewzruszoną podstawę marsjańskiego stylu i sposobu życia i wypowiadanie go byłoby równie pozbawione sensu, jak namawianie ryby do kąpieli. Jednak już „jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków" przesiąknięte było tak typowo marsjańskim duchem, że dałoby się przetłumaczyć znacznie łatwiej niż na przykład „dwa plus dwa równa się cztery". Na Marsie tego ostatniego stwierdzenia wcale nie uważano za truizm.

Smith czekał.

Do pokoju wszedł Brush; Smith nie poruszył się i lekarz wkrótce sobie poszedł.

Gdy rozległ się odgłos klucza przekręcanego w zamku, Smith przypomniał sobie, że słyszał podobny dźwięk bezpośrednio przed ostatnią wizytą swego wodnego brata. Przyśpieszył nieco swój metabolizm, oczekując, że i tym razem następstwo wydarzeń będzie podobne. Zdumiał się, kiedy Jill wśliznęła się przez drzwi od strony korytarza, bo nie wiedział, że można wejść również tamtędy. Zgrokował to jednak szybko i oddał się bez reszty uczuciu radości, jakiego doświadcza się jedynie w obecności braci w gnieździe, braci wodnych i (w pewnych okolicznościach) również w obecności Starych.

Jego radość była cokolwiek przytłumiona przez fakt, że jego brat zdawał się jej nie podzielać; co więcej, wydawał się strapiony bardziej niż było to możliwe, z wyjątkiem sytuacji, kiedy jest się gotowym do odcieleśnienia z powodu jakiegoś niezwykle niegodnego postępku lub po prostu braku koncentracji. Jednak Smith zdążył się już przekonać, że otaczające go istoty potrafiły doświadczać najstraszliwszych emocji, a mimo to żyć. Na przykład jego brat Mahmoud pięć razy dziennie przechodził autentyczną duchową agonię, lecz nie tylko nie umierał, ale wręcz sam prowokował jej nadejście, uważając ją za nieodłączny składnik życia. Z kolei kapitan van Tromp doświadczał niespodziewanych emocjonalnych napięć o takiej sile, że według Smitha po każdym z nich powinien natychmiast się odcieleśnić; mimo to, o ile było mu wiadome, jego brat van Tromp nadal przebywał na tym świecie.

Tak więc Smith postanowił nie zwracać uwagi na stan emocjonalny Jill.

Dziewczyna wręczyła mu jakieś zawiniątko.

– Zakładaj to, prędko!

Smith przyjął z wdzięcznością podarunek i czekał, co będzie dalej.

– O, Boże! – jęknęła Jill. – Dobra, rozbieraj się. Pomogę ci.

Okazało się, że musi sama nie tylko rozebrać go, ale także ubrać. Miał na sobie szpitalny szlafrok, płaszcz kąpielowy i kapcie, bynajmniej nie dlatego, że tego chciał, tylko dlatego, że to na niego założono. Potrafił się już z tym wszystkim jako tako obchodzić, lecz Jill chodziło przede wszystkim o pośpiech. Ponieważ była pielęgniarką, on zaś nigdy nie słyszał o czymś takim jak wstyd – zresztą nawet nie potrafiłby zrozumieć, co to takiego – nie tracili czasu na zbędne konwenanse. Smith był zachwycony warstwą fałszywej skóry, jaką Jill założyła mu na nogi, ale nie miał czasu, żeby się tym dogłębnie wzruszyć, gdyż dziewczyna błyskawicznie przypięła mu pończochy do pasa. Strój pielęgniarki, w który go ubierała, należał do bardzo wysokiej kobiety; pożyczyła go pod pretekstem, że jej kuzynowi jest potrzebny na bal przebierańców. Zawiązała Smithowi dokoła szyi pelerynkę i stwierdziła, że ten element stroju maskuje właściwie wszystkie różnice płci. W każdym razie miała taką nadzieję. Kłopoty pojawiły się przy butach; były za małe, a dla Smitha nawet chodzenie boso w ziemskiej grawitacji stanowiło jeszcze spory problem.

Jednak wreszcie jakoś go ubrała. Zwieńczyła swe dzieło wsadzając mu na głowę czepek.

– Masz dosyć krótkie włosy, ale niektóre dziewczęta też takie noszą – powiedziała z lekką obawą w głosie. – Zresztą, nic na to nie poradzimy.

Smith nic nie odpowiedział, bo nie rozumiał, o co chodzi. Co prawda, skupił się przez chwilę na tym, żeby mieć dłuższe włosy, ale niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że potrzeba mu na to sporo czasu.

– A teraz słuchaj uważnie – powiedziała Jill. – Nie odzywaj się ani słowem, bez względu na to, co się będzie działo. Rozumiesz?

– Nie mówić. Nie będę mówić.

– Po prostu idź ze mną, będę cię trzymać za rękę. I módl się, jeżeli znasz jakieś modlitwy!

– Módl?

– Nieważne. Chodź już, ale po cichutku.

Otworzyła drzwi, wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, po czym wyprowadziła go na korytarz.

Dla Smitha zmieniające się błyskawicznie konfiguracje wydarzeń były w najwyższym stopniu przygnębiające; atakowały go obrazy i doznania, których nie potrafił zgrokować. Szedł niemal na oślep, prawie całkowicie wyłączywszy zmysły, żeby jakoś obronić się przed ogarniającym go chaosem.

Dotarłszy do końca korytarza weszli na biegnący prostopadle do niego, ruchomy chodnik. Smith potknął się i byłby upadł, gdyby Jill nie zdołała go w porę podtrzymać. Jakaś sprzątaczka spojrzała na nich ze zdziwieniem; dziewczyna zaklęła w duchu. Na dach wjechali windą, bo Jill zdawała sobie sprawę, że nie dałaby rady przebyć z nim tej drogi rurą spadową.

Właśnie wtedy pojawiło się niebezpieczeństwo, z którego Smith w ogóle nie zdawał sobie sprawy. Znalazł się pod urokiem nieba, którego nie widział od chwili opuszczenia Marsa. Niebo było jasne, kolorowe i wesołe – takie, jakie zazwyczaj bywa w pogodne dni nad Waszyngtonem. Jill rozglądała się w poszukiwaniu taksówki. Tak jak się spodziewała, dach był niemal pusty, gdyż część personelu kończąca pracę o tej godzinie co ona zdążyła już odlecieć do domów, natomiast nie zdążyła jeszcze przybyć popołudniowa fala odwiedzających. Taksówek jednak także nie było, a nie miała odwagi ryzykować podróży aerobusem.

Chciała już wezwać wóz, kiedy jakaś taksówka zniżyła się do lądowania.

– Jack, czy ktoś ją zamawiał? – krzyknęła w stronę porządkowego.

– Tak, doktor Phipps.

– A niech to! Jack, mógłbyś mi jakąś zorganizować? To moja kuzynka Madge, pracuje w południowym skrzydle. Ma zapalenie krtani i nie może długo stać na tym wietrze.

Porządkowy podrapał się po głowie.

– Dla pani wszystko, panno Boardman. Niech pani wsiada do tej, a ja wezwę inną dla doktora Phippsa.

– Och, Jack, jesteś kochany! Madge, nic nie mów; podziękuję mu w twoim imieniu. Wiesz, Jack, ona prawie straciła głos. Muszę dać jej gorącego rumu.

– To powinno pomóc. Moja matka zawsze twierdziła, że najlepsze są stare, wypróbowane metody.

Jack wystukał z pamięci adres Jill na tablicy rozdzielczej pojazdu i pomógł im wsiąść. Jill starała się pokryć milczenie Smitha gorącymi podziękowaniami.

– Serdeczne dzięki, Jack. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczne.

Kiedy taksówka wystartowała, dziewczyna odetchnęła z ulgą.

– W porządku, już możesz mówić.

– Co mówić?

– Proszę? No, cokolwiek chcesz.

Smith zastanowił się. Zakres otrzymanego pozwolenia wymagał godnego wykorzystania. Rozmyślał nad różnymi sposobami, odrzucając jeden po drugim, ponieważ nie dałby sobie rady z tłumaczeniem. Wreszcie zdecydował się na formułę, która nawet w tej dziwacznej, płaskiej mowie zachowywała część ciepła i serdeczności, jakie należało okazać wodnemu bratu:

– Oby nasze jajka dzieliły to samo gniazdo.

Jill zamarła w bezruchu.

– Co takiego? Co powiedziałeś?

Smithowi zrobiło się przykro, że nie usłyszał uprzejmej braterskiej odpowiedzi, ale odpowiedzialność za to niepowodzenie przypisał sobie. Uświadomił sobie ze smutkiem, że jego wypowiedzi najczęściej wprawiały te istoty w stan wyraźnego niepokoju, podczas gdy zgodnie z jego intencjami miały wytworzyć atmosferę jedności i zrozumienia. Spróbował jeszcze raz, starając się, na ile pozwalał mu skromny zasób słownictwa, oddać tę samą myśl w odmienny sposób:

– Moje gniazdo jest twoim gniazdem, a twoje gniazdo jest moim gniazdem.

Tym razem Jill uśmiechnęła się.

– O, jak miło! Mój drogi, nie jestem pewna, czy cię dobrze rozumiem, ale jest to najsympatyczniejsza propozycja, jaką otrzymałam od dłuższego czasu. Jednak na razie jesteśmy w nielichych kłopotach, więc poczekajmy z tym, dobrze?

Smith zrozumiał dziewczynę niewiele lepiej niż ona jego, ale wyczuł pogodny nastrój jej wypowiedzi i domyślił się, że znowu poleciła mu czekać. Czekanie nie stanowiło dla niego żadnego problemu; usiadł wygodniej, zadowolony, że między nim a jego wodnym bratem wszystko jest w jak najlepszym porządku i zajął się podziwianiem widoków. Były to pierwsze ziemskie krajobrazy, jakie widział na oczy. Ileż tu było rzeczy, które należało zgrokować! Środki transportu używane na Marsie uniemożliwiały oglądanie tego, co znajdowało się między początkowym a końcowym punktem trasy. Wspomnienie to doprowadziło go do porównania metod stosowanych w tym zakresie przez ludzi i Marsjan i porównanie to bynajmniej nie wypadło na korzyść Starych, lecz jego myśli pośpiesznie uciekły od kiełkującej nieśmiało herezji.

Jill siedziała cicho, starając się skoncentrować wyłącznie na myśleniu. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że taksówka zbliża się już do budynku, w którym znajdowało się jej mieszkanie i uświadomiła sobie, że jest to ostatnie miejsce, do którego powinni się udać, jako że będzie pierwszym poddanym gruntownemu sprawdzeniu, gdy tylko władze ustalą, kto pomógł Smithowi podczas ucieczki. Chociaż nie miała najmniejszego pojęcia o metodach stosowanych przez policję, przypuszczała, że w pokoju Smitha musiała zostawić mnóstwo odcisków palców, a w dodatku widziało ich przecież sporo ludzi. Podobno istniała nawet możliwość (tak przynajmniej słyszała) odczytania pamięci pokładowego komputera taksówki i ustalenia, kto kiedy i dokąd nią leciał.

Czym prędzej skasowała poprzednie polecenie. Taksówka uniosła się nieco w górę, opuszczając ruchliwy korytarz powietrzny, i zawisła, czekając na podanie nowego adresu. Dokąd mogła się udać? Gdzie mogła ukryć dorosłego mężczyznę, w pewnym sensie półidiotę, nie potrafiącego nawet samodzielnie się ubrać, a jednocześnie będącego już w tej chwili najbardziej poszukiwanym człowiekiem na całej planecie? Och, Ben, gdybyś tutaj był... Ben, gdzie jesteś?

Bez większego przekonania wystukała jego domowy numer. Serce podskoczyło jej radośnie, kiedy odezwał się męski głos, ale szczęście trwało krótko, gdyż okazało się, że to tylko zarządzający budynkiem.

– Och, przepraszam pana. Mówi Jill Boardman. Próbowałam połączyć się z apartamentem pana Caxtona.

– Tak też pani zrobiła. Zawsze, kiedy wyjeżdża na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, przełączam wszystkie rozmowy na moje biuro.

– Więc ciągle go nie ma?

– Ciągle. Mogę pani w czymś pomóc?

– Eee... Nie, chyba nie. Proszę pana, czy to nie dziwne, że Ben zniknął tak nagle? Nie obawia się pan o niego?

– Ani trochę. Zostawił wiadomość, że nie wie, kiedy będzie z powrotem.

– To chyba dość zastanawiające...

– Nie w zawodzie pana Caxtona, panno Boardman.

– Hmm... Według mnie w tej jego nagłej nieobecności jest jednak coś bardzo dziwnego. Chyba powinien pan o tym zameldować, zawiadomić wszystkie agencje informacyjne w kraju, nawet w świecie!

Chociaż telefon taksówki nie miał urządzenia wizyjnego, to Jill odczuła wyraźnie, że mężczyzna zesztywniał za swoim biurkiem.

– Przykro mi, panno Boardman, ale będę interpretował według własnego uznania wszystkie wiadomości i informacje, jakie otrzymuję. Poza tym chciałem pani powiedzieć, że podczas każdej nieobecności pana Caxtona mam całą masę wiadomości od jego „dobrych znajomych", usiłujących się z nim skontaktować za wszelką cenę.

Jakieś kociaki, starające się go przyszpilić! – pomyślała z wściekłością Jill. A ten dureń uważa mnie za jednego z nich! Wobec takiego rozwoju sytuacji nie było nawet mowy o tym, żeby prosić go o pomoc; przerwała połączenie.

Dokąd mogła się udać? Zaświtał jej pewien pomysł. Jeżeli Ben zniknął i jeśli maczały w tym palce władze, to ostatnim miejscem, w którym ktokolwiek spodziewałby się zastać Valentine'a Michaela Smitha, będzie właśnie mieszkanie Bena. Chyba że ktoś skojarzyłby ją z Caxtonem, ale to było mało prawdopodobne.

Mogliby tam coś przekąsić i wzięłaby trochę ubrań dla swego niedorozwiniętego dziecka. Wystukała adres Bena i taksówka włączyła się do ruchu, kierując się w nakazanym kierunku.

Przed wejściem do apartamentu Jill zbliżyła usta do domofonu i wyszeptała:

– *Karthago delenda est!*

Cisza i bezruch. Do licha! – zaklęła w myśli. Zmienił hasło. Poczuła, że drżą jej kolana i starała się, żeby Smith nie dostrzegł wyrazu jej twarzy. Potem spróbowała jeszcze raz. Ta sama instalacja, która automatycznie uruchamiała drzwi, służyła też do zwykłego anonsowania gości.

– Ben, to ja, Jill!

Drzwi rozsunęły się przed nimi.

Zamknęły się natychmiast, jak tylko weszli do środka. Jill przez chwilę myślała, że to Ben wpuścił ich do mieszkania, ale zaraz uświadomiła sobie, że po prostu przypadkiem trafiła na nowe hasło, najprawdopodobniej pomyślane jako komplement i ukłon w jej stronę; chętnie zrezygnowałaby z komplementu, gdyby zaoszczędziło jej to paskudnego momentu paniki.

Smith stał bez ruchu na skraju zielonego trawnika. Miejsce było zbyt nowe, żeby je od razu zgrokować, niemniej jednak czuł się w nim bardzo dobrze. Nie działo się tu tak wiele ekscytujących rzeczy jak w tym małym, poruszającym się wycinku prze-

strzeni, który właśnie opuścili, ale to miejsce znacznie lepiej nadawało się do tego, żeby oddać się ogarnianiu własnego ja. Przyjrzał się z zainteresowaniem zajmującemu całą ścianę oknu, które wziął za żywy obraz, taki sam jak te, jakich wiele widział w domu, na Marsie. Jego pokój w Bethesda Center nie miał okien, samo zaś pojęcie „okna" było mu zupełnie obce.

Z uznaniem zauważył, że „obraz" z niezwykłą wiernością oddaje ruch i przestrzeń; bez wątpienia musiał go stworzyć jakiś wielki artysta. Do tej pory nie zaobserwował niczego, co mogłoby wskazywać na to, że ci ludzie mają jakąkolwiek sztukę. Obecne doznanie znacznie pomogło mu w ich grokowaniu. Był zadowolony.

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. Odwrócił się w tamtą stronę i ujrzał swego brata zdejmującego z nóg warstwę sztucznej skóry.

Jill westchnęła z zadowoleniem, grzebiąc palcami w świeżej trawie.



Marek Bielecki

– Jejku, ależ mnie bolą nogi! – Podniosła wzrok i napotkała zdumiewająco niepokojące, dziecięce spojrzenie Smitha. – Spróbuj. Spodoba ci się.

Zamrugał powiekami.

– Jak?

– No tak, zapomniałam. Chodź tu, pomogę ci. – Zdjęła mu buty i pończochy. – I co, fajnie?

Smith poruszył niepewnie palcami i zapytał bojaźliwie:

– Czy to żywe?

– Jasne, że żywe. Najprawdziwsza trawa. Ben sporo za nią wybulił. Sama instalacja oświetleniowa kosztuje więcej niż ja zarabiam przez miesiąc, więc korzystaj, póki możesz. Pochodź sobie trochę.

Smith niewiele z tego zrozumiał, ale dotarło do niego, że trawa jest żywą istotą i że on ma po niej deptać.

– Chodzić po żywym? – zapytał z niewysłowionym przerażeniem.

– A czemu by nie? Przecież to jej nie boli. Specjalnie po to została wyhodowana.

Smith z wysiłkiem uświadomił sobie, że przecież wodny brat nie namawiałby go do czegoś niewłaściwego. Zebrał w sobie całą odwagę i przeszedł przez trawnik, by przekonać się, że rzeczywiście bardzo mu się to podoba i że żywe istoty, po których stąpa, nie protestują. Jego brat miał rację: zostały stworzone właśnie po to, żeby po nich chodzić. Postanowił ogarnąć i zgrokować tę koncepcję, równie mu bliską jak dla człowieka kanibalizm. Akurat ten zwyczaj Smith uważał za coś jak najbardziej naturalnego i właściwego.

Jill ponownie westchnęła, tym razem ze smutkiem.

– No, musimy kończyć tę zabawę. Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy tu bezpieczni.

– Bezpieczni?

– Nie możemy tutaj zostać. Będą sprawdzać komputery we wszystkich pojazdach, które dzisiaj opuściły Bethesda Center.

Zmarszczyła brwi. Jej mieszkanie odpada, apartament Caxtona odpada... Ben wspomniał kiedyś, że można by zabrać Smitha do Jubala Harshawa. Ale przecież ona zupełnie go nie zna, nie wie nawet, gdzie mieszka – zdaje się, że gdzieś w Górach Pocono. Cóż, będzie musiała się dowiedzieć. Wygląda na to, że jest to jedyne wyjście z sytuacji.

– Dlaczego nie jesteś szczęśliwy, mój bracie?

Jill ocknęła się z zamyślenia i spojrzała na Smitha. No tak, to biedne dziecko nie ma o niczym pojęcia! Spróbowała spojrzeć na wszystko z jego punktu widzenia. Nie udało się jej, ale i tak zrozumiała, że on nie zdaje sobie sprawy z tego, że cały czas uciekają przed... Właśnie, przed kim? Przed policją? Dyrekcją szpitala? Nie była pewna, co właściwie zrobiła, ani jakie przepisy prawa złamała. Wiedziała tylko, że wystąpiła przeciwko Możnym, przeciwko tym, którzy dzierżą władzę w swych rękach.

Jak miała wyjaśnić Człowiekowi z Marsa, co im grozi, skoro sama nie miała o tym zbyt jasnego pojęcia? Czy na Marsie istniało coś w rodzaju policji? Tłumaczyć mu to wszystko znaczyło dokładnie to samo, co rzucać grochem o ścianę.

Boże, czy na Marsie rośnie groch?

– Nieważne – powiedziała dziarskim głosem. – Rób tylko to, co ci powiem.

– Tak.

Była to zgoda bez zastrzeżeń i na zawsze. Jill zaświtała nagle niedorzeczna myśl, że gdyby mu kazała wyskoczyć przez okno, z pewnością by to zrobił. Była to prawda. Skoczyłby, rozkoszowałby się każdym ułamkiem sekundy dwudziestopiętrowego spadania i bez zdziwienia ani żalu przyjąłby czekające na niego odcieleśnienie. Zresztą, nawet nie zdawałby sobie sprawy, że taki skok musi się dla niego fatalnie zakończyć. Nie wiedział, co to znaczy bać się śmierci. Jeżeli jego wodny brat uznałby za wskazane, żeby się właśnie w taki sposób odcieleśnił, przyjąłby tę decyzję z radością i po prostu starałby się ją zgrokować.

– Nie możemy tak tutaj stać. Muszę nas nakarmić, ubrać cię w jakieś normalne ciuchy, a zaraz potem trzeba będzie stąd znikać. Rozbieraj się – poleciła, a sama udała się na przegląd szaf Bena.

Wybrała kurtkę, spodnie, koszulę, beret, bieliznę i buty, po czym wróciła do salonu, gdzie zastała Smitha zaplątanego w ubranie niczym kot w motek włóczki. Głowę miał owiniętą spódnicą, w której uwięzła mu również jedna ręka, a na dokładkę nie zdjął peleryny.

– O, rety! – jęknęła Jill i rzuciła się na pomoc.

Wreszcie jakoś go rozebrała. Ubranie wrzuciła do zsypu – odkupi je później, a teraz chodziło przede wszystkim o to, żeby nie zostawić w mieszkaniu Bena żadnych śladów. Tak na wszelki wypadek.

– O, mój miły, czeka cię porządna kąpiel, zanim założysz te czyste rzeczy Bena. Marnie się tobą opiekowali. Chodź tu.

Jako pielęgniarka nie była zbytnio wrażliwa na różne fizjologiczne zapachy, ale (właśnie jako pielęgniarka) miała małego bzika na punkcie mydła i wody. Tym razem było to o tyle uzasadnione, że jej podopieczny zdawał się już od dłuższego czasu nie mieć kontaktu z żadną z tych rzeczy. Nie można było powiedzieć, żeby śmierdział, ale czuć go było jak... Jak zmęczonego konia w upalny letni dzień.

Smith przyglądał się z zachwytem, jak Jill napełnia wannę wodą. Widział wannę po raz pierwszy w życiu i nie miał pojęcia, do czego mogłaby służyć. W szpitalu myto go tylko w łóżku, a i to niezbyt często; kiedy zapadał w swój somnambuliczny trans, w ogóle go nie dotykano.

Jill sprawdziła łokciem temperaturę wody.

– W porządku, właź.

Smith sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego.

– Szybciej! – pogoniła go Jill. – Wchodź do wody.

Wszystkie użyte przez nią wyrazy znajdowały się już w jego skromnym słownictwie, toteż, drżąc ze wzruszenia, zrobił, co mu kazano. Jego brat życzył sobie, żeby zanurzył całe ciało w wodzie życia! Nigdy do tej pory nie spotkał go taki zaszczyt; z tego, co wiedział, taki zaszczyt nie spotkał jeszcze n i k o g o. Zaczynał powoli pojmować, że istoty, wśród których się znalazł, mają dużo częściej do czynienia z życiodajnym płynem. Jeszcze nie bardzo to grokował, ale akceptował jako oczywisty fakt.

Wsadził do wody drżącą stopę, potem drugą... Wreszcie osunął się, zanurzając całkowicie pod powierzchnię.

– Ojej! – pisnęła Jill, wyciągając mu głowę na wierzch i czując się tak, jakby miała już w rękach trupa. Boże, przecież nie mógł się utopić w tak krótkim czasie! Mimo to niesamowicie się zdenerwowała.

– Smith, obudź się! – krzyknęła trzęsąc nim zawzięcie. – Ocknij się!

Smith usłyszał z daleka wołanie brata i wrócił. Jego oczy straciły szklisty poblask, serce przyspieszyło rytm uderzeń, płuca ponownie wciągnęły powietrze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Jill.

– Dobrze się czuję. Jestem szczęśliwy... mój bracie.

– Przestraszyłeś mnie. Słuchaj, już nigdy tak się nie zanurzaj! Po prostu siedź, tak jak teraz.

– Tak, mój bracie.

Smith dodał coś jeszcze, co dla dziewczyny było tylko skrzypiącym charkotem, a następnie nabrał w złączone dłonie trochę wody z takim nabożeństwem, jakby miał do czynienia z drogocennymi kamieniami, uniósł ją do ust, dotknął wargami i podał ją Jill.

– Hej, nie pij wody z wanny! Nie, ja też jej nie chcę.

– Nie chcesz?

Ból, z jakim to powiedział, był tak wielki, że Jill nie wiedziała, co ma począć. Po chwili wahania nachyliła głowę i dotknęła ustami powierzchni zaofiarowanej wody.

– Dziękuję.

– Obyś nigdy nie była spragniona.

– I ty też. No, starczy tego. Jeśli chcesz się napić, zaraz coś ci przyniosę, ale nie pij już więcej tej wody.

Smith siedział bez ruchu w wannie. Jill zorientowała się już, że w życiu nie widział tego rodzaju urządzenia i nie ma pojęcia, co należy robić. Z pewnością potrafi mu pomóc; problem tylko w tym, że stracą masę cennego czasu.

A, co tam! Smith na pewno sprawi jej mniej kłopotu niż pobudzeni pacjenci z oddziału psychiatrycznego. Zdjęła bluzkę, zamoczoną zupełnie podczas akcji ratowniczej w wannie i powiesiła ją na suszarce. Krótka halka, którą miała pod spodem, teoretycznie nie powinna nasiąknąć wodą, ale lepiej nie kusić licha; ściągnęła ją przez głowę, dzięki czemu została jedynie w figach i staniczku.

Smith przyglądał się jej z zainteresowaniem szeroko otwartymi oczami dziecka. Jill poczuła ze zdziwieniem, że na twarz występują jej rumieńce. Uważała się za osobę wyzwoloną z okowów purytańskiej skromności – przecież pierwszą prywatkę połączoną z pływaniem na golasa zaliczyła w wieku piętnastu lat! – ale to dziecinne spojrzenie nie dawało jej spokoju. Zamiast zrobić to, co było oczywiste, postanowiła zaryzykować i pozostać w bieliźnie.

– No, to do roboty! – powiedziała wesoło, starając się ukryć zmieszanie. Uklękła przy wannie, namydliła gąbkę i zaczęła go myć.

Smith wyciągnął rękę i dotknął jej prawej piersi. Jill cofnęła się gwałtownie.

– Ej, nic z tych rzeczy!

Wyglądał, jakby uderzyła go w twarz.

– Nie? – zapytał tragicznym tonem.

– Nie – powtórzyła, po czym dodała łagodniej: – Nic się nie stało. Po prostu nie przeszkadzaj mi, bo jestem zajęta.

Skróciła kąpiel do minimum, wyjmując wcześniej korek i spłukując go prysznicem w pozycji stojącej. Potem włączyła nadmuch ciepłego powietrza, sama zaś zaczęła się ubierać. Sztuczny gorący wiatr przestraszył go do tego stopnia, że zaczął się cały trząść, więc powiedziała mu, żeby się nie bał i kazała mu złapać się przeznaczonej specjalnie do tego celu poręczy. Kiedy był już suchy, pomogła mu wyjść z wanny.

– Teraz pachniesz o niebo ładniej i założę się, że czujesz się dużo lepiej niż przedtem.

– Czuję się dobrze.

– To znakomicie. A teraz założysz coś na siebie.

Zaprowadziła go do sypialni Bena, gdzie znalazła czyste szorty, ale zanim zdążyła mu wyjaśnić, jak się je zakłada, z domofonu odezwał się męski głos:

– Otwierać!

Szorty wysunęły się jej z dłoni, a ona sama poczuła dziwną miękkość w nogach. Czy wiedzą, że ktoś tu jest? Z pewnością, inaczej przecież by się nie fatygowali. Pewnie sprawdzili tę cholerną taksówkę!

Ma im otworzyć? A może lepiej udawać, że nikogo nie ma?

Domofon znowu się odezwał, tym razem jeszcze ostrzej niż poprzednio.

– Zostań tutaj – szepnęła do Smitha i na palcach pobiegła do salonu.

– Kto tam? – zapytała, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie naturalnie.

– Otwierać w imieniu prawa!

– W imieniu jakiego prawa? Niech pan nie będzie głupi. Proszę mi powiedzieć, kim pan jest, albo wezwę policję!

– M y jesteśmy z policji. Pani nazywa się Gillian Boardman?

– Ja? Jestem Phyllis O'Toole i czekam na pana Caxtona. Zaraz zadzwonię na policję i złożę meldunek o bezprawnym wtargnięciu.

– Panno Boardman, mamy nakaz aresztowania pani. Proszę nam otworzyć, bo inaczej sprawy bardzo się dla pani skomplikują.

– Nie jestem żadna panna Boardman i w tej chwili wzywam policję!

Głos nie odpowiedział. Jill czekała, przełykając nerwowo ślinę. W pewnej chwili poczuła na twarzy wyraźne ciepło; zamek w drzwiach rozjarzył się czerwienią, potem do białości, a następnie coś chrupnęło i drzwi stanęły otworem. Weszło przez nie dwóch mężczyzn. Jeden z nich uśmiechnął się i powiedział:

– Oto nasza ślicznotka! Johnson, zobacz, gdzie on jest.

– Tak jest, panie Berquist.

Jill usiłowała zagrodzić mu drogę, ale mężczyzna po prostu przesunął ją na bok i skierował się prosto do sypialni.

– Gdzie macie nakaz? To napad! – wychrypiała przez ściśnięte gardło.

– Kochanie, nie stwarzaj sobie niepotrzebnych kłopotów – odparł Berquist uspokajającym tonem. – Radzę ci, zachowuj się grzecznie.

Spróbowała kopnąć go w goleń, ale zdążył się odsunąć.

– Oj nieładnie, nieładnie! – roześmiał się drwiąco. – Johnson, masz go?

– Tak jest, panie Berquist. Goły jak święty turecki. Niech pan zgadnie, do czego się właśnie zabierali!

– Nieważne. Dawaj go tutaj.

Johnson wyszedł z sypialni prowadząc przed sobą Smitha. Wykręcał mu mocno jedną rękę.

– Nie chciał się ruszyć.

– Przekonamy go.

Jill dała nura obok Berquista i rzuciła się na Johnsona; mężczyzna uderzył ją na odlew w twarz.

– Spokojnie, flądro.

Uderzył ją dużo słabiej niż wtedy, kiedy bił swoją żonę, zanim ta od niego odeszła, czy aresztantów, gdy ci nie chcieli zeznawać. Do tej chwili Smith nie zareagował żadnym słowem ani nawet grymasem twarzy; nie rozumiał, o co chodzi i starał się nic nie robić.

Kiedy jednak zobaczył, że jeden z obcych ludzi zadał ból jego wodnemu bratu, szybkim ruchem uwolnił ramię z uchwytu, odwrócił się, wyciągnął rękę w stronę Johnsona i...

Johnson zniknął.

O tym, że jeszcze przed chwilą tu był, świadczyła tylko zgnieciona trawa. Jill wpatrywała się w to miejsce czując, że właściwie równie dobrze mogłaby już zemdleć.

Berquist rozdziawił szeroko usta, zamknął je, po czym zapytał chrapliwie:

– Co z nim zrobiłaś?

– Ja? Nic.

– Nie wciskaj mi ciemnoty. Masz tu jakąś zapadnię, czy coś w tym rodzaju?

– A gdzie on właściwie zniknął?

Berquist oblizał nerwowo wargi.

– Nie wiem. – Wyciągnął z kieszeni rewolwer. – Nie próbuj na mnie swoich sztuczek. Zostaniesz tutaj, a on pójdzie ze mną.

Smith znowu czekał. Nie rozumiejąc o co chodzi, zrobił maksimum tego, co mógł. Widok broni jednak nie był mu obcy – mieli ją ci, którzy przywieźli go z Marsa – a wyraz twarzy Jill, spoglądającej z przerażeniem na wylot lufy wcale mu się nie podobał. Żgrokował, że jest to jeden z tych momentów w życiu, kiedy trzeba zrezygnować z kontemplacji i zachwycania się wszystkim, co jest dokoła, na rzecz szybkiego działania, bo w przeciwnym razie można już nigdy nie mieć okazji do kontemplowania czegokolwiek.

Udało mu się przyswoić wszystko, czego uczyli go Starzy. Zrobił krok w kierunku Berquista; rewolwer natychmiast skierował się w jego stronę, a on wtedy wyciągnął rękę do napastnika i...

Berquist zniknął.

Jill wrzasnęła przeraźliwie.

Przez cały czas twarz Smitha była zupełnie bez wyrazu, ale teraz pojawił się na niej bezbrzeżny smutek. Najwidoczniej zrobił coś niewłaściwego. Utkwiwszy w dziewczynie błagalne spojrzenie zaczął się trząść na całym ciele, a potem błysnął białkami oczu, osunął się łagodnie na podłogę, skulił w pozycji embrionalnej i zamarł w bezruchu.

W tej samej chwili Jill uspokoiła się. Miała przed sobą chorego, który jej potrzebował. Nie było czasu ani na emocje, ani na zastanawianie się, gdzie zniknęli obaj mężczyźni. Przyklękła przy Człowieku z Marsa i zabrała się do badania.

Nie mogła wyczuć ani pulsu, ani oddechu. Przycisnęła ucho do jego klatki piersiowej; myślała już, że ustała również akcja serca, ale po dłuższej chwili usłyszała powolne „bum-buum", a w kilka sekund później następne.

Stan Smitha przypominał jej głęboki trans, dużo głębszy nawet od tych, jakie widziała podczas pokazów hipnozy. Słyszała, że coś takiego potrafią osiągnąć indyjscy joginowie, ale nie bardzo wierzyła nie potwierdzonym plotkom.

W normalnych warunkach po prostu wezwałaby lekarza, ale tym razem warunki nie były normalne. Ostatnie wypadki utwierdziły ją tylko w postanowieniu, żeby za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by Smith ponownie dostał się w łapy władz.

Po dziesięciu minutach usiłowań wiedziała już, że nie uda się jej go obudzić.

W sypialni Bena znalazła poobijany kufer – za duży na to, żeby służył za wygodny bagaż podręczny, a za mały, żeby być pełnowartościową walizą. W środku znajdowała się przenośna maszyna do pisania wyposażona w dekoder mowy, a także przybory toaletowe i zmiana ubrania, czyli wszystko, czego może potrzebować reporter wyruszający z domu na nagłe wezwanie. Fakt, że wszystko to pozostało w mieszkaniu, wskazywał, że nagłe zniknięcie Bena było spowodowane czymś innym niż twierdził Kilgallen, ale teraz nie to było najważniejsze. Jill opróżniła kufer i zaciągnęła go do salonu.

Smith ważył więcej od niej, lecz Jill nieraz musiała radzić sobie z pacjentami nawet dwukrotnie przewyższającymi ją wagą, toteż zdołała wcisnąć go do kufra. Mięśnie Człowieka z Marsa stawiały silny opór wszelkim gwałtowniejszym próbom ich poruszenia, ale dłuższym delikatnym naciskom poddawały się równie łatwo jak plastelina. Kąty kufra wypchała ubraniami Bena. Chciała zrobić kilka dziur, żeby umożliwić dostęp powietrza, ale materiał, z jakiego wykonano kufer, okazał się zbyt twardy. Uznała, że przy prawie niewyczuwalnym oddychaniu i zwolnionym metabolizmie Smithowi nie powinno się nic stać.

Z najwyższym wysiłkiem zdołała oburącz unieść kufer, ale o niesieniu go nie miała nawet co marzyć. Na szczęście, był wyposażony w parę małych rolek, dzięki czemu mogła go ciągnąć za sobą. Na trawniku zostały dwie głębokie bruzdy.

Nie wjechała na dach; z taksówkami nie chciała w ogóle mieć do czynienia. Zjechała windą na sam dół, do wyjścia gospodarczego. Zastała tam tylko jakiegoś chłopaka sprawdzającego najświeższą dostawę żywności do kuchni. Odsunął się na bok, pozwalając jej wytaszczyć kufer na ulicę.

– Co tam wleczesz, malutka? Bieliznę do pralni?

– Nie, świeżego trupa! – parsknęła zasapana Jill.

Wzruszył ramionami.

– Głupie pytanie, głupia odpowiedź. Mam, na co zasłużyłem.

CZĘŚĆ DRUGA

Jego nieprawdopodobne dziedzictwo

Rozdział IX

Tego dnia trzecią planetę Układu Słonecznego zamieszkiwało o dwieście trzydzieści tysięcy istot ludzkich więcej niż dnia poprzedniego; jednak w ogólnej liczbie pięciu miliardów ludzi przyrost ten pozostał zupełnie nie zauważony. Stowarzyszone z Federacją Królestwo Południowej Afryki ponownie stanęło przed Sądem Najwyższym, oskarżone o dyskryminację białej mniejszości. Dyktatorzy mody zjechali się do Rio i ogłosili, że lamówki schodzą niżej oraz że należy zakrywać pępki. Obronne satelity Federacji czaiły się na swych orbitach, grożąc natychmiastowym zniszczeniem każdemu, kto ośmieliłby się zakłócić spokój planety. Satelity reklamowe bezustannie zakłócały ten spokój swoim jazgotem, zachwalając po kolei zalety wszystkich artykułów, jakie w ogóle produkowano na Ziemi. Na brzegach Zatoki Hudsona osiadło pół miliona więcej samobieżnych domów niż o tej samej porze w zeszłym roku. Chiński Pas Ryżowy ogłoszono strefą głodu. Cyntia Duchess, znana powszechnie jako Najbogatsza Dziewczyna Świata, spłaciła swego szóstego męża.

Wielebny doktor Daniel Digby, nadbiskup Kościoła Powtórnego Objawienia (fosteryci), ogłosił, że wyznaczył anioła Azreela na przewodnika senatora Federacji Thomasa Boone'a i że najpóźniej wieczorem spodziewa się otrzymać z Nieba zatwierdze-

nie swojej decyzji; agencje podały to jako zwyczajną informację, rewanżując się w ten sposób fosterytom za niszczycielskie rajdy dokonywane w przeszłości na siedziby środków masowego przekazu. Panu Harrisonowi Campbellowi VI i jego małżonce, przebywającym na urlopie w Peru, zastępcza matka urodziła syna – spadkobiercę rodzinnej fortuny. Doktor Horace Quackenbush, profesor w Yale Divinity School, wezwał do odnowienia wiary i kultywowania wartości duchowych. Ponad połowa graczy drużyny futbolowej z West Point okazała się zamieszana w aferę totolotkową. Trzech chemików zajmujących się badaniami nad bronią bakteriologiczną zostało przymusowo hospitalizowanych w Toronto z powodu, jak to określono, „załamania nerwowego"; wszyscy trzej postanowili wystąpić ze skargą do Sądu Najwyższego. Sąd Najwyższy unieważnił wyrok Sądu Stanów Zjednoczonych w sprawie Reinsberg kontra stan Missouri.

Jego Ekscelencja Joseph E. Douglas, sekretarz generalny Światowej Federacji Wolnych Narodów, starał się zmusić do zjedzenia śniadania zastanawiając się, dlaczego przyrządzenie filiżanki naprawdę dobrej kawy jest niemal fizyczną niemożliwością. W stojącym przed nim czytniku z optymalną dla Douglasa szybkością przesuwały się informacje, przygotowane specjalnie dla niego przez nocną zmianę sztabu. Czytnik działał tylko wtedy, gdy Douglas spoglądał w jego kierunku. Robił to właśnie w tej chwili, ale tylko po to, by uniknąć spojrzenia swego szefa siedzącego po drugiej stronie stołu. Pani Douglas nie czytała informacji; miała swoje sposoby, żeby zawsze o wszystkim wiedzieć.

– Joseph...

Spojrzał na nią i czytnik natychmiast się wyłączył.

– Tak, kochanie?

– Coś cię gryzie.

– Mnie? Skąd ci to przyszło do głowy, najdroższa?

– Joseph! Już od trzydziestu pięciu lat rozpieszczam cię, ceruję ci skarpetki i robię wszystko, żebyś miał jak najmniej kłopotów, więc chyba wiem, kiedy cię coś gryzie, a kiedy nie?

Do licha, rzeczywiście zawsze wiedziała. Patrząc na nią zastanawiał się, jak do jasnej cholery udało się jej zmusić go do podpisania bezterminowego kontraktu małżeńskiego. W „starych dobrych czasach", kiedy jeszcze pracował jako zwyczajny prawnik, była jego sekretarką. Pierwszy kontrakt, jaki podpisali, opiewał na dziewięćdziesiąt dni, a chodziło im wyłącznie o to, żeby zaoszczędzić trochę grosza na rachunkach hotelowych. (Był wtedy w trakcie pierwszej w życiu kampanii wyborczej.) Obydwoje uznali wówczas zgodnie, że będzie to po prostu spore udogodnienie; jednak nawet wtedy nie śniło się jej, żeby cerować mu skarpetki!

Usiłował sobie przypomnieć, kiedy to się zmieniło. W oficjalnej biografii pani Douglas („Cień wielkości, czyli historia pewnej kobiety"), można było wyczytać, że oświadczył się jej podczas obliczania głosów po pierwszych wyborach i że jego romantyczna natura nie chciała się zgodzić na nic innego, jak tylko na staroświeckie małżeństwo do grobowej deski.

Cóż, chyba nie było sensu zaprzeczać oficjalnej wersji.

– Joseph! Odpowiedz mi!

– Och, to nic takiego, moja droga. Po prostu miałem niespokojną noc.

– Wiem o tym. Zawsze wiem, kiedy budzą cię w nocy.

Uświadomił sobie, że przecież ich apartamenty dzieli co najmniej pięćdziesiąt metrów.

– A skąd o tym wiesz, kochanie?

– Skąd? Dzięki kobiecej intuicji. Co ci powiedział Bradley?

– Proszę cię, moja droga... Muszę to wszystko przeczytać jeszcze przed posiedzeniem Rady...

– Josephie Edgertonie Douglasie, nie próbuj mnie zbyć byle czym.

Westchnął ciężko.

– Straciliśmy z oczu tego przybłędę Smitha.

– Smitha? Człowieka z Marsa? Jak to „straciliśmy z oczu"? To śmieszne!

– Może i tak, ale prawdziwe. Zniknął wczoraj ze swojej izolatki.

– Niewiarygodne! W jaki sposób?

– Najprawdopodobniej przebrany za pielęgniarkę.

– Co?! Ale... Jakie kroki podjąłeś, żeby go złapać?

– No, szukamy go. Sami zaufani ludzie: Berquist...

– Ten dureń? Zamiast wprowadzić do akcji najlepszych oficerów Służb Specjalnych, ty posyłasz tego idiotę Berquista!

– Ależ, kochanie, nie rozumiesz złożoności sytuacji. Po prostu nie możemy nic takiego zrobić. Oficjalnie Smith wcale nie zaginął. Widzisz, mamy jeszcze... eee... drugiego. Tego, hm, „oficjalnego" Człowieka z Marsa.

– Aha... – zabębniła palcami po stole. – Ostrzegałam cię, że ten pomysł z podstawieniem sobowtóra jeszcze nam wyjdzie bokiem.

– Przecież to ty go zaproponowałaś!

– Wcale nie. I nie próbuj się ze mną sprzeczać. Hmm... Wezwij tu Berquista.

– Nie ma go. Jest w akcji i do tej pory jeszcze się nie zameldował.

– Co takiego? No tak, pewnie jest już w pół drogi do Zanzibaru. Sprzedał nas. Nigdy mu nie ufałam. Mówiłam ci, kiedy go angażowałeś...

– Kiedy j a go angażowałem?

– Nie przerywaj. Mówiłam ci, że każdy, kto bierze pieniądze z dwóch źródeł, nie będzie miał żadnych skrupułów, żeby brać je także z trzeciego. – Zmarszczyła brwi. – Joseph, w tym musi maczać palce Wschodnia Koalicja. Lada dzień możesz spodziewać się w Zgromadzeniu głosowania nad votum nieufności.

– Niby dlaczego? Przecież nikt o tym nie wie.

– Och, na niebiosa! Wkrótce będą wiedzieć wszyscy, Wschodnia Koalicja już się o to zatroszczy. Bądź przez chwilę cicho i pozwól mi pomyśleć.

Douglas posłusznie zamilkł. Spojrzał znowu na czytnik i dowiedział się, że Rada Miejska Los Angeles wystąpiła do Federacji z petycją o udzielenie jej pomocy w walce ze smogiem, gdyż Ministerstwo Zdrowia nawaliło z dostarczeniem czegoś tam... Trzeba będzie coś zrobić w tej sprawie, bo inaczej Charlie może mieć sporo kłopotów z utrzymaniem się w fotelu burmistrza, zwłaszcza że ten kandydat fosterytów... Akcje Lunar Enterprises podskoczyły przy zamknięciu giełdy o dwa punkty...

– Joseph!

– Tak, kochanie?

– Nasz „Człowiek z Marsa" jest jedyny i prawdziwy. Ten, z którym wyskoczy Wschodnia Koalicja, to tylko nędzna imitacja. Tak to załatwimy.

– Ależ, moja kochana, nie damy rady.

– Co to znaczy, „nie damy rady"? Musimy.

– Kiedy to naprawdę niemożliwe. Naukowcy bez trudu zdemaskują fałszerstwo. Nawet nie wiesz, ile musiałem się nagimnastykować, żeby już wcześniej nie dobrali się do niego.

– Naukowcy!

– Ale w każdej chwili może im się to udać.

– Nic mnie to nie obchodzi. Dobre sobie, naukowcy! Przesądy wymieszane pół na pół z domysłami. Należałoby ich wszystkich pozamykać. Właściwie, to powinni być ścigani przez prawo. Tyle razy już ci powtarzałam, że jedyną prawdziwą dziedziną wiedzy jest astrologia.

– No, nie wiem, kochanie... Nigdy jej specjalnie nie potępiałem, ale...

– Ja myślę! Tyle razy ci pomagała!

– ...ale ci naukowcy też wcale nie są tacy głupi. Ot, nie dalej jak wczoraj jakiś profesor opowiadał mi o gwieździe ważącej sześć tysięcy razy więcej niż ołów. Czy może sześćdziesiąt tysięcy?.. Zaraz, niech sprawdzę...

– Bzdury! Skąd niby mieliby to wiedzieć? Zamilcz, Josephie. Nie przyznamy się do niczego. Ich Człowiek z Marsa to nędzna imitacja, nic więcej. Tymczasem trzeba zrobić wszystko, żeby nasze Służby Specjalne odzyskały go, zanim Wschodnia Koalicja ogłosi, że jest w jego posiadaniu. Jeżeli trzeba będzie podjąć nadzwyczajne kroki i ten cały Smith zostanie zastrzelony podczas aresztowania czy coś w tym rodzaju – trudno. I tak sprawiał nam tylko kłopot.

– Agnes! Czy ty wiesz, co sugerujesz?

– Niczego nie sugeruję. Tylu ludziom codziennie przydarzają się nieszczęścia. Tę sprawę trzeba rozwiązać, Joseph. Z maksymalną korzyścią dla maksymalnie dużej liczby osób, jak ty to zwykle mówisz.

– Nie chcę, żeby mu się coś stało.

– A kto mówi o tym, że ma mu się coś stać? Po prostu musisz podjąć zdecydowane działania, to twój obowiązek. Historia przyzna ci rację. Jak sądzisz, co jest ważniejsze: zapewnić spokój pięciu miliardom ludzi, czy litować się nad pojedynczym osobnikiem, który nawet nie jest obywatelem w pełnym znaczeniu tego słowa?

Douglas nic nie odpowiedział. Pani Douglas wstała z miejsca.

– Nie mogę tracić czasu na dyskusję z kimś, do kogo nie docierają logiczne argumenty. Idę do madame Vesant po nowy horoskop. Nie po to poświęciłam najlepsze lata życia, windując cię tam, gdzie teraz jesteś, by stracić to wszystko tylko dlatego, że nagle zmiękł ci kręgosłup. Masz jajko na brodzie.

Po czym wyszła.

Najpotężniejszy człowiek na Ziemi wypił jeszcze dwie filiżanki kawy i dopiero wtedy udał się na posiedzenie Rady. Biedna Agnes! Już nieraz odnosił wrażenie, że sprawia jej zawód. Z pewnością wraz z upływem czasu wcale nie było jej łatwiej. No cóż, przynajmniej zawsze była lojalna, od czubka głowy po koniuszki palców u nóg, a któż jest bez wad; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że ma go dosyć równie serdecznie jak on jej.

Wyprostował przygarbione plecy. Jedno było pewne: nie pozwoli im zrobić krzywdy temu biednemu Smithowi! Co prawda, sprawiał masę kłopotów, to fakt, ale jednocześnie chwytał za serce swoją nieświadomością i bezradnością. Szkoda, że Agnes nie miała okazji zobaczyć, jak łatwo było go przerazić; z pewnością nie proponowałaby wtedy takich rzeczy. Smith obudziłby w niej macierzyńskie uczucia.

Ale czy Agnes miała w sobie jakiekolwiek macierzyńskie uczucia? Trudno było w to uwierzyć, kiedy widziało się ją z ustami zaciśniętymi w wąziutką kreskę. Bzdury, przecież zostało naukowo udowodnione, że wszystkie kobiety są wyposażone w jakieś tam uczucia macierzyńskie, no nie?

Niech ją gęś kopnie! Tak czy owak nie pozwoli, żeby ustawiała go wedle swego widzimisię. Przypominała mu bezustannie, że to jej zawdzięcza swoją obecną pozycję, ale on miał na ten temat własne zdanie. Odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na jego barkach. Wstał, wyprostował się i ruszył na posiedzenie Rady.

Przez cały dzień oczekiwał na to, że ktoś poruszy sprawę zaginięcia Smitha, lecz nic takiego nie nastąpiło. W związku z tym nieodparcie nasuwał się wniosek, że, o dziwo, cała afera nie wydostała się jeszcze poza wąski krąg jego współpracowników. Sekretarz generalny miał tylko jedno pragnienie: zamknąć oczy i pozwolić, żeby ten cholerny galimatias jakoś sam się rozwiązał. Niestety, było to niemożliwe. Nie pozwalał na to zarówno bieg wydarzeń, jak i jego żona.

Agnes Douglas nie czekała, aż jej mąż podejmie jakieś kroki w sprawie Człowieka z Marsa. Ludzie z Pałacu słuchali zarówno jego, jak i jej – niewykluczone nawet, że jej bardziej. Wezwała do siebie zastępcę asystenta do spraw kontaktów publicznych, jak nazywano sekretarza prasowego, po czym zajęła się najpilniejszą sprawą: nowym horoskopem. Specjalna linia wizyjna łączyła jej apartament z gabinetem madame Vesant. Pulchna twarz wróżbitki pojawiła się na ekranie niemal natychmiast.

– To ty, Agnes? Co się stało? Właśnie rozmawiam z klientem.

– Mam nadzieję, że nas nie słyszy?

– Oczywiście, że nie.

– Więc pozbądź się go.

Na twarzy madame Aleksandry Vesant nie pojawił się nawet cień niezadowolenia.

– Zaczekaj chwileczkę.

Zniknęła z ekranu, na którym pojawił się napis PROSZĘ CZEKAĆ. Ktoś wszedł do apartamentu i stanął przy biurku pani Douglas; był to James Sanforth, sekretarz prasowy, po którego posłała.

– Miałeś jakieś wiadomości od Berquista? – zapytała.

– Ja się tym nie zajmuję, to działka McCary'ego.

Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Nieważne. Musisz go ośmieszyć, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

– Przypuszcza pani, że Berquist nas sprzedał?

– Nie bądź naiwny. Powinieneś był skontaktować się ze mną, zanim mu to zleciłeś.

– Nie zrobiłem tego, bo tą sprawą zajmował się McCary.

– Ale ty powinieneś wiedzieć wszystko, co się dzieje. – Na ekranie ponownie pojawiła się twarz madame Vesant. – Poczekaj na zewnątrz – rzuciła Sanforthowi pani Douglas, po czym zwróciła się do wizjofonu:

– Allie, moja kochana! Potrzebuję nowych horoskopów dla mnie i mojego męża, i to jak najprędzej.

– Dobrze. – Astrolog zawahała się przez moment. – Ale mogłabym ci znacznie bardziej pomóc, moja droga, gdybym wiedziała, co takiego się stało.

Palce pani Douglas zabębniły na blacie biurka.

– Ale nie musisz?

– Oczywiście, że nie. Każdy, kto przejdzie odpowiednio intensywne szkolenie, a także posiądzie znajomość matematyki i gwiazd, może postawić horoskop nie dysponując żadnymi dodatkowymi informacjami oprócz godziny i miejsca urodzenia danej osoby. Sama mogłabyś się tego nauczyć, gdybyś nie była tak bardzo zajęta. Ale pamiętaj o jednym: gwiazdy ukierunkowują, lecz nie prowadzą. Jeżeli mam dokonać szczegółowej analizy, żeby służyć ci radą w krytycznej sytuacji, muszę wiedzieć, gdzie i czego mam szukać. Czy najbardziej będzie nas interesować Wenus? A może Mars? Czy też...

Pani Douglas podjęła błyskawicznie decyzję.

– Mars. Allie, będę potrzebowała jeszcze jednego horoskopu.

– Bardzo proszę. Czyjego?

– Hmm... Mogę ci ufać?

Madame Vesant sprawiała wrażenie osoby lekko urażonej.

– Agnes, jeżeli mi nie wierzysz, to najlepiej w ogóle się do mnie nie zwracaj. Nie ja jedna posiadłam tajniki starożytnej wiedzy. Inni mogą ci dodatkowo służyć całą naukową obudową, na przykład profesor Krausemeyer, choć podobno...

– Allie, przestań! Nawet by mi przez myśl nie przeszło zwrócić się do kogokolwiek innego. A teraz słuchaj: jesteś sama?

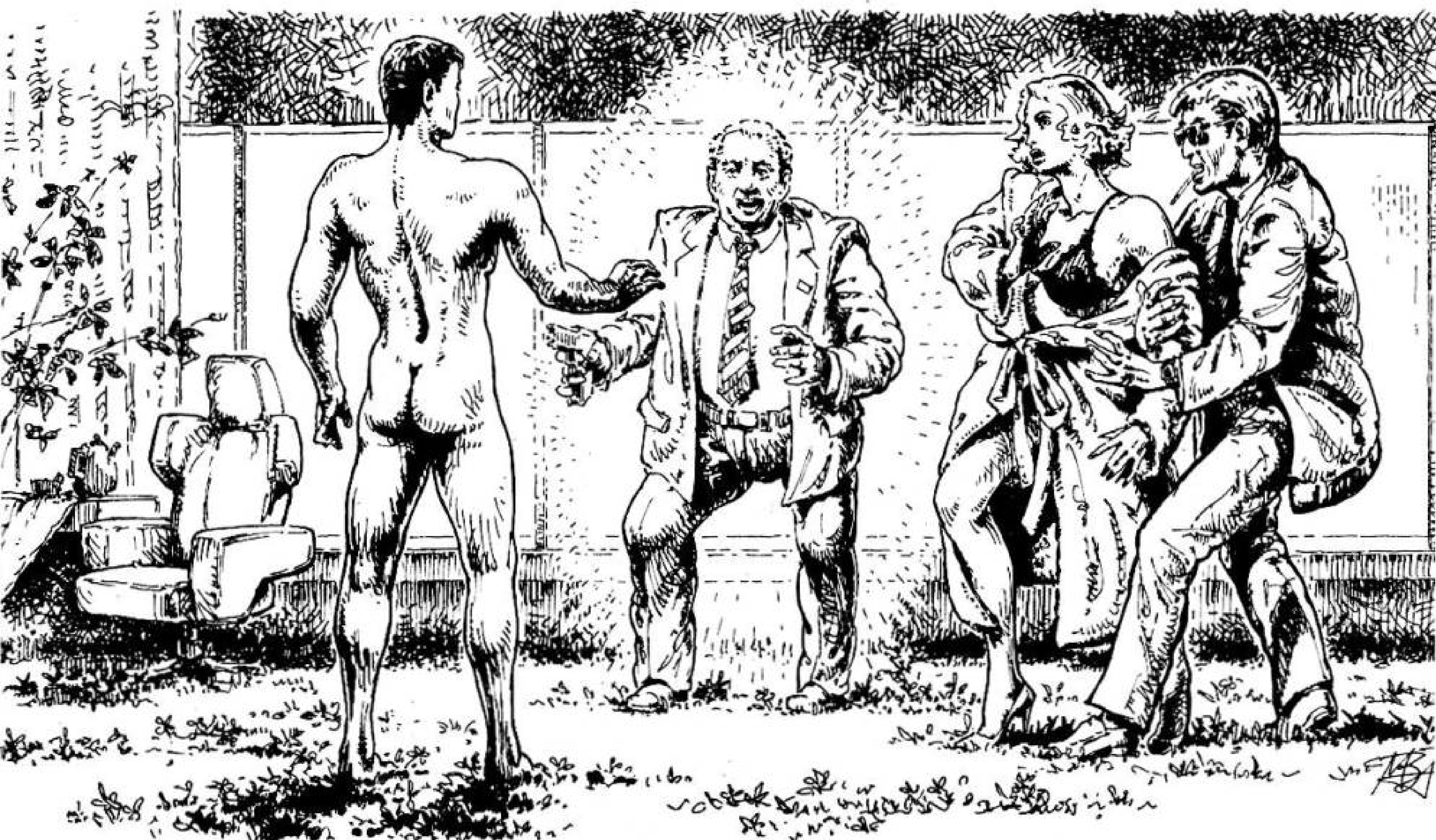
– Oczywiście, moja droga.

– Potrzebny mi horoskop Valentine'a Michaela Smitha.

– Valentine'a Mi... Człowieka z Marsa?

– Tak, tak! Allie, on został porwany! Musimy go odnaleźć.

Dwie godziny później madame Aleksandra Vesant odsunęła się od biurka i westchnęła głęboko. Poleciła sekretarce odwołać wszystkie seanse; rozłożone przed nią kartki papieru były pokryte diagramami i figurami, a honorowe miejsce na biurku zajmowała opasła księga, zniszczona od częstego używania. Różnica między Aleksandrą Vesant a niektórymi innymi astrologami polegała na tym, że ona podczas swych obliczeń opierała się niemal wyłącznie na popularnym wydaniu „dzieła" zatytułowa-



Marek Bielecki

nego „Arkana astrologii i klucz do Kamienia Salomonowego". Egzemplarz ten odziedziczyła po swym nieżyjącym mężu, profesorze Simonie Magusie, mentaliście, jarmarcznym hipnotyzerze i iluzjoniście, a przede wszystkim pilnym studencie „Arkanów".

Ufała książce równie mocno, jak jemu. Nikt nie potrafił postawić horoskopu tak jak Simon, kiedy był trzeźwy. Prawie nie korzystał wtedy z książki. Zdawała sobie sprawę, że ona nigdy nie osiągnie takiego mistrzostwa. Czasem coś jej nie wychodziło w obliczeniach – Becky Vessey (tak się niegdyś nazywała) właściwie nigdy nie opanowała do końca tabliczki mnożenia, a w dodatku miała skłonność do mylenia siódemek z dziewiątkami.

Mimo wszystko stawiane przez nią horoskopy cieszyły się dużym wzięciem. Pani Douglas nie była jedyną jej klientką z wyższych sfer.

W pierwszej chwili, kiedy żona sekretarza generalnego zażądała od niej horoskopu dla Człowieka z Marsa, madame Vesant ogarnęła panika. Poczuła się dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy jakiś dureń zaproszony na scenę z widowni tak niefortunnie zawiązał jej opaskę na oczach, że naprawdę nic nie widziała, a tymczasem Profesor zabierał się właśnie do zadawania jej pytań dotyczących kształtu i koloru oglądanych przez wszystkich, tylko nie przez nią, przedmiotów. Wtedy jednak przekonała się, że posiada talent udzielania właściwych odpowiedzi; stłumiła obezwładniające uczucie strachu i postanowiła grać dalej.

Przede wszystkim zażyczyła sobie dokładnych informacji co do godziny, dnia i miejsca urodzenia Człowieka z Marsa, będąc niemal pewna, że ich nie uzyska.

Myliła się jednak; po niezbyt długim oczekiwaniu otrzymała wszystkie potrzebne dane. Przez ten czas zdążyła opanować do końca panikę. Zanotowała to, co było jej potrzebne i obiecała zadzwonić natychmiast, jak tylko horoskopy będą gotowe.

Po dwóch godzinach wyczerpujących obliczeń wiedziała wszystko o państwu Douglasach, natomiast w dalszym ciągu nic o Człowieku z Marsa. Powód był równie prosty, co niemożliwy do ominięcia: Smith nie urodził się na Ziemi.

Jej astrologiczna biblia nie zawierała żadnej wskazówki, co robić w takiej sytuacji. Nic zresztą dziwnego – autor książki zmarł na długo przed pierwszym lądowaniem na Księżycu. Próbowała ratować się przyjmując założenie, że podstawowe zasady pozostają niezmienione, natomiast drobną korektę należy wprowadzić tylko w części równań dotyczących umiejscowienia w przestrzeni, ale wprowadziło ją to w taki gąszcz nieznanych zależności, że poczuła się kompletnie zagubiona. Nie była nawet pewna, czy układające się w znaki Zodiaku gwiazdozbiory wyglądają z Marsa tak samo, jak z Ziemi. A co mogła począć bez znaków Zodiaku?

Równie dobrze mogłaby podjąć próbę wyciągnięcia z jakiejś liczby pierwiastka sześciennego. Nigdy nie opanowała tej umiejętności i między innymi właśnie z tego powodu musiała pożegnać się ze szkołą.

Wyciągnęła butelkę, którą trzymała na takie właśnie, trudne chwile. Nalała sobie do szklanki, potem napełniła ją powtórnie i zastanowiła się, co by w takiej sytuacji począł Simon. Mogła niemal usłyszeć jego spokojny głos: „Ufności, dziecino! Miej ufność, a wtedy ci prostaczkowie będą ufać tobie. Jesteś im to winna."

Poczuła się znacznie lepiej i od razu dziarsko zabrała się do spisywania horoskopów dla państwa Douglas. O ileż łatwiej było jej później sporządzić horoskop dla Smitha! Po raz kolejny potwierdziła się stara prawda: słowa zapisane na papierze same potwierdzają swoją wagę. Przecież wyglądają tak prawdziwie... Kończyła właśnie, kiedy zadzwoniła Agnes Douglas.

– I co, Allie? Masz już?

– Właśnie kończę. Chyba sama rozumiesz, że postawienie horoskopu dla tego Smitha nie było łatwą sprawą. Przez to, że urodził się na innej planecie, musiałam dokonywać poprawek w każdej fazie obliczeń. Słabszy wpływ Słońca, niemal żaden Dia-

ny, zupełnie inny, a nawet wręcz niepowtarzalny Jowisza... Sama widzisz. Musiałam przeprowadzić specjalne...

– Allie, to nieważne! Masz horoskopy?

– Oczywiście.

– Och, dzięki Bogu! Bałam się, że próbujesz mi powiedzieć, że nie dałaś sobie rady.

– Moja droga, nauka nigdy się nie zmienia, zmieniają się jedynie konfiguracje – odparła z odrobiną urażonej godności w głosie madame Vesant. – Skoro przepowiedziała czas i miejsce narodzin Chrystusa, czas i miejsce śmierci Cezara, jakże mogłaby nas teraz zawieść?... Prawda zawsze pozostanie Prawdą, niezmienną i niewzruszoną.

– Tak, oczywiście.

– Jesteś gotowa?

– Tylko włączę nagrywanie. Już, w porządku.

– Znakomicie. Agnes, znajdujesz się obecnie w najbardziej krytycznym momencie swego życia. Nigdy do tej pory nie widziałam wokół ciebie równie silnych konfiguracji. Przede wszystkim musisz być opanowana, nie daj się ponieść emocjom i dokładnie rozważ każdy następny krok. Ogólnie rzecz biorąc potencjały sprzyjają ci, pod warunkiem, że będziesz unikać wszelkich nieprzemyślanych działań. Nie zaprzątaj swego umysłu zewnętrznymi objawami... – ciągnęła swoje rady. Becky Vessey zawsze udzielała dobrych rad i robiła to z przekonaniem, ponieważ wierzyła w każde swoje słowo. Nauczyła się od Simona, że nawet wtedy, gdy wszystko wskazuje na to, że gwiazdy są przeciwko, istnieją sposoby złagodzenia ciosu i wskazania klientowi tych aspektów sytuacji, które będzie mógł wykorzystać na swoją korzyść.

Twarz na ekranie, jeszcze niedawno spięta i niespokojna, wypogodziła się. Agnes Douglas potwierdzała każdą otrzymaną wskazówkę lekkim skinięciem głowy.

– Jak więc widzisz – zakończyła madame Vesant – biorąc pod uwagę wszystkie trzy horoskopy, zniknięcie Smitha jest wręcz koniecznością. Nie obawiaj się, on wkrótce powróci albo przynajmniej o nim usłyszysz. Najważniejsze, żeby nie czynić niczego w pośpiechu. Bądź opanowana.

– Rozumiem.

– Aha, jeszcze jedno: niezwykle korzystny jest wpływ Wenus, silniejszy nawet od oddziaływania Marsa. Wenus symbolizuje, rzecz jasna, ciebie, podczas gdy Mars to zarówno twój mąż, jak i Smith. Fakt ten obarcza się podwójnym ciężarem, któremu musisz sprostać: jest wręcz nieodzowne, abyś zademonstrowała typowo kobiece cnoty chłodnego rozsądku i powściągliwości. Masz być podporą dla swego męża, pomocą w chwilach kryzysu i ukojeniem po nich. Masz być jak matka-ziemia, mądra chłodną mądrością krystalicznie czystych źródeł. Taki jest dar, który posiadasz i musisz go wykorzystać.

Z piersi pani Douglas wyrwało się głębokie westchnienie.

– Allie, jesteś po prostu cudowna! Nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Podziękuj Mistrzowi, którego jestem tylko skromną naśladowniczką.

– Jemu nie mogę, więc podziękuję tobie. To nie będzie zwykła zapłata, Allie. Otrzymasz specjalny prezent.

– Ależ, Agnes! To dla mnie wielki przywilej, że mogę ci służyć.

– A moim przywilejem jest doceniać tych, którzy mi służą. Allie, ani słowa więcej!

Madame Vesant wysłuchała jeszcze kilku komplementów pod swoim adresem, po czym, odczuwając przyjemne, promieniujące niemal fizycznym ciepłem zadowolenie z tego, że udzieliła odpowiedzi, której słuszności była całkowicie pewna, wyłączyła aparat. Biedna Agnes! To naprawdę był przywilej móc prostować krętą ścieżkę, po której stąpała i zmniejszać nieco ciężar, który dźwigała na swych barkach. Dobrze było mieć świadomość, że się jej pomaga.

Było jej miło, że żona sekretarza generalnego traktuje ją jak kogoś równego sobie, choć myślała o tym w ten sposób tylko wtedy, kiedy ogarniała ją na jakiś czas fala snobizmu. Zdarzało się to, bo przed laty mała Becky Vessey była kimś tak mało ważnym, że nawet dzielnicowy nigdy nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, chociaż doskonale pamiętał jej biust. Becky Vessey nie miała mu tego za złe, gdyż lubiła ludzi. Lubiła też Agnes Douglas.

Becky Vessey lubiła wszystkich.

Siedziała dłuższą chwilę przy biurku rozkoszując się jeszcze jedną szklaneczką trunku i przyjemnym uczuciem zadowolenia z dobrze wykonanej pracy, podczas gdy jej mózg pracował intensywnie, próbując dopasować poszczególne fragmenty łamigłówki. Wreszcie połączyła się ze swoim agentem giełdowym i poleciła mu czym prędzej sprzedać wszystkie akcje Lunar Enterprises.

– Allie, ta dieta chyba osłabiła twoje zdolności myślenia! – parsknął z oburzeniem.

– Słuchaj, Ed: sprzedawaj nawet wtedy, jeśli spadną o dziesięć punktów. Jak podskoczą o trzy, kupuj i sprzedaj znowu, kiedy dojdą do dzisiejszego poziomu.

Odpowiedziała jej długa cisza. Wreszcie odzyskał głos:

– Allie, ty coś wiesz. Powiedz wujkowi Edowi.

– Wyczytałam to z gwiazd.

Ed zaproponował jej coś, co było wręcz astronomicznie niemożliwe.

– Dobra, nie chcesz powiedzieć, to nie. Hmm... Nigdy nie miałem dość rozsądku, żeby trzymać się z daleka od podejrzanych interesów. Masz coś przeciwko temu, żebym się przyłączył?

– Ależ skąd. Tylko uważaj, żeby nie wywołać paniki. To bardzo delikatna sytuacja, pod silnym wpływem Saturna zawieszonego między Lwem i Panną.

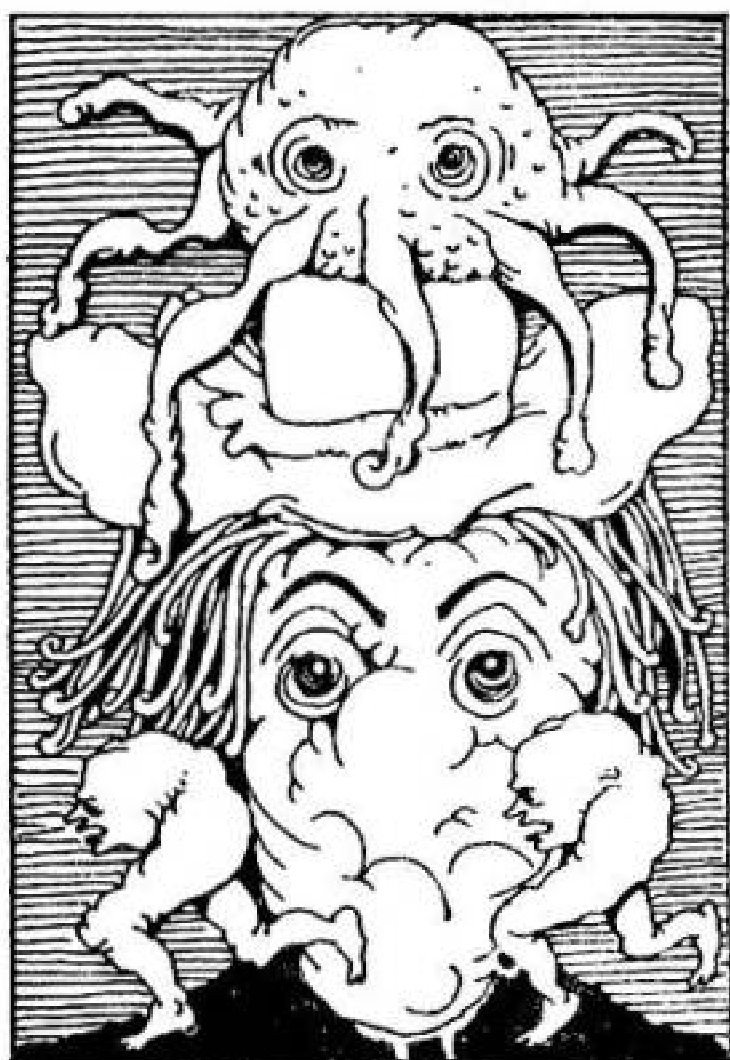
– W porządku, Allie.

Pani Douglas zabrała się od razu do pracy, szczęśliwa, że Allie potwierdziła jej ocenę sytuacji. Wydała polecenia dotyczące wszczęcia kampanii mającej na celu zdyskredytowanie nie dającego ciągle znaku życia Berquista, a następnie wezwała do siebie komendanta Twitchella ze Służb Specjalnych – wyszedł ze skwaszoną miną i przez resztę dnia nie dał żyć swojemu zastępcy. Kazała Sanforthowi nadać kolejne audycje z „Człowiekiem z Marsa", rozpowszechniając jednocześnie plotkę, że według „źródeł zbliżonych do rządu" Smith ma się wkrótce udać, albo już się udał, do sanatorium położonego wysoko w Andach, by móc oddychać powietrzem w miarę możliwości najbardziej zbliżonym do marsjańskiego. Potem zaczęła się zastanawiać, jak zmusić Pakistan do pozostania w koalicji.

Po pewnym czasie połączyła się z mężem i wymogła na nim poparcie dla żądań Pakistanu dotyczących odkrytych w Kaszmirze złóż toru. Nie było to trudne zadanie, gdyż sam nosił się z takim właśnie zamiarem, chociaż po kilku minutach rozmowy niemal uwierzył, że był przeciwnikiem tego rozwiązania. Załatwiwszy tę sprawę pani Douglas udała się na zebranie koła Cór Drugiej Rewolucji, żeby wygłosić odczyt zatytułowany „Macierzyństwo w Nowym Świecie".

cdn.

Nadesłane na konkurs „Fantastyka '90"



Bogusław Jarosiński

Bajka

Była burza. Już z daleka zapowiadała się rtęciową bielą wyładowań i coraz gwałtowniejszymi uderzeniami wichury. Na nocnym niebie, za atramentowymi chmurami przelatywał przerażony księżyc. Szum drzew nasilał się. Liście, z początku pojedynczo, potem masami wirujących cieni odrywały się od niezdolnych, aby je utrzymać, gałęzi i z furkotem mknęły, wytyczając kierunki wiatru. Rozliczne, chlupoczące kałuże wielokrotnie powielały rozdygotane nitki błyskawic. Gdzieś blisko elektryczna struga runęła dziobem ku ziemi. Rozległ się grzmot, a zaraz po nim stłumiony łoskot. Przez mokre witki krzaków można było zauważyć jeszcze, jak stojąca budowla zmarszczyła się, zmięła do wewnątrz i zwaliła w dół. W środku prawdopodobnie nagromadziło się wcześniej sporo wody, gdyż kawały walącej się fasady wzbijały przy uderzeniu szerokie strugi. W końcu rumowisko znieruchomiało. Minęła godzina, zanim burza przeszła dalej.

*

Na gruzach budowli wciąż rozpylały się spadające krople, porywistość wiatru jednak znacznie spadła. Właściwie pozostał jedynie deszcz, uparcie wprawiający w drżenie srebrzyste kontury otoczenia. Gdyby nie fakt, że stało się to tej nocy, można by sądzić, iż rozwaliska tkwią martwo od niepamiętnych czasów. Nie ma nic interesującego w stercie gruzów (przy takiej pogodzie) i doprawdy, był najwyższy czas, by opuścić to nieprzytulne miejsce, gdy wtem...

...w deszczowy szmer wkradł się obcy dźwięk. Dziwne, ale pokierowane słuchem oczy odkryły jakieś poruszenie w ruinach. Coś wydobywało się z głębi na zewnątrz. Moment i oto z kilku stron naraz zaczęły wysuwać się podłużne, ciemne kształty. Od pewnego czasu chmury zasłoniły całe niebo, tak więc w ciemnościach można było tylko domyślać się rosnącego ogromu.

W chwili, gdy przeciętny obserwator wziąłby nogi za pas (groza osiągnęła kulminację), owo coś z wysiłkiem dźwignęło się, starając jednocześnie wyszarpnąć spod gruzów, i – opadło. Kilka minut jeszcze nad ziemią przebiegały w czymś agonalne drgawki, a potem wszystko ustało. Tylko deszcz siąpił niezmordowanie...

*

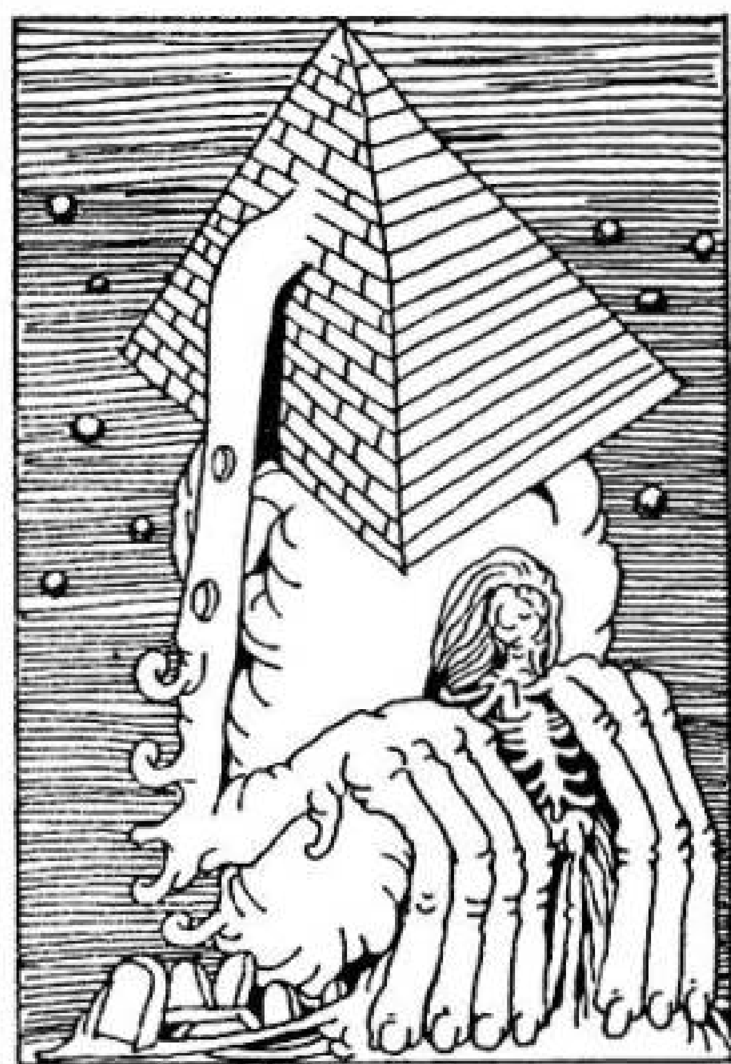
Któregoś dnia, po koszmarnej, ledwie przespanej nocy, malarzowi N. udało się namalować obraz, który otworzył mu drogę do serc krytyków. Fakt ów zapoczątkował wzrost zainteresowania twórczością artysty, które – po serii udanych wystaw – przekształciło się wręcz w modny snobizm. Teraz mógł ze znacznym zyskiem sprzedać wszystkie obrazy, jakie namalował, nie wzbudzające dotąd uznania. W bardzo krótkim czasie N. stał się bogatym człowiekiem. Urodziły mu się bliźniaczki, a potem syn. N. nigdy dotychczas nie był tak szczęśliwy. Dziewczynki miały zielone oczy i szminkowe usteczka, ale nikt nie rozumiał, z czego się śmiały. Chłopiec po ojcu odziedziczył nerwicę. Siostry nie lubiły go i nie bawiły się z nim. Dla dzieci wybudował N. przestronny pawilon z basenem o beżowych kafelkach. Stale kąpały się w nim dziewczynki, a czasami wkradał się chłopiec. Jednak nie pływał, lecz kucając, zmrużonymi oczyma godzinami studiował lustro wody, przenoszące odbicie kopuły stropu na ciemny prostokąt dna basenu. Stopniowo oswajał się z bliźniaczkami i po kilku tygodniach, przy świetle elektrycznych kandelabrów, w pustym pawilonie baraszkowała wieczorami trójka roześmianych dzieci.

*

Gdy podrosły, chłopiec ukończył studia biologiczne i zajął się głowonogami. Dziewczynki poszły w ślady ojca i zostały malarkami. Za ich najlepszą pracę uważa się tryptyk pt. „Gorgony", z którego wyróżniono „Meduzę kąpiącą się". Oblicze Gorgony spogląda na widza spod powierzchni wody. Seledynowe jeziorko otaczają skały o beżowych piaskach.

Gdy podrosły, dowiedziały się, że – zmarły już – ojciec podczas budowy basenu kazał umieścić pod nim drugi, oddzielony od górnego masywną, czarną szybą. W spodnim basenie N. przez cały czas trzymał olbrzymią...

1987



Agata Rozwada

Wibracja

Barwne widoki za oknem ogarnia mgła, która coraz bardziej gęstnieje tworząc skłębioną, nieprzeniknioną dla wzroku zasłonę. Nagle we mgle ukazuje się zarys twarzy na tle gałęzi drzewa. „Dziwne – myśli Debora. – Twarz jest w oddali, ale oczy widać wyraźnie, jakby z bliska". Po chwili wszystko znika i pociąg staje. Debora wysiada, idzie nie myśląc o niczym i mija ogrodzenie cmentarza. Silny podmuch zimnego wiatru zatrzymuje ją przed bezlistnym drzewem. Momentalnie zapada ciemność, wiatr ustaje, w powietrzu jest przejmujący chłód. Debora zawraca chcąc uciekać i spada na coś miękkiego. Oślepia ją blask rażącej wstęgi światła, która przemienia się w setki migotliwych światełek. Tworzą one tęczę barw i są w bezustannym ruchu, wibrują, gonią się wzajem, gasną i zapalają. Ich kolory mienią się dziesiątkami odcieni. Trwa to krótko. Jaskrawe światła nikną. Wraz z ciemnością przy-

chodzi powiew ciepła. Debora czuje dotyk ciepłych dłoni. Jej krzyk przerywa wszechobecną, oszałamiającą ciszę i zaraz słychać szept:

– Mam na imię Tari. Jesteś ze mną w piramidzie. Dlaczego krzyczysz?

Debora usiłuje odpowiedzieć, otwiera usta, ale nie słyszy własnego głosu. W końcu ciepło ją uspokaja, a ciemność usypia.

Budzi Deborę chłód kamiennej komnaty. Jest widno. Komnata w kształcie ostrosłupa ma ściany wykładane barwnymi, szklistymi kaflami. Widnieją na nich malowidła przedstawiające kobiety w dziwacznych strojach. Każdej towarzyszy ten sam mężczyzna.

Nagle wszystko ogarnia ciemność. Delikatne ręce wciągają Deborę jak gdyby w głąb ciepłej, miękkiej otoczki. Ale Debora nie odwzajemnia uścisków, nie oddaje pocałunków.

– Zapal światło – mówi zdenerwowana. – Mam dość ciemności.

Pojawia się smuga światła. Debora czuje uścisk, lecz nikogo nie widzi.

– Gdzie jesteś, Tari? – pyta przestraszona. – Nie widzę cię!

– Spójrz na malowidła. Dowolnie przemieszczam się w czasie. Kiedy obcuję z kobietami w przeszłości, teraźniejszości lub w przyszłości, na ścianach piramidy powstają kolejne obrazy.

Debora przygląda się malowidłom. Na jednym z nich spostrzega siebie. Jest zaskoczona.

– Chcę być twoją jedyną kobietą! – mówi agresywnym tonem.

Nastaje ciemność. Debora drży siedząc na kamiennej posadzce. Głos Tari wydobywa się jakby spod ziemi:

– Przez moment myślałaś o moich oczach. Twoja myśl rozbudziła we mnie pragnienie, którego siła umożliwiła przeniesienie ciebie w moją rzeczywistość. Teraz rozdziela nas zazdrość. Rozstajemy się na zawsze, Deboro. Odejdziesz tam, skąd przybyłaś i nigdy nie wrócisz do piramidy.

Ostatnie słowa Tari zagłusza szum wiatru na cmentarzu. Jednocześnie znika ciemność. Obok bezlistnego drzewa leży ogromny kamień w kształcie piramidy. Jest na nim wyryty napis „Tari".

Debora budzi się w pociągu.

– Długo spałam? – pyta mężczyznę siedzącego naprzeciw.

– Nie wiem – mówi nieznajomy. – Gdy pociąg stanął w pobliżu cmentarza, wskazówki zegara zaczęły szybko kręcić się wokół tarczy, każda w inną stronę.

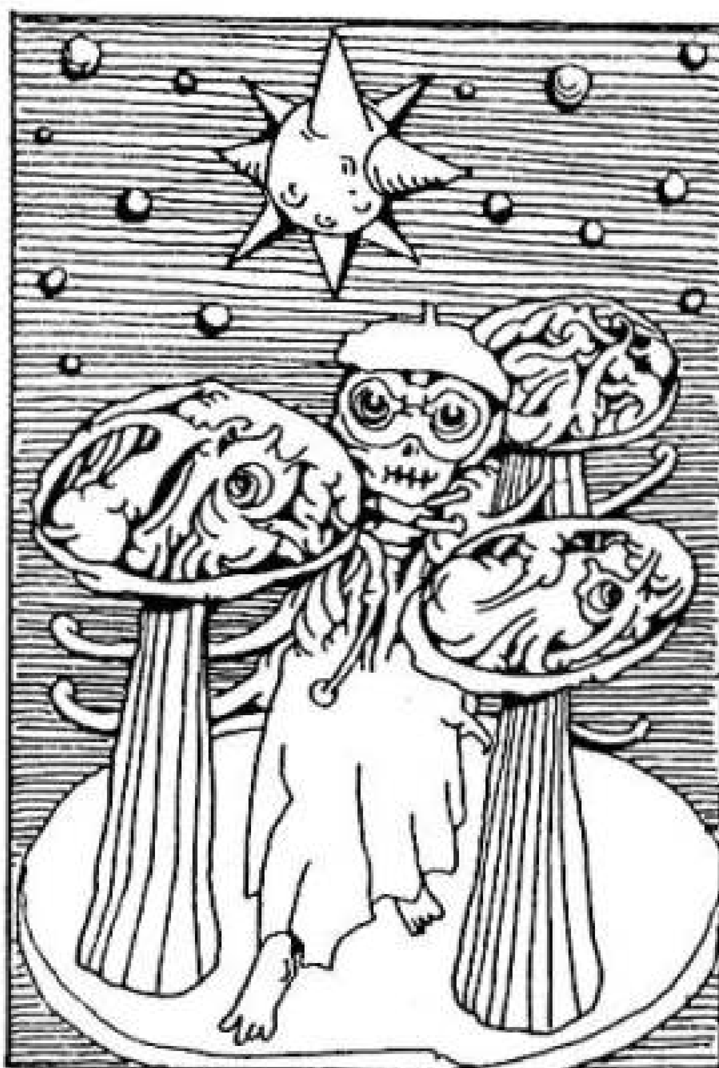
– Dlaczego?

– Chyba pod wpływem nieznanych prądów emitowanych z terenu cmentarza. Wywołują one silne wiatry. Nikt tamtędy nie może przejść. Stale unoszą się tumany pyłów. Drzewa tracą liście. Ludzi mieszkających w okolicy dręczą koszmarne sny. Co się pani śniło?

Debora nie odpowiada. Głos mężczyzny jest coraz cichszy:

– Ja nie pamiętam swoich snów. Muszę wysiąść. Żegnam.

Mężczyzna wychodzi z przedziału. Debora wybiega na pusty korytarz i staje w otwartym oknie. Pęd powietrza utrudnia wyglądanie. „Kto to był? – myśli zdziwiona przypominając sobie spojrzenie nieznajomego. – Samobójca? Szaleniec? Miał niesamowite, czarne oczy".



Wojciech Wazl

Chwała zbuldożałym

Dzieciństwo

Nie wiedział, że umrze, więc urodził się. A nawet gdyby wiedział, to i tak popełniłby ten błąd. Zresztą od dziecka był dziwny. Mimo zapewnień swoich rodziców i rówieśników nie przyjmował do wiadomości, że go nie ma. Na przekór im i swoim nauczycielom postanowił stwierdzić, że istnieje. Gdy tego dowiódł, załamał się, gdyż dowód był fałszywy. Od tego momentu zmienił się i postanowił niezmiennie zmieniać wszystko, co niezmienne. Tak więc wkrótce potem zadał kłam prawdzie. Otworzyły się wówczas ludziom oczy i zrozumieli, że ziemia jest płaska i że nie ma żadnych pierwiastków i są tylko cztery żywioły.

Wiek dojrzały

Kiedy dorósł, wyrosły mu wąsy, czego nie spodziewał się. Pewnego dnia zaciął się przy goleniu. Od tej pory jego dowcipy były zawsze cięte. Innym razem, gdy siedział na desce klozetowej, oświeciło go. Odkrył, czego świat od niego żąda... Po prostu niczego.

Na jego osiemnaste urodziny zleciała się rodzina z całej galaktyki. Przyjęcie było wspaniałe, aczkolwiek nieudane. W nocy miał koszmary – śniły mu się kwiaty. Rano, gdy się obudził, zauważył, że jeszcze śpi, więc starał się zachowywać cicho. Po obiedzie wziął laser i poszedł na grzyby. Gdy wrócił wieczorem, dowiedział się, że zaginął. W nocy zaniepokojony nie mógł spać, więc zasnął. Następnego dnia podczas śniadania dowiedział się, że został odnaleziony. Zaraz po śniadaniu poszedł sobie pogratulować.

Kiedyś poznał piękną dziewczynę, lecz stwierdził z przerażeniem, że była brzydka. Wystraszył się i uciekł tam, gdzie raki mówią dobranoc.

Studia, choć fatalne, szły mu dobrze. Wtedy też napisał swoje pierwsze dzieło literackie pod tytułem „Pierwszeństwo wtórnego potrajania". A oto ono:

Już czwarty raz wybiła piąta, gdy szósty artysta od siedmiu boleści namalował ośmiornicę dziewięciokrotnie zdziesiątkowaną.

Oprócz fascynacji literaturą miał również inne zainteresowania. Lubił na przykład muzykę poważną, a w szczególności heavy metal. Kochał także koty (czytaj: kochał zabijać koty). Był więc człowiekiem wrażliwym, a przy tym uczciwym, dlatego popełniał tylko jedno przestępstwo dziennie.

Starość

Był abstynentem, więc pił tylko raz w tygodniu, prowadził zdrowy tryb życia, nie wąchał butaprenu, dlatego też dożył setki. A trzeba powiedzieć, że jego aktywność poznawcza nie osłabła wraz z wiekiem starczym. Na przykład pewnego dnia słuchając radia zauważył, że od kilku lat jest zupełnie głuchy. Innym razem czytając książkę zupełnie przypadkowo odkrył, że jest niewidomy. Po każdym takim odkryciu z radością pogrążał się w smutku.

Jego ostatni dzień życia zaczął się paskudnie. Zaraz jak tylko wstał, stwierdził, że zdechł jego ukochany chomik Klaudiusz. Jego niepokój pogłębiło to, że nigdy nie miał żadnego chomika.

Jedząc obiad znalazł w zupie gwóźdź. Rozwścieczony zjadł go, a zupę wylał. Pod wieczór wielce zaskoczony umarł. Gdy tylko to zauważył, przestał oddychać.



Tego dnia, kiedy w telewizji pojawiła się pierwsza wzmianka o Stalowym Ptaku, ojciec długo w nocy chodził po swoim gabinecie. Zanim zasnąłem, słyszałem przez ścianę, jak łapał zagraniczne radiostacje. Zawsze to robił, kiedy na świecie działo się coś niezwykłego. Tym razem jednak poszedł na całość: następnego dnia zwolnił się z pracy.

Marek Oramus

Ukryty w gwiazdach

z polskiej fantastyki

– Mamy trochę oszczędności – tłumaczył matce, która jak zwykle zarzucała mu lekkomyślność. – Chwila jest epokowa, a ja mam chodzić do biura. Jeżeli to obca sonda kosmiczna, to za miesiąc świat zostanie wywrócony do góry nogami.

Chyba jej nie przekonał, bo słyszałem, jak wieczorami często wracali do tego tematu. Ja natomiast postanowiłem być sprytny.

– Tato – powiedziałem – chwila jest epokowa, a ja muszę chodzić do szkoły.

Ojciec podrapał się po głowie, niby to z zakłopotaniem. Uśmiechnął się do mnie, jak zawsze kiedy obmyślił jakiś żart.

– I co proponujesz? – spytał dla formalności, bo oczywiście już wiedział.

– No... mógłbym przestać, nie? Zmora to w ogóle położył lagę na stopnie. Demonstruje pełny zwis i szamański luz.

– Szamański? – upewnił się ojciec.

– Jego brat mówi, że w szkole uczą nas samych bzdur, bo ta sonda unieważni całą naukę ziemską.

– Hm – mruknął ojciec poważniejąc – unieważni albo nie unieważni. Myślisz, że brat Zmory dostał jakiś przeciek?

– Ale przecież oni wszystko nam dadzą. Gotowe maszyny i w ogóle.

– Dadzą albo nie dadzą – odparł ojciec z niezmąconym spokojem. – A nawet jeśli dadzą, ktoś powinien sprawdzić, co to za prezenty. Najmądrzejsi z nas muszą je obejrzeć. Ludzkość nie może zachowywać się jak debil.

– Te ich maszyny będą robić wszystko, co się pomyśli. Każdy będzie mógł im rozkazywać – wypaliłem z entuzjazmem. Chyba przeholowałem, ojciec zmarszczył brwi.

– Posłuchaj – powiedział – masz bombę atomową i masz małpę. Dałbyś małpie bombę atomową?

– No... nie dałbym.

– Coś się zrobił taki skąpy? Daj jej. Bomb masz pod dostatkiem, a ta małpa wygląda sympatycznie. Bomba się jej przyda.

– Ale ona może niechcący wysadzić się w powietrze – oświadczyłem z przekonaniem. – I jeszcze innym zrobi krzywdę.

– No popatrz, nie pomyślałem o tym. Ty dajesz jej bombę, a ona myśli, że to banan. A wiesz, dlaczego tak myśli? Bo nie chodziła do szkoły. – Zagarnął mnie wielkim łapskiem i przyciągnął do siebie tak, że jego głos dobiegał zza moich pleców. – Pochodź jeszcze trochę, co ci szkodzi. Nie bądź tą małpą.

Paweł Moszczyński

Informacje o Stalowym Ptaku nadchodziły skąpo. Na dobrą sprawę nie wiedzieliśmy nawet, skąd poszła jego nazwa. Pojawiał się koło Ziemi, to tu, to tam, raz daleko, raz bliżej. Na podstawie tych manewrów uczeni wnioskowali przebiegle, że musi mieć własne źródło napędu. Latał sobie wokół nas, ani nie eksponując się specjalnie, ani nie starając się ukryć. Było mu zdaje się obojętne, co sobie o nim myślimy. Może o nas nie wiedział? Oczywiście zrobiono mu trochę zdjęć z satelitów, ale wszystkie ze zbyt wielkich odległości, żeby było widać jakieś szczegóły. Moim zdaniem przypominał raczej kapelusz niż ptaka.

Przez ten pierwszy tydzień ojciec zachowywał się dziwacznie: wychodził gdzieś bardzo wcześnie rano, wracał wieczorem, zawsze z torbą na ramieniu, raz wypchaną, a raz prawie pustą. Coś zbierał? Był maj, na grzyby stanowczo za wcześnie. Zaproponowałem kiedyś, że z nim pójdę, ale odmówił. To nie byłoby dla ciebie ciekawe, powiedział. Wieczorami dłubał w piwnicy, słyszałem dzwonienie rurek czy prętów, raz wycie jakby generatora. Co to było, nie dowiedziałem się, bo drzwi zamykał na klucz, a okno szczelnie zasłaniał firanką. Denerwowały mnie te tajemnice.

Z dnia na dzień ojciec zaprzestał wycieczek, za to zajął się troskliwie domem. Właził w najbardziej niedostępne zakamarki, coś tam skrobał, piłował, cementował. Moją ofertę pomocy odrzucił dość opryskliwie. Doszedłem do wniosku, że wiem, dlaczego tak się upierał przy szkole: wolał, żebym mu nie wchodził w paradę.

Raz po obiedzie zagadnąłem mamę o sprawy ojca.

– Naprawia dach – powiedziała oschle. – Połowa dachówek przecieka. Najwyższy czas, żeby ktoś się nimi zajął.

– Mógłbym mu trochę pomóc – bąknąłem.

– Lepiej pomyśl o szkole. Stopnie masz nie najlepsze.

Znowu ta szkoła.

Trudno było zmylić czujność ojca, nie budząc zarazem podejrzeń matki, ale w końcu udało mi się to. Wylazłem pod sam dach, otworzyłem klapę i zdębiałem: pod krokwiami, na których były osadzone dachówki, ktoś zawiesił wiązki suszonych ziół, mnóstwo jakichś drutów, cynfolii, bibułki i podobnych szpejów. Wyglądało to jak skład ozdób choinkowych przeznaczonych dla jakiejś sekty. Jedno było pewne: dachówki zupełnie ojca nie interesowały. Z łatwością dostrzegłem jedną, która pękła, rysa światła świadczyła o tym wyraźnie. Czyżby te wstążeczki, druciki, pręty i cynfolie miały odpędzać deszcz?

Z przykrością pomyślałem, że mój ojciec zwariował.

Niestety, wrażenie to potwierdzały wyczyny ojca w ogrodzie. Mieliśmy koło domu kawałek ziemi, na której rosło trochę warzyw. Ojciec zasadził też parę drzew owocowych, ale nie dbał o nie zanadto. Teraz każdą chwilę spędzał poza domem: rył jakieś rowy, układał kamienie, znosił nieustannie dziwne rośliny i sadził je w pośpiechu, ale nie na grządkach, jak uczciwy ogrodnik, tylko w rzędach monstrualnej długości, które przerzynały cały ogród tworząc dziwaczny labirynt. Matka zrzędziła, że trawa wyrosła za wysoko, ale ojciec ani myślał imać się kosiarki. I ani słowem nie wtajemniczał mnie w swoje plany, choć na otwartej przestrzeni o wiele trudniej było mnie spławić. Wreszcie przystał z niechęcią na moje towarzystwo i bywało, że pracowaliśmy obok siebie w milczeniu, wykonując całą tę absurdalną robotę, która zdawała się nie mieć końca.

Doszło wreszcie do tego, do czego dojść musiało: krążący tam i sam Stalowy Ptak lekko się wszystkim znudził. Mogło minąć z dziesięć dni, odkąd się pokazał. Dni te, wbrew zapowiedziom ojca, w najmniejszej mierze nie wstrząsnęły światem. Oglądaliśmy we troje piekielnie rozwlekły program telewizyjny, w którym przedstawiciele różnych sił politycznych wypowiadali się ze swadą, co też należy począć, jeśli Stalowy Ptak wyląduje. Kiedy prowadzący program zadał mordercze pytanie, jak wygląda struktura parlamentu tam, skąd Ptak przybył, ojciec poruszył się groźnie, ale powstrzymał się od komentarza. Byliśmy obaj nieludzko uznojeni po całym popołudniu spędzonym w ogrodzie, nasz labirynt przybierał imponujące rozmiary. Powiedziałem, że chce mi się spać i wymknąłem się z pokoju.

Oczy istotnie zdrowo mi się kleiły, ale przed snem chciałem przekartkować świerszczyk pożyczony od Zmory. Właśnie kończyłem przeglądać go drugi raz, analizując na spokojnie niektóre szczegóły, kiedy zza uchylonych drzwi dobiegły mnie podniesione głosy. Dopadłem bezszelestnie szpary i wypełzłem na korytarz. Ojciec z matką nadal tkwili przed telewizorem, którego poświata obrysowała miękko ich sylwetki. Już miałem wrócić do świerszczyka, kiedy matka rozpoczęła natarcie.

– Arnoldzie – powiedziała dobitnie i uroczyście – pal sześć twoją pracę. Jak wiesz, obiecaliśmy sobie wzajemną tolerancję w sprawach naszych dziwactw. Starałam się ze wszystkich sił tej umowy dotrzymać i byłoby mi się to udało, ale traf chciał, że wyszłam dziś rano do ogrodu. Właściwie to sąsiadka zadzwoniła, co my tam szykujemy. – Przerwała, lecz ojciec nie zareagował. – Arnoldzie, muszę ci wyrazić mój najgłębszy niepokój.

Ojciec wydawał się bez reszty skoncentrowany na telewizorze.

– Czy możesz mi powiedzieć, co ty do diabła wyprawiasz z tym Bogu ducha winnym, bezbronnym kawałkiem ziemi?

Ojciec nie reagował. Miał chyba stalowe nerwy.

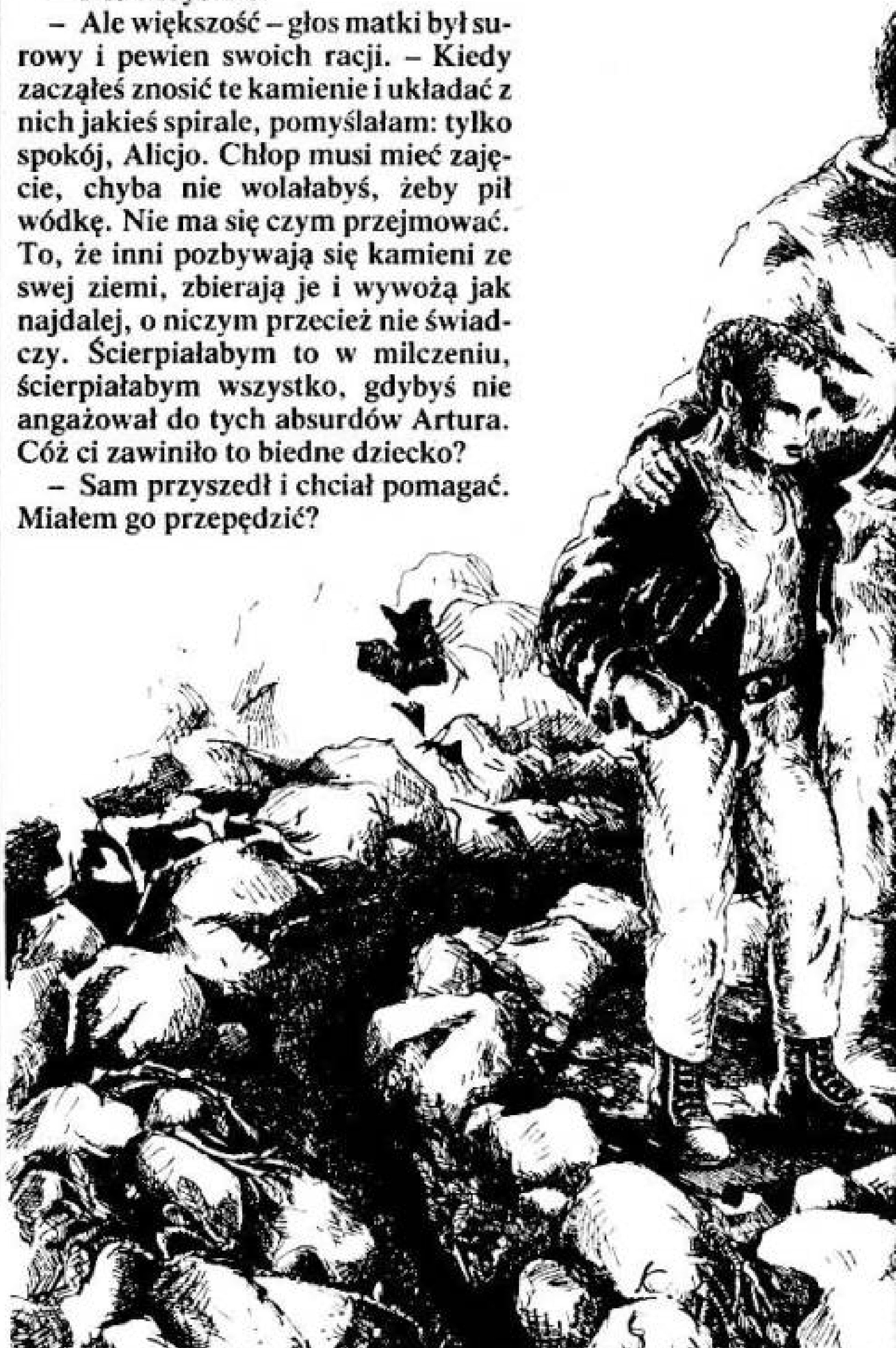
– Kiedy przeryłeś transzejami teren pod drzewami, myślałam: niech tam. Choć oczywiście powinieneś wiedzieć, że drzewa z podciętymi korzeniami po pewnym czasie usychają. – Dała ojcu czas na ogarnięcie bezmiaru zbrodni, jakiej się dopuścił. – Kiedy zacząłeś sadzić te łodygi, myślałam: niech sadzi. W jesieni się wykopie i fertig. Notabene kto to widział przesadzać takie rozwinięte rośliny. Czy zauważyłeś, że niektóre zaczynały już prawie kwitnąć? Nie dziwota, że ci wszystkie uschły.

– Nie wszystkie.

– Ale większość – głos matki był surowy i pewien swoich racji. – Kiedy zacząłeś znosić te kamienie i układać z nich jakieś spirale, pomyślałam: tylko spokój, Alicjo. Chłop musi mieć zajęcie, chyba nie wolałabyś, żeby pił wódkę. Nie ma się czym przejmować. To, że inni pozbywają się kamieni ze swej ziemi, zbierają je i wywożą jak najdalej, o niczym przecież nie świadczy. Ścierpiałabym to w milczeniu, ścierpiałabym wszystko, gdybyś nie angażował do tych absurdów Artura. Cóż ci zawiniło to biedne dziecko?

– Sam przyszedł i chciał pomagać. Miałem go przepędzić?

Paweł Moszczyński



Nie była to do końca prawda. Przyszedłem zobaczyć, o co ojcu chodzi z tym ogródkiem. Po prostu chciałem się czegoś dowiedzieć. Ale ojciec nie zdobył się na żadne wyjaśnienie, tylko powiedział: – Podaj mi tamte kamienie.

– Ale i Artura bym przebolała, w końcu to także twój syn. Oboje za mało się nim zajmujemy. Czy wiesz, że on znosi do domu pisma z nagimi kobietami?

Zrobiło mi się gorąco. Na szczęście ojciec stanął na wysokości zadania.

– No i dobrze – powiedział – martwiłbym się, gdyby tego nie robił. Przynajmniej w noc poślubną nie przerazi się tych waszych urządzeń, jak to mnie się zdarzyło.

– Nie zmieniaj tematu – skarciła go matka. – Dobrze pamiętam, że nie byłeś żadnym niewiniątkiem. Więc pomyślałam sobie: w porządku, niech Artur pobędzie przy ojcu. Niczego się wprawdzie nie nauczy, ale łyknie przynajmniej świeżego powietrza. Nic tylko w kółko ten komputer, gry i inne brednie.

– Mówiłaś przecież, że pisma – ojciec odzyskiwał rezon. Jeśli matka chciała nakłonić go do skruchy, musiała się jeszcze solidnie napracować.

– Nie zarzucisz mi po tym wszystkim, że byłam mało tolerancyjna. Ale kiedy wdarłeś się ze swoimi sadzonkami na grządki, które z takim trudem urządziliśmy, zrozumiałam, że miarka się przebrała. Rzodkiewka prawie już wschodziła! – krzyknęła boleśnie. – Nie wahałeś się ani przez chwilę, by przeorać koperek, pietruszkę i marchewkę. Dla wątpliwej zabawy poświęciłeś efekty naszej wspólnej pracy.

– Wahałem się – rzekł ponuro ojciec – ale naprawdę nie widziałem innego wyjścia.

– Dalie i mieczyki udały się w zeszłym roku nadzwyczajnie. Miałam prawo sądzić, że i teraz będzie podobnie. Zaczęły kwitnąć tulipany, ale ciebie oczywiście nic to nie obchodzi, wjechałeś ze swymi wiechciami na najpiękniejsze rabatki. Pytałeś mnie chociaż o zgodę?

– Nie było czasu.

– Czasu było aż nadto.

– Dobrze, powiem ci – zdecydował się ojciec. – Starałem się urządzić ogród w tajemnicy przed tobą, bo wiedziałem, że cię nie przekonam.

Matkę aż zamurowało. – Urządzić. Coś takiego. Nie sądziłeś chyba, że tak szeroko zakrojone roboty ziemne ujdą mojej uwagi. Bądźże poważny, Arnoldzie. Wprawdzie jestem osobą zajętą...

– Alicjo, w tym cały szkopuł, że nie wiedziałem, za co się biorę. Z początku zapowiadało się to skromnie, dopiero w trakcie nabrało rozmachu. Z powodu tulipanów jest mi naprawdę łyso, ale nie byłem w stanie bardziej zacieśnić spirali. Teren dwa razy większy od naszego nie zdołałby wszystkiego pomieścić. Uwierz mi na słowo: ta spirala to naprawdę majstersztyk miniaturyzacji.



– Myślę, Arnoldzie – powiedziała uroczyście matka – że czas, abyśmy sobie wyraźnie powiedzieli, czemu ma służyć twoja ostatnia działalność. Wykroczyła ona znacznie poza to, co przyjęło się określać jako niewinne hobby. Po co zawiesiłeś te bibeloty pod dachem? Po co to wszystko?

– Szkopuł w tym – oświadczył prostolinijnie ojciec – że nie wiem.

Matka usiłowała ochłonąć po tym uderzeniu. – Wiesz co, Arnoldzie? Wolałabym chyba, żebyś skłamał. Kompletnie przestałeś się ze mną liczyć, jeśli już nawet nie chce ci się obmyślić głupiego kłamstwa.

Oboje zamilkli, pochłonięci jakimś ciekawszym fragmentem.

– Po co miałbym kłamać? – odezwał się ojciec. – Pamiętasz taki film archiwalny... „Bliskie spotkania trzeciego stopnia", jeśli się nie mylę. Puszczali go ze trzy miesiące temu. Pewien facet wrzucał tam ziemię przez okno do swojego pokoju, a potem uformował z niej wzgórze.

– Zachowywał się dokładnie tak jak ty.

– Do tego zmierzam. Pod wpływem jakiegoś potężnego impulsu zaczął robić coś, co przedtem nawet nie przyszłoby mu do głowy. Odczuwał po prostu wewnętrzny przymus. Nie miał pojęcia, dlaczego to robi, wiedział tylko, że tak musi. Od pewnego czasu myślę o tym bez przerwy.

– Arnoldzie, to bardziej przerażające niż sądziłam. Przyznajesz oto, że jesteś automatem sterowanym przez tego tam...

– Nie wykorzystuj mojej szczerości przeciwko mnie. Nic takiego nie powiedziałem.

– Ale dałeś do zrozumienia.

– Nie. Posłuchaj, nie zaprzeczam, że ostatnio moje posunięcia są trochę... niekonwencjonalne. Zdaję sobie sprawę, że coś dziwnego się ze mną dzieje, ale jednocześnie mam przekonanie, że pozostaję przy zdrowych zmysłach. To żaden dowód, wiem. Usiłuję zrozumieć, co mnie opętało – i nie widzę innej drogi niż brnąć w to dalej. Jest jedna ciekawostka: budowanie spirali dostarcza mi niewytłumaczalnej satysfakcji, jakiegoś spełnienia, zaspokojenia... słuchasz, co do ciebie mówię?

Chyba zasnąłem, bo obudziło mnie, jak ojciec zbierał mnie z podłogi i zanosił do łóżka. Byłem skostniały, z przyjemnością zapadłem pod kołdrę. Ojciec usiadł obok, poczułem, że głaszcze mnie po głowie i usłyszałem dziwne słowa:

– Nie staraj się być dorosły. Masz czas.

W ciągu następnych kilku dni dokończyliśmy budowę czegoś, co ojciec nazywał Spiralą – kiedy o tym mówił, duże S narzucało się samo przez się – ja zaś Labiryntem. Powiedziałem o tym ojcu; rozpromienił się i nie spuszczając wzroku z pobojowiska, w jakie zamieniliśmy nasz ogród, przygarnął mnie brudną ręką.

– Każdy z nas widzi w tym co innego – skwitował. – Ja linię ułożoną z kamieni i roślin, ty – pas ziemi między jej zwojami. Ale bez wątpienia mamy na myśli tę samą rzecz.

Entuzjazm ojca – czy jego szaleństwo – udzielił mi się bez reszty. Nie pytałem już, po co kładziemy pod kamienie rozłożyste i kłujące kępy, z których dopiero w przyszłości miały wystrzelić łodygi. Wyglądało to tak, jakbyśmy kamienne bochenki układali na zielonych serwetkach. Ochoczo podawałem ojcu jego druciki i skorupki, które upychał obok kamieni zgodnie z niepojętą dla mnie instrukcją. Gdzieniegdzie sadził wiecheć rośliny, której nazwy sam nie znał, przy czym nie sprawiało mu żadnej różnicy, czy był on kompletnie suchy, czy też między zeszłorocznymi źdźbłami przebijały zielonkawe kiełki. Całość obsypywał ziemią – i tak wędrowaliśmy po ziarnach tego niesamowitego różańca.

Uporaliśmy się z Labiryntem pod wieczór, zostawiając całe sprzątanie na następny dzień. Wykąpany, obciąłem sobie zbite o kamienie paznokcie i w radosnym poczuciu, że oto dobiegł końca kawał zbędnego trudu, położyłem się do łóżka. Coś mnie zbudziło w nocy. Wstałem; przez otwarte drzwi wlewał się do pokoju potok księżycowej poświaty. Była pełnia, a kwitnące drzewa pachniały jak oszalałe. Wyszedłem na balkon, żeby przyjrzeć się tej niecodziennej scenerii; blada tarcza księżyca zanurkowała właśnie między rzadkie obłoczki jak w dym dalekiego ogniska. Pod drzewami, gdzie rozciągał wężowe sploty nasz Labirynt, coś się poruszyło. Zamarłem i wycofałem się ku drzwiom, a potem przylgnąłem do chłodnej posadzki. Było cicho i jakby uroczyście, białe płatki opadały z drzew bezgłośnie jak śnieg. Ojciec, w płaszczu kąpielowym narzuconym na piżamę, przemieszczał się wzdłuż Labiryntu, przystając na długie momenty kontemplacji. Niekiedy rozkładał ręce i sunął tak, podobny do ptaka, potrącając gałęzie, siejąc za sobą białymi płatkami. To znikał w cieniu, i wtedy jego kształt ledwo bielał w półmroku, to wyłaniał się w plamie bladego światła jak zjawa. Nie śmiałem głębiej odetchnąć, śledziłem jego wędrówkę po zacieśniających się łukach, aż dotarł do środka Labiryntu i gałęzie drzew skryły go przede mną.

Potem na krótko zapatrzyłem się we wzory, jakie poświata księżyca wyczarowywuje na obłokach. Ktoś wołał mnie półgłosem spod balkonu. Doszedłem do wniosku, że leżenie na zimnej płycie znudziło mi się i wyjrzałem przez barierkę.

Ojciec stał na trawniku z rękami w kieszeniach płaszcza. Z zafrasowaniem przyglądał się swoim kapciom, całym w rosie i w błocie. Ale w jego głosie dźwięczało zadowolenie i jakby odprężenie, kiedy zawołał: – Idź spać, Artur. I zamknij drzwi, robi się zimno.

Sąsiedzi, rzecz jasna, interesowali się Labiryntem, ale ich ciekawość wydawała się ojcu zbyt daleko posunięta. Dociekali głośno, czemu nasze dziwactwo ma służyć, a ojciec odpowiadał, że tworzymy właśnie system orientacyjny dla wędrownych ptaków. Nie, nie orientacyjny, tylko irygacyjny, i nie dla ptaków, tylko dla kretów, poprawiał się. Krety, stworzenia, jak wiadomo, niezmiernie pożyteczne, lada dzień znajdą się w fazie rozrodu. Pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić, by woda zalała im nory z młodymi.

– Dlatego tak się śpieszymy – dodawał z kamiennym wyrazem twarzy. – Odłożyliśmy na bok wszelkie inne prace.

Bywało, że ojciec wychodził na jeden albo dwa kufle piwa, posłuchać głosu ludu, jak mówił. Celem tych peregrynacji, w których nieodmiennie mu towarzyszyłem, była restauracja „Parkowa". Zasiadaliśmy przy białych blaszanych stolikach wśród białych pni brzóz, ja piłem piwo karmelowe z małego kufla, zaś ojciec zatapiał się w myślach nad kuflami jasnego. Wbrew zapowiedziom nie lgnęliśmy do ludzi, nawet sami do siebie mało się wtedy odzywaliśmy, ceniąc sobie atmosferę tych rzadkich posiedzeń.

Ale tego dnia – czy to pod wpływem Stalowego Ptaka, czy też trafiliśmy na dzień wypłaty – „Parkowa" pękała w szwach. Zaraz po wejściu wpadliśmy na brata Zmory, który dzierżył w obu dłoniach po kuflu i rozglądał się za wolnym miejscem. Cudem znaleźliśmy stolik. Czekając na kelnera ojciec pił piwo Zmory, interesując się kurtuazyjnie jego studencką karierą.

– Niedługo sesja, co? – zagadnął. – Roboty naukowej pewnie pod dostatkiem?

Brat Zmory nastroszył się lekko, ale odparł z godnością, że od pojawienia się Stalowego Ptaka inne sprawy pochłaniają ludzi nauki. Ptak wywołał ferment w środowisku i podzielił kadrę. W tych warunkach obiboki, do których należał starszy Zmora, korzystali na całego z osłabienia dyscypliny.

– A czy świat nauki powziął już jakieś ustalenia co do Stalowego Ptaka? Czym jest, skąd przybył, po co...

Zmora zasępił się. – Hm – powiedział – krążą pewne pomysły. Część hipotez zna pan pewnie z telewizji.

– Drogi panie Zmora – ojciec wyprostował się w krześle – to, co nadaje telewizja, przeznaczone jest dla pospólstwa i dociekliwy umysł nie tam powinien kierować się w poszukiwaniu prawdy.

Nadszedł kelner. Ojciec oddał piwo Zmorze i postawił przede mną kufel jasnego z wianuszkiem piany.

– Pijesz tylko do połowy – zastrzegł, ale i tak czułem się pasowany na mężczyznę. Zerknąłem, czy Zmora to zauważył, ale był zbyt rozkojarzony.

– Jakieś dziesięć lat temu nagrodę Nobla z fizyki otrzymał profesor Alfred Testa za zmatematyzowanie i zmodyfikowanie starszej już hipotezy nie jego autorstwa. Według Testy Wszechświat jest areną i zarazem wynikiem gry, jaką toczą ze sobą od miliardów lat najstarsze cywilizacje. W efekcie tej gry powstała znana nam materia, prawa i stałe fizyczne... to wszystko, co składa się na swoistość naszego Wszechświata. – Zmora upił piwa. – Testa jednak przyjął pewne założenie... czy też był to jeden z jego wniosków – wie pan, znam jego pracę z omówień, człowiek nie ma czasu czytać wszystkiego w oryginale – że gra przebiega niejako korespondencyjnie. Cywilizacje nie kontaktują się ze sobą bezpośrednio, fizycznie – uniemożliwia to bezmiar rozdzielających je przestrzeni. Do kolizji dochodzi – czy raczej dochodziło – na granicach kontrolowanych przez nie stref. Strefy te oznaczały obszary obowiązywania konkretnej fizyki. W wyniku kolizji gracze modyfikowali parametry i warunki gry, aż cały kosmos został doprowadzony do dzisiejszego stanu.

Tego faceta zauważyłem już wcześniej, jak zaczepiał kelnera, a potem z zakłopotaniem rozglądał się w poszukiwaniu wolnego stolika. Wiedziałem, że w końcu podejdzie do nas. Był wielki i gruby, w białej koszulce z krótkimi rękawami i płóciennych jasnych spodniach, nalany na twarzy. Usiadł jakoś bokiem, jak gdyby jeszcze nie stracił nadziei na znalezienie innego miejsca.

Ojciec obrzucił przybysza przelotnym spojrzeniem. – I oczywiście z chwilą pojawienia się Stalowego Ptaka cała ta koncepcja wzięła w łeb.

– No, może nie cała, ale założenie, że każda cywilizacja sobie rzepkę skrobie – na pewno. Do tej pory Testa miał komfortową sytuację: jego hipoteza była matematycznie niesprzeczna i kto by chciał ją podważyć, musiałby grzebać się w aparacie opisowym, bo w dziedzinie faktów nie było większych konkretów. A w matematyce Testa niestety był mocny.

– Czyli fizycy mają swoją zagwozdkę.

– No, nie tylko oni. Stalowy Ptak namieszał nie tylko naukowcom. Niech pan weźmie na przykład kwestie religijne. Dlaczego Kościół tak ostentacyjnie ignoruje obecność Stalowego Ptaka? No bo jeśli to jest pojazd międzygwiezdny, to ktoś go musiał zbudować. Ktoś go musiał pilotować albo zaprogramować. Ktoś go musiał tu wysłać. Stoi za nim, krótko mówiąc, jakiś rozum, nie-ziemski i nie-

MAREK ORAMUS

Kierownik działu krytyki „NF" wraca jako autor opowiadania SF na nasze łamy po 2,5 roku (poprzednio: „Król antylop", „F" nr 10/89). Wydał: „Senni zwycięzcy" (Czytelnik 1982, KAW 1989), „Arsenał" (Iskry 1985), „Wyposażenie osobiste" (Iskry 1987), „Hieny cmentarne" (Śląsk 1989), „Dzień drogi do Meorii" (Iskry 1990).

Opowiadanie „Ukryty w gwiazdach", mimo że w oczywisty sposób nawiązuje do „Nowej kosmogonii" Lema, należy jednocześnie do ożywającego w Polsce nurtu fantastyki realistycznej, dziejącej się w dużej mierze tu i teraz. Tak było w drukowanych u nas tekstach Pietruchy, Huberatha; podobnie w opowiadaniach innych autorów drukowanych na konkurencyjnych łamach.

(mp)

ludzki. Zaś uznanie tego faktu otwiera całe wachlarze nieprzyjemnych problemów teologicznych. – Zmora odgiął od pięści palec i zaczął wyliczać: – Jeśli na innych planetach są istoty rozumne, czy dokonało się tam również odkupienie? Czy ziemskie Ewangelie mają tam zastosowanie? Czy wobec tych istot – które prawie na pewno są poganami – uprawniona jest działalność misjonarska? I tak dalej.

– No dobrze – powiedział ojciec – a co na to sam Testa?

– Profesor Testa nie żyje – odezwał się grubas w koszulce. – Pół roku temu zginął w katastrofie lotniczej. Można się włączyć do rozmowy? – Przedstawiając się wymruczał jakieś nazwisko, które utonęło w ogólnym gwarze.

Znałem tego jegomościa – tylko nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Z telewizji? Gdzieś go już widziałem albo słyszałem jego tubalny głos. Zauważyłem, że także ojciec wpatrywał się w niego z uwagą.

– Pomysł Testy jest godny pożałowania. – Grubas tylko tyle zdążył powiedzieć, gdyż właśnie zawisła przed nim taca pełna kufli z piwem. Zgarnął je zręcznie na blat, wcisnął kelnerowi banknot o wysokim nominale, ruchem ręki wygasił niemrawe przygotowania do wydania reszty. Spojrzał na nas przepraszająco, sięgnął po kufel i po prostu wylał sobie zawartość do paszczy, a jego brzucho zafalowało. Z mniejszą już łapczywością opróżnił do połowy drugi kufel, westchnął przeciągle, po czym niechętnie wrócił do spraw przyziemnych.

– Częstujcie się, panowie, bez żenady – wskazał kufle – jak kto ma ochotę.

– Pan tutejszy? – zapytał ojciec z powątpiewaniem.

– Nie, przejazdem. Tam stoi mój samochód – machnął ręką w stronę parkingu.

– I zamierza pan prowadzić po alkoholu?

– E... – stropił się grubas. – Piwo to nie alkohol. – Nie certolił się zbytnio; drugi kufel pokazał dno. W dłoni grubasa wyglądał jak kubek. – Żona będzie prowadzić – oznajmił tonem odkrywcy.

Brat Zmory bez żenady poczęstował się z jego puli.

– Pan jest fizykiem?

– Nie, skądże. Jeszcze by tego brakowało. Ale po amatorsku interesuję się tym i owym. Panowie, profesor Testa nie miał racji. Bardzo szanuję jego dokonania, ale wiele hipotez można przedstawić w sposób matematycznie niesprzeczny. Sam taki opis niczego jeszcze nie dowodzi. Możliwe, że we Wszechświecie toczyła się albo toczy jakaś gra. Tylko że ktoś najpierw musiał puścić to wszystko w ruch, zaprogramować całą maszynerię. Ktoś wyprodukował materię, powołał graczy, ustalił reguły – i powiedział: start.

– Jest pan duchownym – wtrącił bez przekonania brat Zmory.

– Z takimi nawykami? – zagrzmiał brzuchacz. Przyłożył następny kufel do ust; poziom piwa w naczyniu obniżał się piorunem. – Jestem inżynierem. Budowlanym, jeśli chce pan wiedzieć.

– Ale obecność Boga w pana wywodach narzuca się sama przez się – ojciec pośpieszył Zmorze w sukurs.

– Dlaczego od razu Boga? Po co ciągać do wszystkiego tego znużonego starca? – Wydawał się rozsierdzony, ale po chwili spuścił z tonu. – Widzi pan, Bóg zawsze był sytuowany poza granicami ludzkiej wiedzy. Najpierw jego rezydencją były niebiosa, potem jakieś nieokreślone miejsce poza Ziemią. W miarę coraz to nowszych ustaleń nauki Boga eksmitowano wciąż dalej i dalej. O ile się nie mylę, dziś Bóg przebywa poza czasem, gdzieś poza granicami widzialnego Wszechświata.

– Chce pan powiedzieć, że Boga nie ma? – nastroszył się brat Zmory. Znać było po nim wypite piwo.

– Bynajmniej, młodzieńcze. Ale pogląd, że Bóg pierzcha pod naporem reflektora myśli ludzkiej, wydaje mi się okropnie wulgarny. Że kryje się przed nami tam, gdzie już nie jesteśmy w stanie go dopaść. Bóg, młody kolego, jest wszędzie. Przenika wszystko i wszystkiemu jest winien. Uczestniczy we wszystkim jako siła sprawcza. Ale też w niczym mu nie przeszkadza, że jacyś gracze próbują przestawić klocek w jego gospodarstwie. Mnie osobiście denerwuje natomiast, że każdą lukę w wiedzy, każdą elementarną ignorancję próbuje się wypełniać ingerencją Boga. On nie ma na to czasu. Jego to nie interesuje.

– A jak się to ma do tezy profesora Testy? – zainteresował się ojciec. – Można? – sięgnął po jeden z kufli zamówionych przez gościa.

– Właśnie do tego zmierzam. Jeśli określiłem jego ideę mianem godnej pożałowania, to tylko ze względu na zakres, jakim Testa się posługuje. Czemuż jego gracze mieliby gustować w jakichś lokalnych przeróbkach, podczas gdy do dyspozycji stoi mrowie innych wszechświatów? Przyjąwszy, że każdy wszechświat to taki niewielki bąbel, na ich inwencję czeka cała piana złożona z tych bąbli. Z pewnością w poszczególnych wszechświatach upłynęło wystarczająco wiele czasu, by przynajmniej kilka cywilizacji wyrwało się poza ich granice i zaczęło najpierw dokonywać penetracji, a potem modyfikacji owej gąbki, pumeksu czy piany – jak zwał tak zwał – na skalę naprawdę godną uwagi. – Pochłonął następne piwo. – Sami panowie widzą, że do tłumaczenia takich prostych rzeczy nie ma co angażować Boga.

– O ile dobrze rozumiem – podjął ojciec – nie odmawia pan racji profesorowi Teście, ale pod warunkiem zmiany skali. Gra toczy się, ale szczebel wyżej.

– Tak jest. A przynajmniej mogłaby się toczyć. Zechce pan sobie wyobrazić nieskończenie rozległy plaster miodu. Jakąś taką monstrualną budowlę sporządzoną z materiału o strukturze plastra miodu. Każdej komórce tego plastra odpowiada jeden wszechświat, podobny z grubsza do tego tutaj – powiódł ręką nad głową. – Cywilizacje, które wydostały się ze swych komórek, prowadzą w ich bezpośredniej bliskości swoje prace. O innych sobie podobnych ani wiedzą, ani chcą wiedzieć, gdyż kontakt na takie odległości w międzyprzestrzeni przewyższa już wszystko co możliwe. Niektóre cywilizacje wnioskują jednak o istnieniu pobratymców na podstawie zmian, jakim ulega plaster. W tym właśnie sensie gra opisana przez profesora Testę trwa w najlepsze.

– Pszczoły w plastrze miodu – westchnął ojciec.

– Właśnie, dobrze pan to określił: pszczoły, nie cywilizacje. Nie należy sobie wyobrażać pod tym pojęciem zbiorowości podobnych do naszej, raczej są to jednorodne twory zajmujące względnie mało miejsca, które mogą dowolnie się dzielić i przybierać dowolne postacie. Ale te pszczoły są bardzo samotne: gdyby nawet każda z nich poświęciła się wyłącznie poszukiwaniu innych, prawdopodobieństwo spotkania należy uznać za znikome – z powodu chociażby mamucich rozmiarów plastra. Przypuśćmy, że pewna pszczoła operuje tu, na Ziemi, a najbliższa w okolicy Procjona. Jaka jest szansa, że na siebie trafią?

– Mimo to mogłyby teoretycznie zaistnieć gniazda takich pszczół. Plaster nie ma przecież cech jednorodności, więc nie jest powiedziane, że dokładnie z jednej komórki na miliard uwolni się pszczoła. W pewnych sektorach plastra pszczół będzie więcej, a w pewnych mniej.

– Na pewno.

– Zatem nie da się wykluczyć powstawania koalicji pszczół – oczywiście niezmiernie rzadko, przy zaistnieniu mnóstwa sprzyjających czynników. Te pszczoły mogą wtedy omijać zakaz Testy i kontaktować się ze sobą bezpośrednio w celu – bo ja wiem – ustalania wspólnych reguł gry czy wspólnej strategii wobec plastra.

– Nawet jeśli ma pan rację – rzekł oschle tłuścioch – to takich gniazd naliczy pan nawyżej cztery, pięć na cały plaster. Rozważmy jednak bliżej pańską sugestię. Nawet wśród tak zaawansowanych speców jak te pszczoły nie obejdzie się bez konfliktów. Nic nie wiemy wprawdzie o ich moralności, lecz konflikty z góry można uznać za interkosmiczną stałą. Ktoś spośród graczy może kwestionować niekorzystne dla siebie wyniki gry, próbować zmieniać reguły,



Paweł Moszczyński

zalegać z wypłatą tym, co z nim wygrali, albo się od niej uchylać. Co wtedy?

– Ja na jego miejscu bym uciekł – powiedziałem.

Grubas spojrzał na mnie z uznaniem. – Ja także bym nie czekał, aż mnie obedrą ze skóry. Próbowałbym ukryć się w jednej z komórek plastra albo wręcz wybudować nową. Przy technice, jaką dysponują te pszczoły, jest to w pełni realne. Oczywiście, gra pszczół to nie żaden kosmiczny poker, w którym stawką są określone obiekty materialne. Już prędzej rozgrywka idzie o to, kto zdominuje gniazdo, a kto się będzie musiał podporządkować. Kto narzuci swoje koncepcje czy metody, a kto ograniczy się do realizacji.

– Wracając do takiego kontestatora gry: zastanawiam się, po co miałby ponosić dodatkowe nakłady i ryzyko, budując nowy bąbel, skoro inne pszczoły mają mapy tej okolicy i nowy element nie ujdzie ich uwagi. Gdybym ja chciał się schować, korzystałbym z gotowych komórek – oznajmił Zmora.

– Brawo, młodzieńcze. Tylko że wybierając konkretną komórkę skazujesz się na panujące w niej warunki, niewykluczone więc, że ewentualna ekspedycja karna może cię łatwo dopaść idąc po twoich śladach. Bąbel, w którym się ukryłeś, jest znany twoim prześladowcom nie gorzej niż tobie. Tworząc nowy bąbel pszczoła-uciekinier wskazuje, co prawda, od razu miejsce swego schronienia, lecz w środku prawie wszystko zależy od jej inwencji, o ile ma dość czasu i sposobności, by należycie rzecz przygotować. Panowie – wzniósł uroczyście kufel – myślę nad tym zagadnieniem nie od dziś i doszedłem do wniosku, że nasz bąbel, nasz Wszechświat, został skonstruowany specjalnie z myślą o tym, aby kogoś ukryć.

Wykorzystując zaabsorbowanie ojca dyskusją opróżniłem mój kufel i debatowałem, czy chwycić za następny, zanim nienasycony grubas pochłonie całą baterię. Kręciło mi się w głowie, ale w miarę: treningi z młodszym Zmorą nie poszły na marne.

Z wywodów grubasa niewiele rozumiałem. Padały sformułowania: mur Plancka, teorie inflacyjne, zasada antropiczna...

– Inflacja Wszechświata nie pozwala na przykład ustalić żadnych konkretnych danych przed momentem, od którego nastąpiła – grzmiał ten wielbiciel piwa i kosmosu. – Służy zatem zamazywaniu jego historii. Pokażcie mi lepszy sposób na zacieranie śladów! Z kolei zasada antropiczna, która – jestem o tym przekonany – nie w każdym bąblu obowiązuje, przyczynia się do wytworzenia masy różnych pod-cywilizacji, co nie pozwala ścigającym w krótkim czasie przeskanować całości bąbla, tylko zmusza ich do męczących i czasochłonnych podróży od gwiazdy do gwiazdy, galaktyka po galaktyce. Komu się będzie chciało w to bawić? – Miłosnym ruchem przytulił kufel do twarzy. – Tak, nasz uciekinier chytrze to sobie wykoncypował.

– Chwila moment – wpadł mu w słowo Zmora – zasada antropiczna oraz inflacja Wszechświata są to idee w pewnym sensie przeciwbieżne. Pierwsza domaga się nałożenia precyzyjnych parametrów od samego Big-Bangu, druga zaś polega na ich rozchwianiu, na zamazywaniu historii, jak pan to słusznie określił.

Grubas uśmiechnął się z wyrozumiałością. – Chodzi panu o to, czy nie wykluczają się wzajemnie? Tak się wydaje nam. Naszym uczonym, naszej nauce. Na wyższym poziomie z pewnością jest to do pogodzenia.

Zdawało mi się, że ojciec pobladł.

– Sądzi pan więc, że Stalowy Ptak...

– Ja nic nie sądzę – wzruszył ramionami gruby jegomość. – Jestem tylko inżynierem budowlanym. – Kilkoma ruchami ustawił na swoim brzegu stolika piramidę o podstawie z czterech pustych kufli. Dopił ostatnie piwo i zwieńczył budowlę. – Jeśli myśli pan, że Stalowy Ptak kogoś tu poszukuje, to dał się pan schwytać w pułapkę własnej fantazji. No, na mnie czas. Przyjemnie się z panami gawędziło.

– Ale przecież...

– Powtarzam panu: jego pojawienie się tutaj to czysty przypadek. Czymkolwiek jest, brakuje mu programu albo rozeznania – inaczej by się tak nie kręcił. Zresztą, czy mamy pewność, że Ptak naprawdę istnieje?

– Odprowadzimy pana – postanowił ojciec.

– Lepiej nie... zbędna fatyga – wymruczał piwożłop. Ruszyliśmy jednak pospołu ku wyjściu, Zmora z jednej, ja z ojcem z drugiej strony. – Wie pan, co Jung napisał o UFO? „Widuje się coś, ale nie wiadomo co" – i potraktował latające talerze jako rodzaj pogłoski wizyjnej. Ludzkość tak się otumaniła, proszę pana, że być może zaczęła produkować takie projekcje na własny użytek.

Wyszliśmy za bramę i skierowaliśmy się ku parkingowi. Ojciec perorował coś o obiektywizmie kamer i teleskopów.

– Proszę nas kiedyś odwiedzić – uciął te wywody inżynier. Wydobył z kieszeni notes i nagryzmolił w nim coś szybkimi ruchami długopisu. Wsunął ojcu do ręki złożoną wpół karteczkę. – Dziękuję za towarzystwo. Zawsze mówię: czas spędzony przy piwie nigdy nie jest stracony.

Uścisnął nam ręce i oddalił się do czerwonego merkurego o wypolerowanej karoserii. Na całym parkingu nie było takiego samochodu. Jego przednia szyba wydawała się prawie czarna, odbijając niebo, ciemne korony drzew. Dostrzegłem jednak w głębi jakby blady owal twarzy otoczony chmurą jasnych włosów. Inżynier wsiadł, nachylił się ku żonie, coś do niej zagadał. Pomachała nam ręką. Cofnęła wóz do wyjazdu, merkury wydostał się na szosę i zniknął nam z oczu.

Ojciec rozwinął kartkę, wpatrując się w nią z niedowierzaniem. Zajrzałem obok jego ramienia: skrawek papieru był zupełnie czysty.

Pierwszym miejscem, które odwiedziliśmy po rozdzierającym serce pożegnaniu z czerwonym merkurym, była toaleta. Czułem, jak wraca mi jasność myślenia.

– A ten facet po tylu piwach wcale nie myślał o wc – zauważyłem. – Musi mieć pęcherz jak wielbłąd.

– Może woli to robić w plenerze – odparł ojciec zdawkowo.

W domu matka czekała już z kolacją. – Wyobraźcie sobie – oznajmiła, kiedyśmy jedli – że ktoś obcy kręcił się tu niedawno białym merkurym.

– Jak wyglądał?

– Biały, lśniący – jak prosto z myjni. Albo z fabryki.

– Facet, nie samochód.

– Gruby, łysy, w białej koszulce. Typ buldoga.

– Rękawy?

– Krótkie. Wiem, bo prowadził z łokciem wystawionym przez okno. Przejechał wolno, potem cofnął, jakby kogoś szukał. Chyba zatrzymał się naprzeciwko waszych wykopalisk. Potem ruszył i odjechał.

– Sam prowadził? Nie było z nim kobiety?

– Raczej nie. Rzuciłaby mi się w oczy. Mogła co najwyżej siedzieć z tyłu. Szyby miał chyba metalizowane, nic nie było widać.

Spojrzeliśmy z ojcem na siebie.

– A ten merkury – wtrąciłem – nie był przypadkiem czerwony?

– Masz mnie za daltonistkę? Jak mówię biały, to biały.

– Kobietę mógł gdzieś wysadzić – zastanawiał się ojciec – ale o karoseriach zmieniających kolor na zawołanie jeszcze nie słyszałem. Wypił też niemało: dziesięć piw, i to w jakim tempie. Słoń by się obalił.

– Moglibyście jaśniej? – zniecierpliwiła się matka. Ojciec odchrząknął, wyraźnie zabierając się do relacji. Odszedłem do swoich spraw.

Zasiadłem przy komputerze i połączyłem się z informacją naukową. Zażądałem danych o Wszechświecie: teorii, liczb. Krótko mówiąc, zamierzałem rozważyć parę modeli

bąbla, w których najłatwiej byłoby się ukryć. Jednak zaraz na wstępie ogarnęły mnie wątpliwości, czy podołam ogromowi zadania. Budowanie wszechświatów na skalę przemysłową tylko w relacji inżyniera wydawało się proste. Ot, powyjmować z pudła mgławice, galaktyki, czarne dziury, pozawieszać w przestrzeni, zakręcić tym jak należy, spowodować ekspansję – nic trudnego, prawda? Albo wziąć kulkę i detonować ją – wcześniej zakodowawszy w niej swoisty program genetyczny, aby bąbel rozwijał się sam z siebie. Krótki kurs konstruowania wszechświatów. Niestety, dwie godziny to za mało, żeby dostatecznie wprawić się w tym zawodzie, a choćby pokusić o zamknięcie całego zagadnienia w algorytm. Wyobrażałem to sobie dość naiwnie: ustalę kilkanaście najważniejszych parametrów, będę je modyfikował i obserwował, co z tego wyniknie. Z komputerem wszystko wydaje się łatwe.

W końcu musiałem przyznać, że wyprodukowanie programu do modelowania wszechświatów jest ponad moje siły. Pocieszałem się, że nawet gdybym miał taki program – od starszego Zmory na przykład – mój komputer z pewnością okazałby się dla niego za ciasny.

Siedziałem więc przed pustym ekranem, ubolewając w głębi duszy, że nic mnie już nie uchroni od zajęcia się lekcjami. Rozległo się pukanie, skrzypnęły drzwi. Ojciec.

– Stalowy Ptak zniknął. Podali w wiadomościach.

Stał w progu, wspierając się barkiem o futrynę. Sprawiał wrażenie, jakby chciał wspólnie ze mną zastanowić się nad tym.

– Jak to zniknął? – powiedziałem. – Odleciał?

– Nie, znikł. Był – i w jednej chwili zgasł jak wyłączona lampa. Tak mówią.

– I co teraz zrobisz?

Wzruszył ramionami. – Idę posłuchać Labiryntu.

Leżałem już w łóżku, kiedy wrócił.

– Jeszcze nie śpisz? Późno już.

– Co powiedział Labirynt?

– Och, Artur – ojciec ni to zaśmiał się, ni to żachnął – ty naprawdę wyobrażasz sobie, że Labirynt służy do śledzenia Stalowego Ptaka? Że to taki radioteleskop domowej roboty? Przecież wycelowany jest ciągle w ten sam sektor nieba, a Ptak latał sobie, gdzie popadło.

– Więc po co go budowaliśmy? Po co po nim chodzisz i czego słuchasz?

– Sam nie wiem – odparł równie prostodusznie jak kiedyś matce. – Sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. – Zaczął spacerować po pokoju z rękami założonymi do tyłu. – Co do Ptaka, to moim zdaniem zastosował kamuflaż. Czy tak trudno odciąć promieniowanie, które się emituje? Wystarczy postawić jakieś ekrany albo włączyć pochłanianie, a potem przenieść się w zupełnie inny sektor sfery niebieskiej. O ile przy okazji nie zakryje się żadnej większej gwiazdy, rzecz jest praktycznie nie do wytropienia.

– Czemu więc nie zrobił tego na samym początku?

– Pewnie nie przypuszczał, że są tutaj ludzie. A może prowadził jakieś badania i nie mógł się izolować optycznie? Tak czy owak chyba nadal czai się gdzieś w okolicy. W telewizji pełny kociokwik. Dobranoc, Artur.

– Tato...

Zatrzymał się w progu.

– Zastanawiałem się nad tym wszystkim... no wiesz. Przyszło mi do głowy, że gdybym był tym graczem z opowiadania o pszczołach, który przegrał, ale nie chce pogodzić się z klęską...

– Wiem, uciekłbyś.

– Nie całkiem. Czy zwróciłeś uwagę, że te pszczoły mogą dowolnie się dzielić? Więc ja bym się podzielił na dwie części: większą i mniejszą. Większą zostawiłbym na miejscu dla niepoznaki, a mniejszą częścią bym uciekł i szukał sposobu, jak to odkręcić.

– Sprytny pomysł, Artur. Naprawdę.

– Piwo wzmaga predyspozycje umysłowe – stwierdziłem prowokacyjnie.

Nawet się nie uśmiechnął.

– Na pewno. Dobranoc.

Śnił mi się Stalowy Ptak. Wisiał nad naszym ogrodem. Między inkrustowaną światłami podstawą pojazdu a Labiryntem przebiegały roje kolorowych robaczków świętojańskich.

– Wsysa nasz Labirynt! – krzyknąłem.

– Nie stójmy przy oknie, jeszcze nas zauważy – powiedział ojciec.

Ptak jakby go usłyszał. Strumień świetlików zrzedł i znikł. Powoli, majestatycznie srebrny kapelusz położył się na jedną stronę, jakby zamierzał wbić się blaszanym rondem w ziemię. Zamiast tego zaczął okrążać nasz dom, nie czyniąc najmniejszej krzywdy drzewom. Dopiero po chwili zrozumiałem, jak tego dokonał: Stalowy Ptak zmalał.

Nadal był jednak na tyle duży, że przelatując za oknami przesłaniał je w całości. Wiedziałem, jak taki efekt osiąga się w kinie, dzięki czemu do mieszkań w wieżowcach zaglądają rozmaite potwory. Mimo całej teatralności taniec Ptaka, widziany od wewnątrz, był fascynujący. Uciekaliśmy z pokoju do pokoju, a on jakby zgadywał, w którym oknie ma się pokazać.

– Do piwnicy – zaproponowała matka.

Zbiegaliśmy po schodach. Coś zawirowało w powietrzu, stopnie nadęły się i urosły, osiągając wysokość parkanu. Żeby sforsować kilka ostatnich, musiałem opuszczać się na rękach. Z dołu piwnica wyglądała jak wielki, ciemny loch – nawet gdybyśmy chcieli włączyć światło, kontakt był wysoko, poza zasięgiem. Posadzka była chropowata, zagracona i pełna kurzu.

– Tam – ojciec wskazał uchylone drzwi. Naparliśmy na nie; po nieskończenie długiej chwili udało się skutecznie zwiększyć prześwit. Od stołu, pod którym zamierzaliśmy się ukryć, dzielił nas niewielki odcinek, lecz nie zdążyliśmy go przebiec. Wielka szyba w oknie wygięła się pod naporem i pękła, a szkło spłynęło bezgłośnie po pancerzu Stalowego Ptaka. Jak mogłem widzieć w nim kapelusz? Był teraz wielkości sporego gołębia, miał dziób, deltowate skrzydła i bardzo jasne talerzyki oczu.

Dalsza ucieczka nie miała sensu. Usiadłem na kupce czegoś, co wyglądało jak zwęglony kapeć. Czekałem z rezygnacją. Czułem, że Ptak stoi obok i przygląda się nam swoim jasnym wzrokiem.

Wbrew oczekiwaniom najpierw zwrócił się do mnie.

– To wszystko, co ze mnie zostało w ostatnim rozdaniu – powiedział wskazując kapeć. Wstałem i dokładnie przyjrzałem się kupce materii. Przypominała raczej miniaturową wiązkę chrustu albo powiększone monstrualnie wąsy Charlie Chaplina.

Ojciec poruszył się, a Ptak momentalnie wycelował w niego swój stalowy dziób.

– Przegrałeś, Rrayven – powiedział budząc powszechne zdumienie, bo dla wszystkich było to od dawna jasne. – Zostawiam wam Ptaka, Prawa Jasności i Rejestr Długów. Zaczynajcie od nowa.

Patrzyliśmy na siebie; z Ptaka jakby uszło życie. Nadal tkwił w tym samym miejscu – poręczna zabawka do postawienia gdzieś na półce – ale jego duch gdzieś się zwyczajnie ulotnił.

W powietrzu dogasał jego głos – jak dzwonienie kryształowego dzwonka.

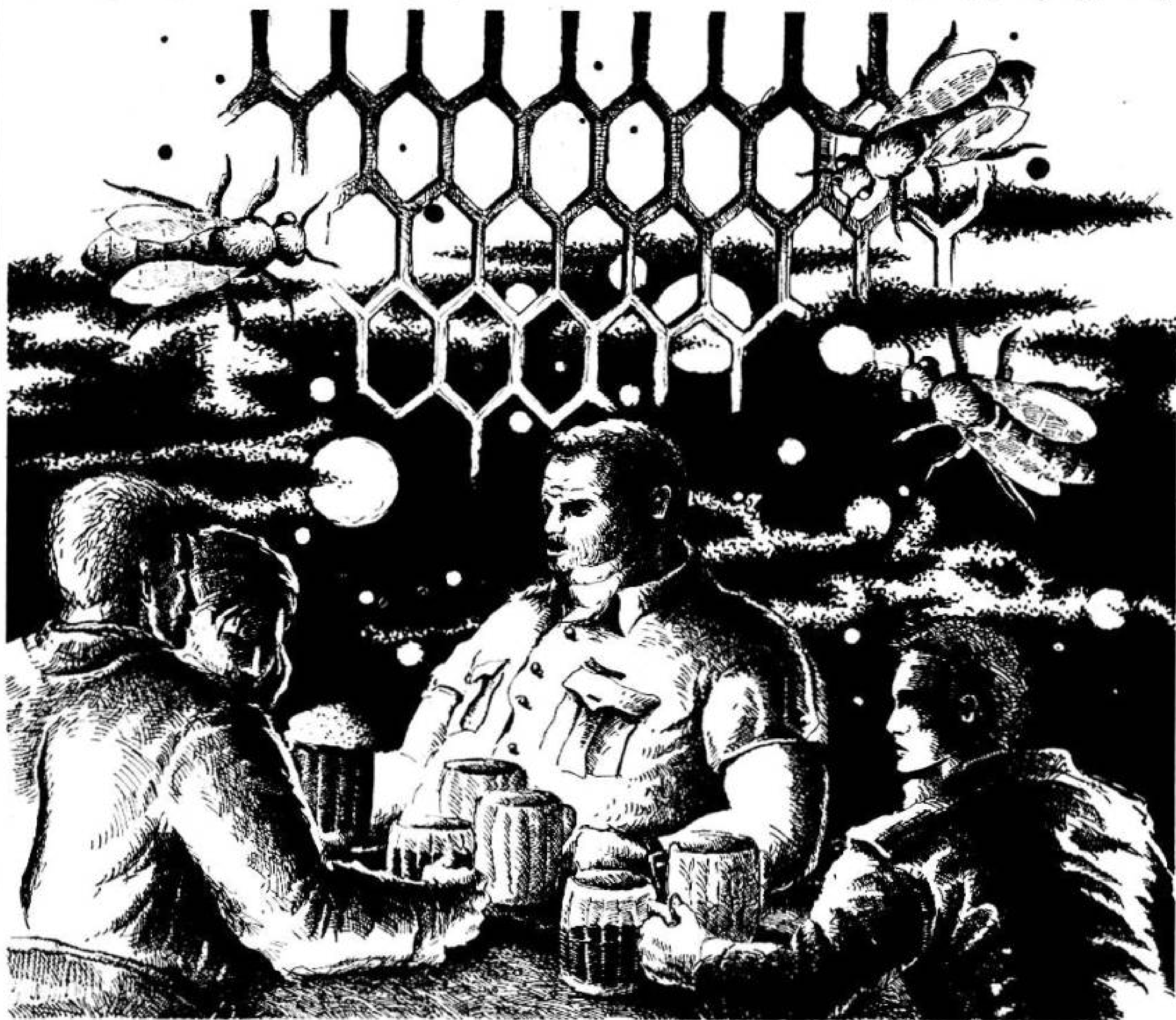
– Nie narzekaj, Rrayven... nie wyszedłeś na tym najgorzej. Ptak jest w dobrym stanie, a Rejestr Długów krótki. Ty wpakowałeś mnie w gorsze tarapaty.

Obraz piwnicy z wybitym oknem i Stalowym Ptakiem na środku posadzki zaczął nagle marszczyć się, pękać, dzielić na podłużne pasemka. Ktoś znajdujący się po drugiej stronie rozgarnął je rękami jak kurtynę. Do mojego snu wkroczyli ojciec z matką – lecz jakże odmienieni! Ledwo ich poznałem. On we fraku, z muszką na białym gorsie, ona w eleganckiej czarnej sukni i perłach, oboje uśmiechnięci, urodziwi niczym bohaterowie seriali telewizyjnych. Wyglądali olśniewająco: jak młodsze i lepsze wcielenia samych siebie. Emanowało od nich jakieś wewnętrzne światło, z którego dotąd nie zdawałem sobie sprawy.

nich tylko łyżew, bo cały kostium nadawał się raczej dla łyżwiarza figurowego niż dla mnie. Ale dla świętego spokoju odziałem się w to dziwactwo, a kiedy skończyłem, aż westchnąłem do lustra: noc przemieniła pucołowatego przeciętniaka w królewicza z bajki.

W salonie stół był nakryty do uroczystej kolacji, najlepsza zastawa i sztućce. Na dwóch lichtarzach paliły się świece. Na mój widok matka podbiegła krokiem baleriny wygładzać jakieś urojone zmarszczki.

Punktualnie o drugiej Stalowy Ptak sforsował ciemne szyby w oknie z taką łatwością, jak gdyby to była zdublowana powierzchnia wody. Nie towarzyszył temu żaden hałas; najmniejszy okruch szkła nie spadł na podłogę. Widziałem w zwolnionym tempie, że szyby omywają srebrzy-



Paweł Moszczyński

– Namnożyło się tych postaci – zakomunikował ojciec. – Namnożyło się tych postaci.

– A wszystko to ty, a wszystko to ty – zawtórowała mu matka. – Obudź się, będziemy mieli gościa.

I oczywiście natychmiast zbudziłem się. Ojciec z matką stali przede mną tacy sami jak we śnie, tak samo piękni i dystyngowani. Poczułem coś w rodzaju onieśmielenia.

– Środek nocy – burknąłem. – W sam raz pora na wizyty.

Zanim wyszli, matka wskazała mi strój, który wprawił mnie w zdumienie. Mnóstwo błyskotek, szwów, zamków, kieszeni, jasna tkanina w srebrne nitki, na plecach ni to płomień z wszystkich odcieni błękitu, ni to ogon pawi... Spodnie normalne, ciemne, trochę obcisłe, za to butów z tyloma bajerami jeszcze nie spotkałem. Brakowało przy

ste boki Ptaka jak obrys skanującego lasera. Ptak oderwał się lekko od szklanej tafli, która zasklepiła się natychmiast. Przez moment ciągnął za sobą nitkę szkła, która cieniała, aż pękła, cofnęła się sprężyście, przywarła do tafli i wtopiła się w nią. Byłem dziwnie pewien, że na szybie nie pozostała skaza.

Srebrny pojazd wylądował precyzyjnie na stole, między dzbankiem z kawą a cukiernicą. Płomienie świec nawet się nie poruszyły. Jego skrzydła złożyły się bez pośpiechu; oczy miał żółtobiałe, głębokie. Po sekundzie na grzbiecie Ptaka odsunęła się klapka, coś wydobywając się stamtąd zawirowało kolorowo i tubalny głos w głębi pokoju powiedział:

– Zechcą mi państwo wybaczyć, że nie korzystałem z bardziej konwencjonalnych sposobów, ale chciałem zrobić

przyjemność Arturowi. Ptak należy do ciebie, mój chłopcze.

Jegomość z „Parkowej" w zamkniętym pomieszczeniu wydawał się jeszcze większy i bardziej otyły, ale jakaś godność rozpromieniała jego oblicze. Bez wątpienia należał do tego samego gatunku ludzi, co ojciec z matką. Pękatą figurę opinał dobrze skrojony smoking, a biel jego koszuli raziła w oczy nie gorzej niż pancerz Ptaka.

– A gdzież to zostawił pan żonę? – zainteresowała się matka. – Mieliśmy nadzieję ją poznać.

– Droga pani, muszę się wytłumaczyć. Byłem i jestem tu sam. Słabo znam tutejsze zwyczaje, więc kiedy mąż pani zwrócił mi uwagę na naganność siadania za kierownicą po paru piwach, ratowałem się podstępem. Wywołałem fantom kobiety, nieszczególnie udany, bo bez torsu i nóg. Dziś wiem, jaki to okropny czyn. Wstydząc się go już wtedy, ustawiłem samochód pod światło. Nie byłem pewny efektu, więc dodatkowo przyciemniłem szyby. Najusilniej proszę o wybaczenie.

Wśród podobnych ceregieli siedliśmy do stołu. Podziękowałem za Stalowego Ptaka i wypowiedziałem grzecznościową uwagę, że niebywale przypomina swój pierwowzór – choć wcale tak nie uważałem.

– Ależ, mój chłopcze – obruszył się inżynier – nie było żadnego pierwowzoru! Chcąc was odnaleźć musiałem nadać umówiony sygnał, a potem utrzymać go tak długo, aby mieć pewność, że nie zostanie przeoczony. Jednocześnie mój pojazd, który w niczym oczywiście Ptaka nie przypomina, okrążał Ziemię na różnych wysokościach w dzień i w nocy. Srebrzysty Ptak był rozległym, niskoenergetycznym fantomem, widocznym głównie od strony Ziemi. Musiałem wykonać pomiary szybko i solidnie, powtórzyć je na wszelki wypadek, a także przyjrzeć się pewnej liczbie niejasnych miejsc. Samo przeanalizowanie dziewięciu miliardów łańcuchów reinkarnacyjnych to nie w kij dmuchał. Nawet kiedy już was zidentyfikowałem, nękały mnie rozmaite wątpliwości. Żeby je rozwiać, wybrałem się na piwo do „Parkowej".

– Nie obawiałeś się, że w ślad za tobą mogą tu nadciągnąć jednostki Yirs-Gidrisa?

– Z takim niebezpieczeństwem zawsze należy się liczyć. Ale też moja wyprawa odbywa się z zachowaniem najwyższych środków ostrożności. Dysponowałem nawet własną eskortą, która z chwilą mojego zagłębienia się w bąbel wytworzyła fałszywy duplikat mojego pojazdu – że niby nadal jesteśmy w komplecie. W bąblu rozsiewałem uśpione czujniki, trudniejsze do wykrycia niż pył kosmiczny, które w jednej chwili dałyby mi znać, gdyby ktoś posuwał się za mną. Kluczyłem i robiłem postoje. Bardziej już obawiałem się, że was nie odnajdę, że nie rozpoznam, że mimo wszystkich znaków i pełnomocnictw nie pozyskam waszego zaufania.

– Przybyłeś za wcześnie – stwierdził ojciec.

– Bo mamy sytuację nie cierpiącą zwłoki. Odkąd Quand-Esqual utracił Reguły na rzecz Yirs-Gidrisa, nasze położenie dalekie jest od komfortowego. Yirs-Gidris nie zawaha się przed zmianą Reguł, to jasne. Twierdzisz, że przybyłem za wcześnie. O ile? – o pięćdziesiąt, sto, dwieście lat? Jestem pełen uznania dla waszej roboty tutaj, ale sami chyba zdajecie sobie sprawę, że mniej niż dwa wieki mogą doprowadzić tutejszą ludzkość do piekła samounicestwienia. Gdybym zjawił się nieco później, pozostałyby mi wielce romantyczne spacery po zgliszczach.

– To nie nasza wina – odezwała się matka. – Okazuje się, że tworząc sprzyjające warunki do powstawania cywilizacji traci się na jakości. Cywilizacje rodzą się wprawdzie masowo, ale żyją krótko. Z pewnych ukrytych cech materii ciągle nie dość dobrze zdajemy sobie sprawę.

Inżynier z „Parkowej" pokiwał ze smutkiem głową. – Nic nie wiemy, nic nie umiemy – westchnął. Dopił kawę. – O tej porze wasze rozwiązanie powinno już dotrzeć, specjaliści Rrayven badają jego przydatność. Tym samym moje zadanie dobiegło końca.

Żegnał się z nami z autentycznym smutkiem.

– Byłbym zapomniał – rzekł sięgając do wewnętrznej kieszeni – wyprodukowałem to na żądanie pewnego policjanta. – Położył na stole prawo jazdy z dowodem rejestracyjnym. – W tym świecie bez umiejętności czynienia cudów ani rusz.

Mrugnął łobuzersko okiem i rozpłynął się w powietrzu z perlistym plim! – jak czarodziej na filmach Disneya.

Dwa dni później molestowałem ojca, w jaki sposób pojazdy Rrayven poruszają się w międzyprzestrzeni. Przecież tam nic nie ma?

– Wytwarzają kanał przestrzenny wokół siebie i przed sobą. Podobnie postępują zbliżając się do bąbla. Bąble nie mają żadnych fizycznych granic, ich peryferie stopniowo przechodzą w międzyprzestrzeń. Krótko po takim przelocie utrzymuje się ślad przestrzenny.

– Myślisz, że nasze rozwiązanie powstrzyma Yirs-Gidrisa? A co będzie, jeśli on już zmienił Reguły?

– Rozwiązanie jest wystarczająco ogólne, aby to uwzględnić. Reguły mogą być takie lub inne, ale nie mogą być żadne.

Rozmawialiśmy w ogrodzie, spacerując pod drzewami w miejscu, gdzie rozciągał się nasz Labirynt, zanim napotkany w „Parkowej" potężny wysłannik Formacji Rrayven nie wyekspediował go poza granice bąbla. Teraz mieliśmy pod nogami względnie równy trawnik bez śladu kamieni i posadzonych roślin. Drzewa przekwitły, na gałęziach pokazały się pierwsze zawiązki owoców.

– Będzie mi żal tego wszystkiego – wyznał ojciec niespodziewanie. – Domu, drzew, nieba... tej bezcelowej celowości.

Był to nasz ostatni dzień na Ziemi. Wieczorem zapakowaliśmy się do czerwonego merkurego. Wyjechaliśmy polną drogą w odludne miejsce, noc była pogodna, naszpikowana gwiazdami. Zatrzymaliśmy się. Pachniało wilgotną, świeżą zielenią, gdzieś daleko rechotały żaby.

– Jak cicho – powiedziała matka.

Powtórnie zagrał silnik. Dach nakrył nas stanowczym, nieodwołalnym ruchem. Prawie równocześnie merkury oderwał się od drogi. Zostawialiśmy za sobą świat, który nas stworzył, przyjął i gościł. Jeszcze po godzinie, gdy Ziemia zmalała do rozmiarów piłki, jej kontury rozmazywały mi się w oczach. Zrobiliśmy więcej niż ćwierć obrotu wokół Księżyca; na nasze przyjęcie otwarł się świetlisty lej po niewidocznej stronie. Merkury, w niczym już nie przypominający czerwonego samochodu, zaczął opadać prosto w złociste gardło.

– Jeszcze parę lat i dowierciliby się prawdy – mruknął ojciec do swoich myśli. – Od dawna coś podejrzewali.

W środku czekało potwierdzenie o przejęciu Labiryntu przez Formację Rrayven, gratulacje i podziękowania. Towarzyszyła im wiadomość o poczynaniach Yirs-Gidrisa zmierzających do skorygowania Reguł. Było oczywiste, że zmiana ograniczy obowiązywanie Praw Jasności oraz wpłynie niekorzystnie na Rejestry Długów. Dyskusyjny był jedynie zakres tych zmian.

Sześć dni zajęła nam analiza otrzymanych danych i ustalenie sposobu, w jaki Labirynt rozproszkuje dzieło Yirs-Gidrisa.

Siódmego dnia ojciec zwinął Wszechświat.

luty 1992

Marek Oramus

DWAJ JEŹDŹCY APOKALIPSY

str. 57

Do tej pory bardzo mało miejsca poświęcano na łamach **FANTASTYKI** muzyce. Sugerując się głównie oprawą muzyczną filmów *fantastycz*nych (np. "Odyseja Kosmiczna **2001**" czy "Blade Runner") – zwykło się uważać, że to muzyka klasyczna oraz elektroniczna (Vangelis, Jarre) najtrafniej ilustruje i podbudowuje emocjonalnie ten typ twórczości.

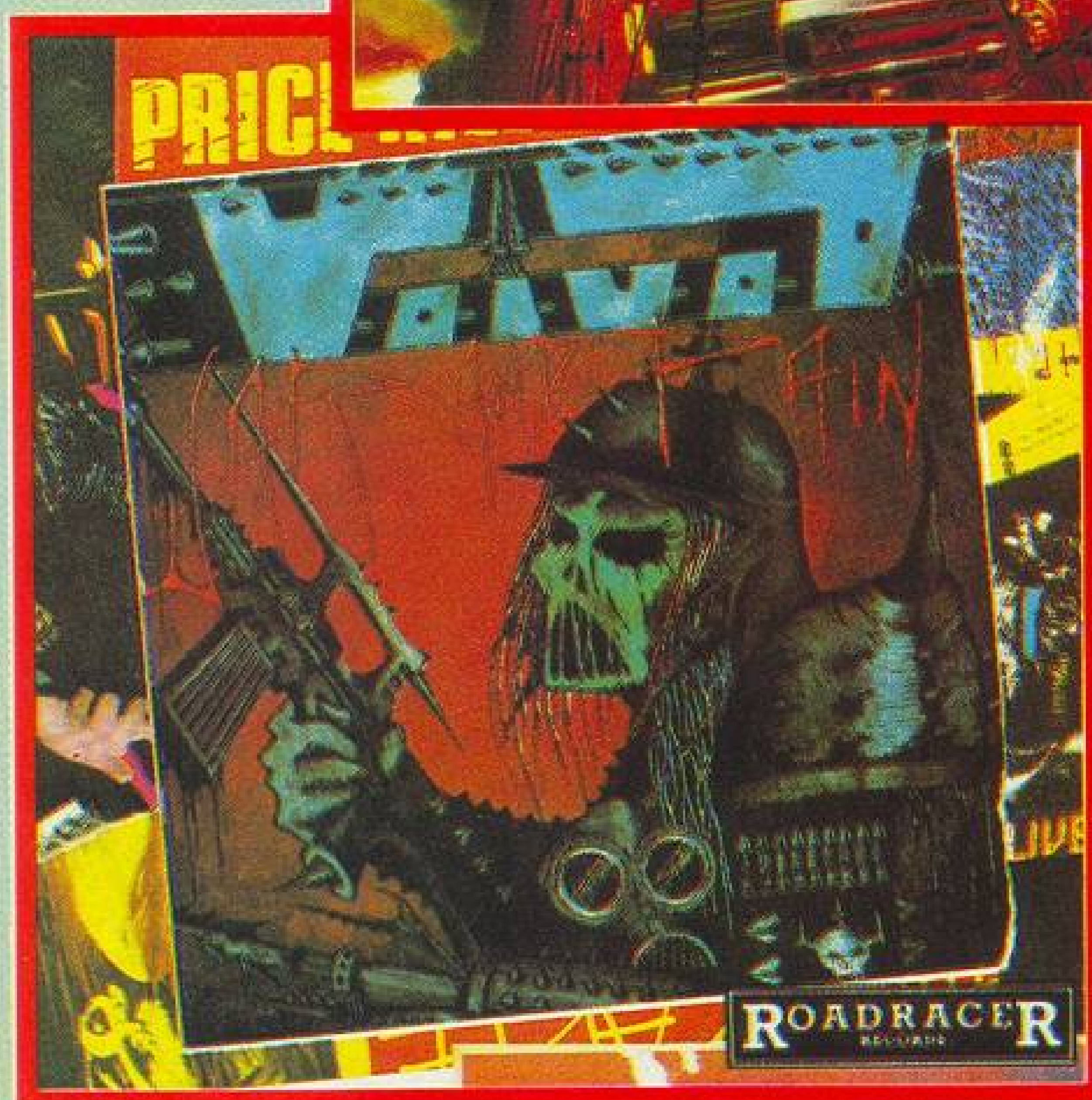


Z tego zapewne powodu, mówiąc o związkach muzyki i SF mało uwagi poświęca się muzyce rockowej, szczególnie jej najostrzejszym odmianom: heavy metal (trash, black, death) i grind core. Gatunki te zyskują jednak coraz większe grono fanów, wśród których dużą grupę stanowią wielbiciele fantastyki.

Obydwa zjawiska - literatura fantastyczna i heavy metal - powstały na marginesie kultury popularnej. Początkowo ignorowane przez krytyków, dopiero dzięki rosnącemu powodzeniu wśród czytelników i słuchaczy wywalczyły należne sobie miejsce. Autentyczność i spontaniczność rocka oraz SF wynika z ich dużej pojemności artystycznej. I rock i SF charakteryzują się ponadto sporą niezależnością od dotychczasowych norm estetycznych, a to dlatego, że obydwa gatunki korzeniami sięgają twórczości underground. Stojąc przed koniecznością rozwiązywania problemów i zaspokajania potrzeb, z którymi - z różnych powodów - nie radzą sobie inne dziedziny sztuki, muzyka heavy metal oraz fantastyka wykazują zaskakująco wiele cech wspólnych.











Charakterystyczny jest dla obu tych gatunków eskapizm wynikający, szczególnie w heavy metal, z niezgody na obecną rzeczywistość; ze znudzenia, przerażenia, zagubienia w świecie. Zadaniem sztuki jest więc zaproponowanie świata alternatywnego. Pisarze budują taki świat za pomocą słów i fantastycznych fabuł. Muzycy atakują słuchaczy nadmiarem bodźców dźwiękowych. W obu wypadkach może to prowadzić odbiorców do stanów porównywalnych z transem.

Niezgoda na rzeczywistość pociąga za sobą nastroje dekadenckie, katastrofizm, pesymizm, agresję. Zachowania ekstremalne, irracjonalne znajdziemy więc w literaturze i kinie SF oraz w praktykach estradowych niektórych zespołów („Napalm Death", „Carcass"). Typowe dla literatury fantasy zainteresowanie magią w gatunku muzycznym death metal osiągnęło apogeum przeradzając się w satanizm oraz obsesyjną fascynację śmiercią („Death", „Morbid Angel", „Grave", „Vader", „Raped Toad"). Gatunkowi heroic fantasy







odpowiada twórczość zespołów nawiązujących do pradawnych rycerskich tradycji Celtów i Germanów („Manowar", „Running Wild").

Również horrory cieszące się dzisiaj zastanawiająco dużą popularnością wywierają ogromny wpływ na całe rzesze muzyków i fanów black metal („Venom", „Bathory", „Kat"). Przemieszanie się elementów fantasy z SF stworzyło zarówno w literaturze jak i w muzyce wiele postindustrialnych opowieści o miastach-dżunglach i buszujących w nich wojownikach uzbrojonych w skomplikowane środki zagłady („Voivod").

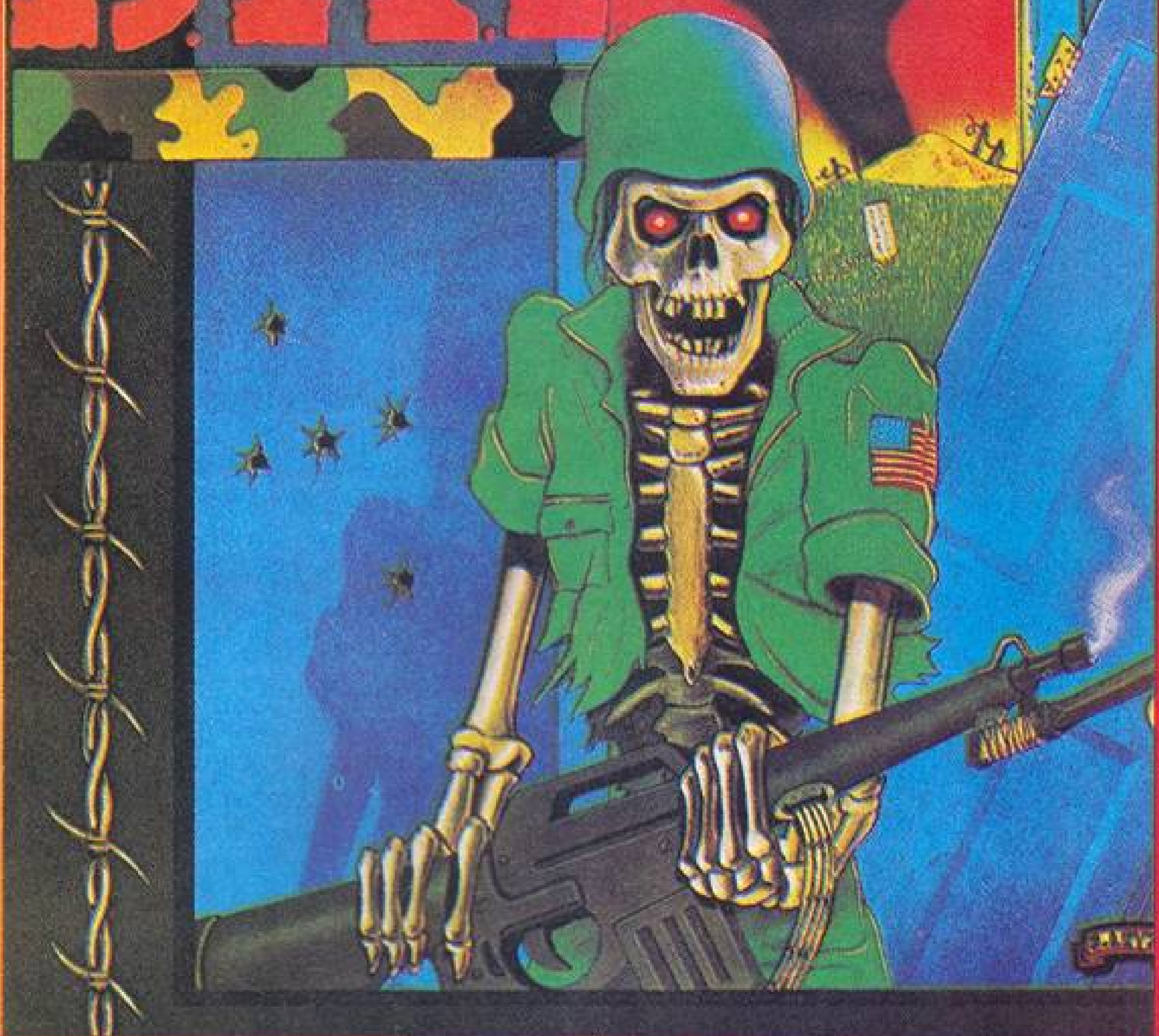
Zazwyczaj to muzycy rockowi inspirowali się twórczością fantastyczną. Obecnie coraz częściej obserwujemy zależność odwrotną. Powstają nowe tendencje w literaturze, na które wyraźny wpływ wywierają subkultury młodzieżowe. Smutne przyszłości kreowane przez pisarzy odwołują się do nękających nas obecnie problemów, także tych wynikłych z rozwoju technik komputerowych (cyberpunk). Pewnym modyfikacjom uległ również repertuar środków, jakimi posługują się muzycy tworzący

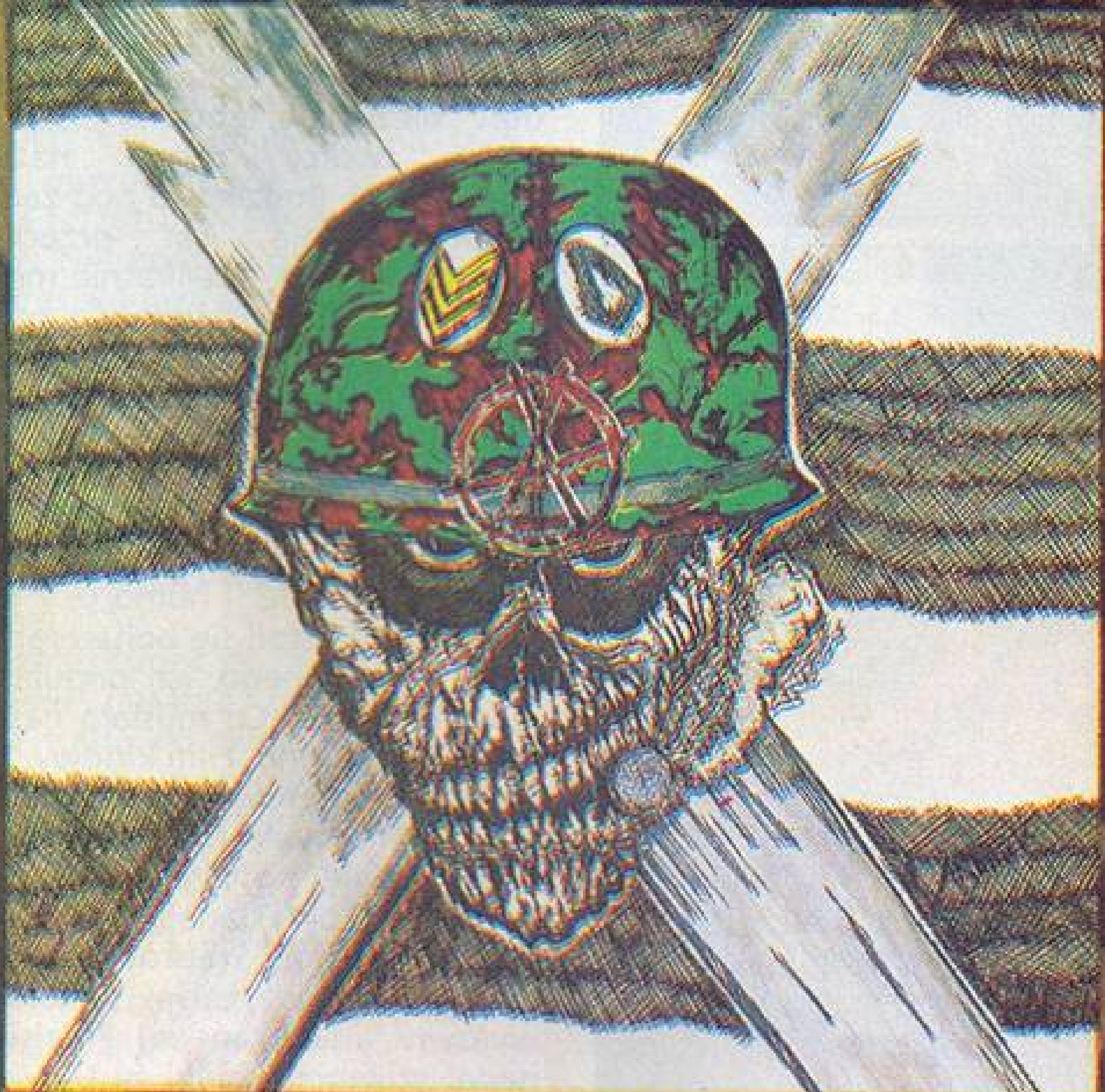










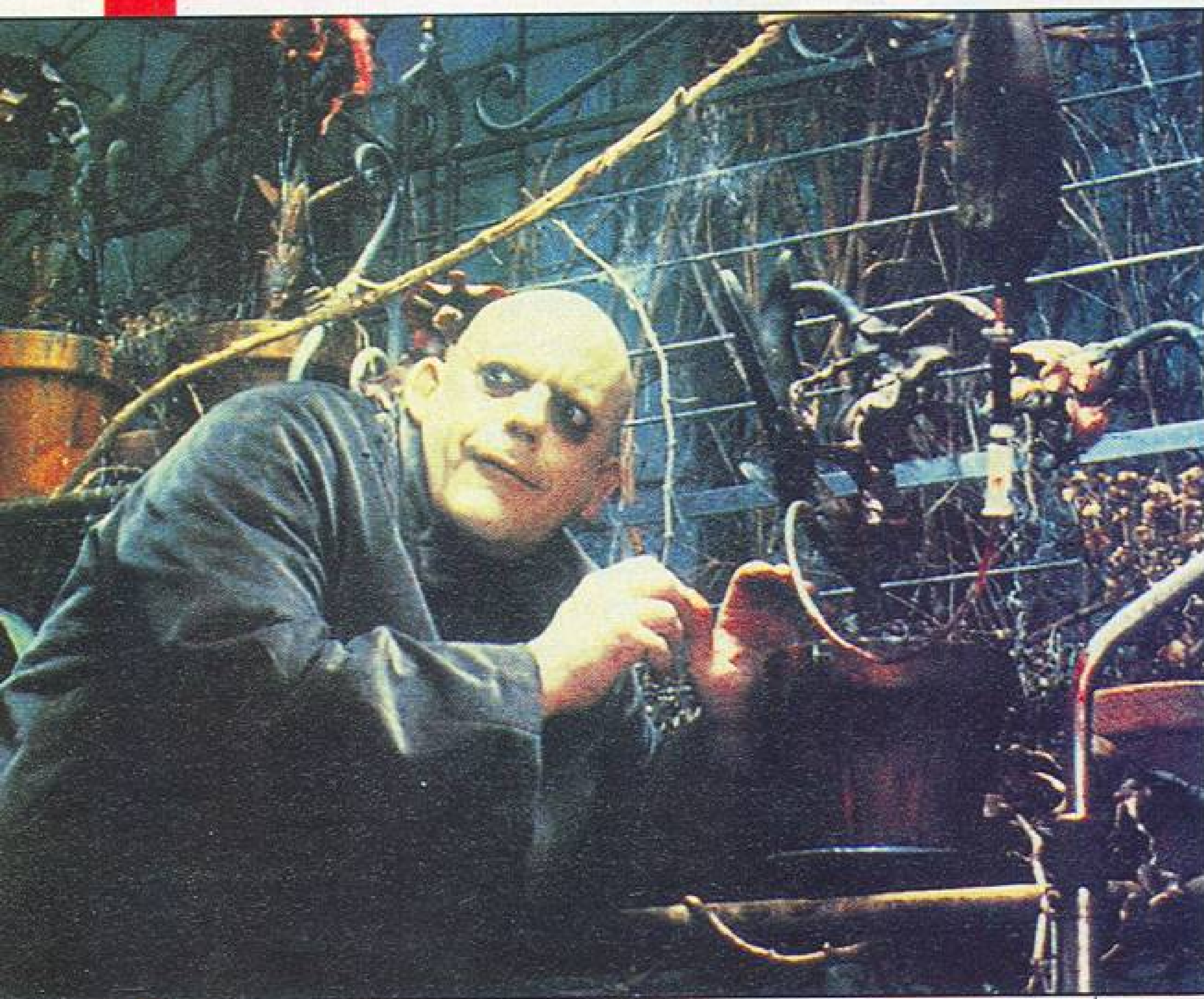


heavy metal: ekstremalnie zniekształcone brzmienia instrumentów muzycznych oraz ludzkiego głosu. W efekcie powstaje muzyka nieporównywalna z niczym spotykanym dotychczas w przyrodzie czy też tradycyjnych salach koncertowych, przywodząca raczej na myśl upiorne odgłosy fabryki miasta przyszłości. Głosy wokalistów brzmią tu jak wrzask potępieńców, jak krzyk. Tworząc futurystyczno-katastroficzne wizje i jednocześnie działając na podświadomość, muzyka ta wywołuje reakcje pierwotne, irracjonalne, dające się porównywać z transem szamana i pozostających pod jego wpływem uczestników magicznych obrzędów. Jest to podróż zarówno w przyszłość, jak i w przeszłość. Wędruje się w czasie „do przodu" po to, by naprawdę móc cofnąć się do początków.

Fantastyka i heavy metal mają podobne cele. Operując niekonwencjonalnymi środkami poruszają problemy szczególnie dla nas ważne. Tak naprawdę wszyscy fanowie heavy metal są wielbicielami fantastyki, tylko jeszcze nie każdy z nich o tym wie.

Jan Rutkowski







GDZIE MIESZKAJĄ TWOI ADDAMSOWIE?





Choć moda na filmy wykorzystujące bohaterów komiksowych jeszcze nie minęła, Amerykanie wymyślili już coś nowego. Tym razem są to postacie z dowcipów rysunkowych. Trudno powiedzieć, czy ktoś wpadł na taki pomysł po prostu poszukując nowości, czy rzeczywiście uznał rodzinę Addamsów, bo o nich mowa, za interesujący temat. W każdym razie strzelił w dziesiątkę. „Rodzina Addamsów" stała się przebojem zarówno w Stanach jak i w Europie.

Ich historia zaczęła się na łamach „New Yorkera", gdzie rysownik nazwiskiem Addams zamieszczał swoje dowcipy. Ich stałymi bohaterami byli zawsze ci sami członkowie pewnej dość niezwykłej rodziny. Od nazwiska twórcy zostali nazwani Addamsami. Rodzina ta pod żadnym względem nie jest przeciętna. Addamsowie są – delikatnie mówiąc - szurnięci, mają skłonności patologiczno-mordercze i uprawiają czarną magię. To po prostu psychopaci. Dlaczego więc czytelnicy pokochali Addamsów? I to nie tylko intelektualiści czytający „New Yorkera", których można podejrzewać o przewrotne poczucie humoru. Kiedy Addamsowie stali się bohaterami serialu telewizyjnego, ich popularność jedynie wzrosła. Co musiało nastąpić potem, wiadomo. Film kinowy. Niektórzy bohaterowie amerykańskiej kultury masowej niedobrze znoszą przeniesienie na grunt europejski. Klasycznym przykładem są bohaterowie „Gwiezdnej wędrówki", którzy dorastali wraz z całym pokoleniem widowni amerykańskiej i dzisiaj są nadal szalenie lubiani w USA, podczas gdy w Europie jedynie śmieszą.

Addamsom to nie grozi. Zbyt moc-

no są osadzeni w romansie gotyckim wywodzącym się z kultury europejskiej właśnie. Addamsowie mieszkają w stylowej siedzibie, odcięci od innych ludzi, w których życie ingerują jakby przypadkiem (*Tatuś znów bawi się pociągiem*). Niekiedy uczestniczą, co prawda, w normalnym życiu społeczności, ale kierowani nieco innymi motywacjami (*Musimy pójść na tę aukcję. To na rzecz wdów i sierot, kochanie, oby ich było jak najwięcej*). Addamsowie to odmieńcy, ale jeszcze na dodatek obrzydliwie bogaci. I tego już ich bogobojni bliźni nie mogą wybaczyć. Każdy, komu Addamsowie zaufają, stara się ich oszukać. Własny adwokat wymyśla intrygę mającą na celu pozbawienie ich całego majątku, w tym siedziby rodowej, przez podstawienie fałszywego, zaginionego brata Festera. I prawie mu się to udaje. Film zrobiony jest z ogromnym wdziękiem, czarny humor naprawdę śmieszy. Ogromna w tym zasługa znakomitych aktorów, jakby stworzonych do kreowanych tutaj ról. A więc przede wszystkim Anjelica Huston, która już wcześniej dała się poznać jako dużego formatu czarownica (nie tylko w „Wiedźmach"; czy pamiętacie państwo, jak w „Honorze Prizzich" dorysowywała sobie zmarszczki, by wyglądać na nieszczęśliwą?), tutaj występuje jako Morticia. Jej męża Gomeza gra bezbłędnie Raul Julia (*Kochanie, czy jesteś bardzo nieszczęśliwa? Do utraty tchu*). Świetni są także jedenastoletnia Christina Ricci w roli Wendesday i Christopher Lloyd jako Fester. Film jest debiutem (!) reżyserskim Barry'ego Sonnenfelda, który jednak przeszedł wcześniej niezłą szkołę pracując przez wiele lat na stanowisku operatora.

Bez zarzutu są również efekty specjalne. Nie epatują grozą, natomiast podkreślają groteskowość opowieści. Szczególnie kuglarsko-baletowe sceny pojedynków i bal, na którym odtańczono „Mamuszkę". Pyszny jest też pomysł z dosłownym potraktowaniem zawartości książek w bibliotece Addamsów. Ale chyba nic nie przebija postaci Rączki (zawsze pomocnej).

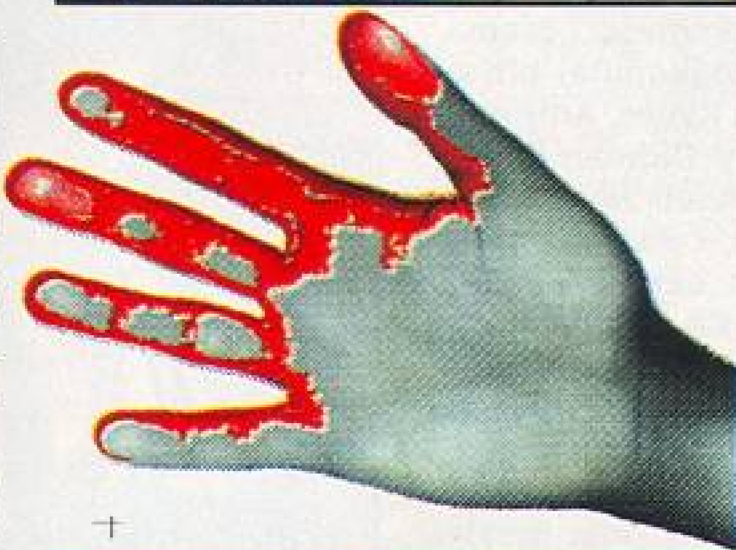
Nasz stosunek do filmu i jego bohaterów uosabia żona adwokata, która trafia do domu Addamsów z konieczności (*to klienci*), a na koniec wiąże się z ich kuzynem Coś. Bo jeśli ktoś chce znaleźć złoto u Addamsów, powinien zajrzeć w ich serca.

Dorota Malinowska

RODZINA ADDAMSÓW. Reżyseria: Barry Sonnenfeld. Scenariusz: Caroline Thompson, Larry Wilson. Muzyka: Marc Shaiman. Obsada: Anjelica Huston, Raul Julia, Christopher Lloyd. USA 1991.



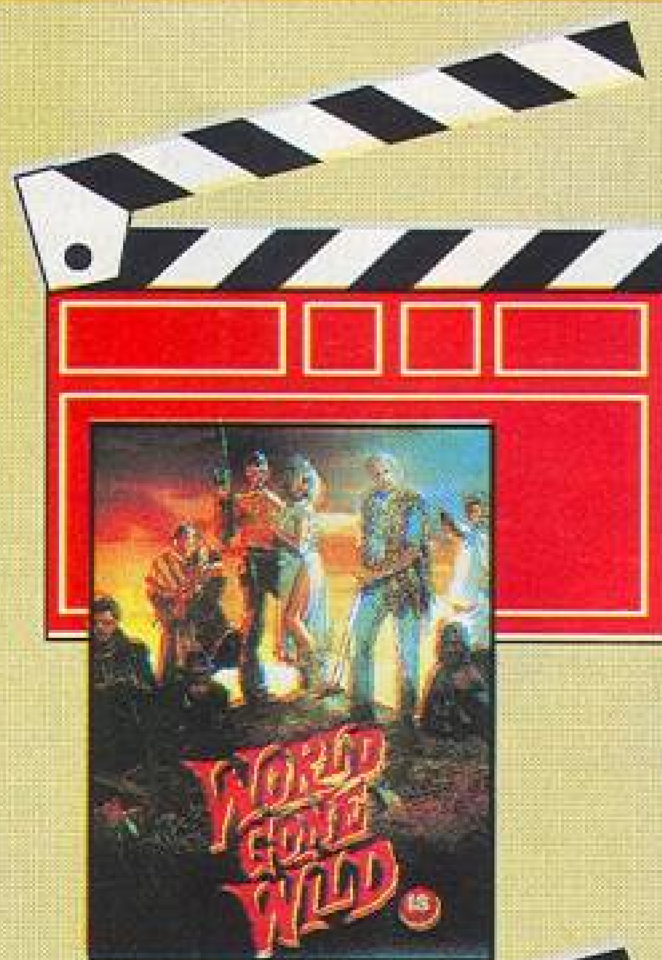


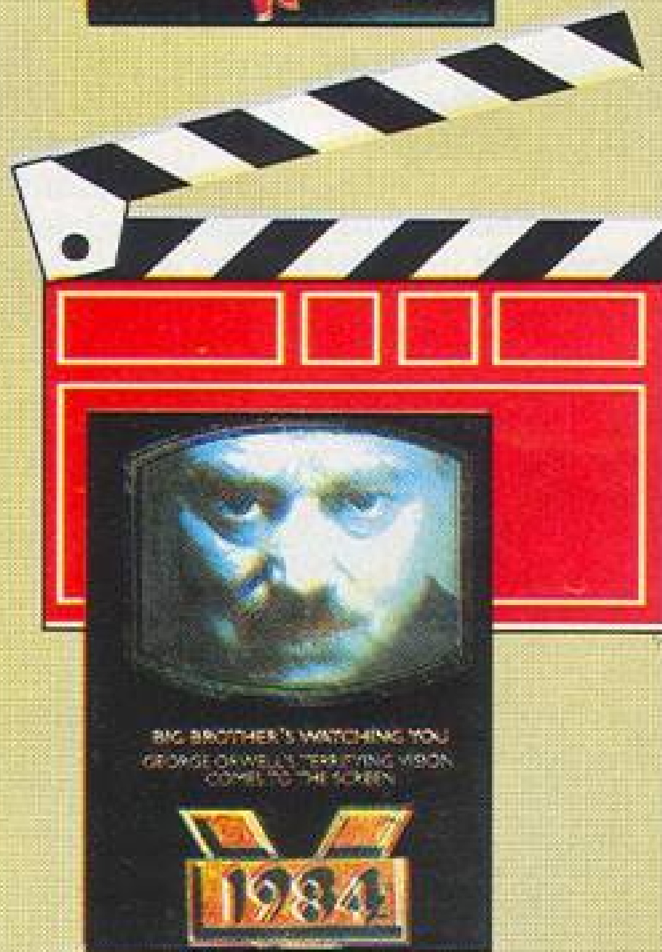




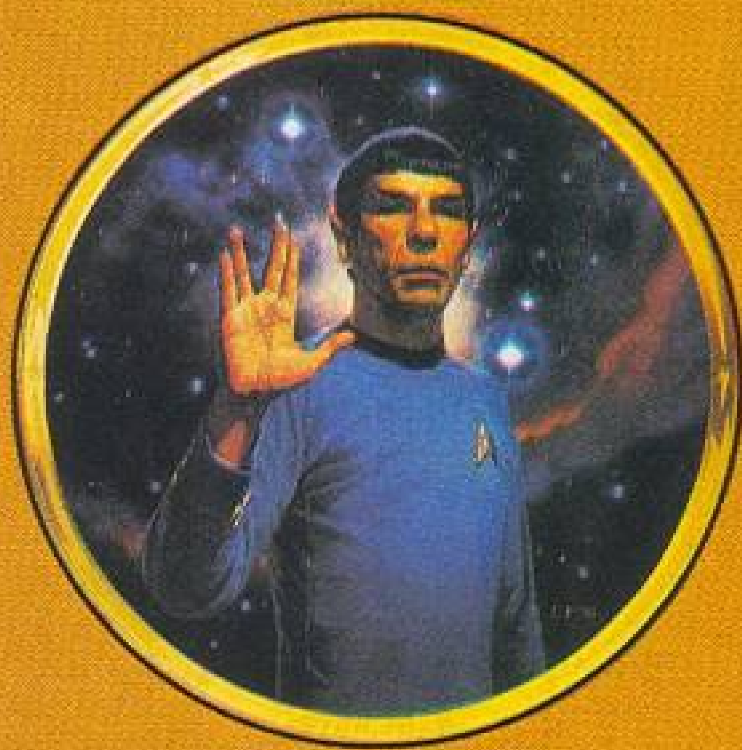
VENI VIDEO VICI

MAF*VIDEO Warszawa	POCZTYLION Kraków	
Zdziczały świat (World Gone Wild)	Godzilla	1
Wstrząsy (Tremors)	Scanners 2	2
Telefon (Bells)	Terminator 2	3
Gothic	Diune	4
1984	Walka robotów	5
Widmo (Interceptor)	Millenium	6
Terminator 2	Starman	7
Księżyc 44	Predator 2	8





Listy najpopularniejszych filmów rozpowszechnianych na kasetach wideo zestawiły dla nas: wypożyczalnia MAF*VIDEO przy Młodzieżowej Akademii Filmowej, mieszcząca się w kinie LUNA, ul. Marszałkowska 28 w Warszawie oraz wypożyczalnia POCZTYLION mieszcząca się w Urzędzie Przewozu Poczty, Kraków 2, ul. Lubicz 4.



25 LAT STAR TREK



Miłośnicy „Gwiezdnej Wędrówki" mają powody do radości. 14 lutego na ekranach USA pojawił się „Star Trek VI". Obsada niezmienna od lat: William Shatner, Leonard Nimoy, DeForest Kelly, James Doohan, Walter Koening. Wszyscy na pokładzie statku USS Enterprise. Podobno do spółki bohaterowie liczą sobie już 4038 lat. Tym razem ma być to ich ostatnia wyprawa.



* Rozpoczęła się praca nad drugą częścią „Batmana" pod bezpretensjonalnym tytułem „Batman wraca". Grają Christopher Walken, Michael Keaton, Danny DeVito i Michelle Pfeiffer.

* Francis Ford Coppola pracuje nad nowym filmem o wampirach: „Drakula" na podstawie powieści Brama Stokera, w znakomitej obsadzie: Winona Ryder, Anthony Hopkins, Gary Oldman i Keanu Reeves. Jeżeli film okaże się sukcesem, cała sfora postaci czeka na ożywienie. Już teraz mówi się o takich remake'ach jak „The Wollman" (Człowiek-wilk), „The legend of the Frankenstein" (Legenda Frankensteina), „Werewolf" (Wilkołak) oraz muzycznej wersji „Plan Nine from Outer Space".

* Czy trójka jest pechowa? Pośród gotowych filmów czekających na swoją kolejkę do kin są: „Obcy 3" (w roli głównej Sigourney Weaver, reżyseruje nieznany dotąd David Fincher) i „Nieśmiertelny 3: Czarodziej". Jeśli chodzi o trzecie objawienie się na ekranach,

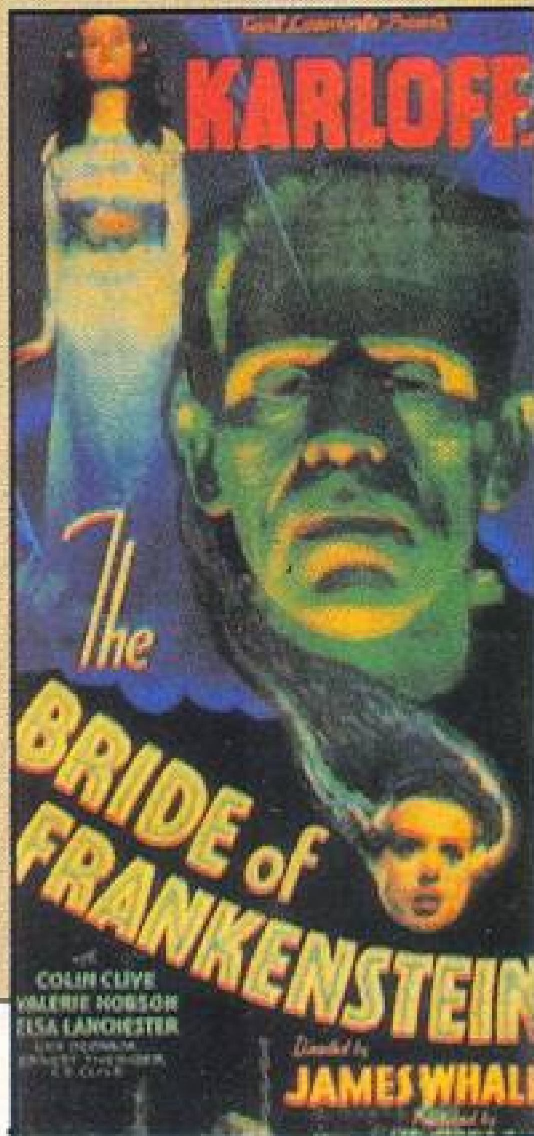


to przebąkuje się coś również o „Hellraiserze 3", z podtytułem „Piekło na Ziemi".

* Mistrzowie kina sięgają po SF. Franco Zeffirelli („Romeo i Julia", „Poskromienie złośnicy", „Jezus z Nazaretu") pracuje nad kolejną adaptacją „Du-



cha w operze" Gostona Leroux (o poprzednich ekranizacjach tej książki pisaliśmy w „NF" nr 6/91).



* Producenci nie mogą znaleźć pieniędzy na realizację filmu „Maska". Byłaby to prawdziwa historia produkcji Frankensteina z 1930 roku, w której zostaje odkryta prawda o słynnej charakteryzacji Borisa Karloffa.

Boris Karloff we FRANKENSTEINIE (1931)



Boris Karloff w SYNU FRANKENSTEINA (1939)



DTP wkładki kolorowej: DuDi

z Eugeniuszem DĘBSKIM rozmawia Jacek Inglot

Nie wierzę krytykom



Jacek Inglot: – *W ciągu ostatnich sześciu lat wydałeś dwa zbiory opowiadań i osiem powieści (cztery książki są w przygotowaniu), nie przestając pracować zawodowo. Daje to co najmniej dwie książki rocznie. Jak to w ogóle możliwe?*

Eugeniusz Dębski: – Po wydaniu pierwszego zbioru opowiadań, gdy przekonałem się, że nie jestem jednak grafomanem, zacząłem pisać bardzo intensywnie. I chyba trochę się zachłysnąłem tą „radością tworzenia". Przelewanie na papier obmyślanego już pomysłu trwa u mnie dosyć krótko. Oczywiście, przedtem żyję z nim miesiącami, sporządzam notatki, notuję fragmenty dialogów i elementy scenografii itp., po czym pewnego dnia osiągam stan nasycenia i zasiadam do przelewania. Rekordem będzie tu jedna z przygód Owena Yeatsa, napisana w pięćdziesiąt dni. Przez dwa lata pisałem po dwie, trzy powieści rocznie. Teraz to tempo trochę spadło.

– *Tak czy owak daje ci to pod względem liczby napisanych książek bodaj pierwsze miejsce w Polsce.*

– Lem na pewno ma więcej, Zajdel – i albo Sawaszkiewicz, albo ja. Łącznie z nie wydanymi powieściami chyba jednak Sawaszkiewicza wyprzedzam.

– *Krążyła w związku z tym plotka, iż pogubiłeś się w mnogości własnych dzieł i wydawnictw, gdzie je złożyłeś, więc wynająłeś emerytowanego milicjanta, by prywatny detektyw wytropił je i zidentyfikował.*

– Faktem jest, że w pewnym momencie musiałem stracić kilka tygodni, aby się doszukać, co, gdzie i kiedy wydałem. Dalej mam z tym problemy.

– *Uchodzisz za najwybitniejszego przedstawiciela komercyjnego skrzydła SF. Kim jest właściwie pisarz komercyjny?*

– Definicje to sprawa krytyków. Fantastyka według mnie powinna być gatunkiem – w dobrym tego słowa znaczeniu – rozrywkowym. Jestem przeciwny nadawaniu jej innej rangi, np. kreującej świat, człowieka czy nasycania problemami egzystencjalnymi. SF najczęściej nie jest w stanie udźwignąć podobnej tematyki. Komercyjność to dla mnie profesjonalizm, anegdota i warsztat, co w sumie dostarcza rozrywki – cała literatura dostarcza rozrywki, sądzę, że szeroko pojętą rozrywką jest też czytanie Dostojewskiego, Tołstoja, Kafki i Hemingwaya. Najważniejszym zadaniem fantastyki jest dostarczanie chwili wytchnienia, więc irytują mnie zarzuty, że tworzę tylko literaturę rozrywkową. Słówko „tylko" jest pewną obrazą, bo jeśli pisze się powieść, która na trzy - cztery godziny absorbuje czytelnika, to jest to równoważne np. emisji dwóch filmów, przy których pracuje przecież duża grupa ludzi. Jeśli na te trzy – cztery godziny sam Dębski kimś owładnie, to jest to niewątpliwy sukces.

– *Po co właściwie piszesz książki: dla pieniędzy, dla sławy, dla zabawy czytelnika?*

– Po pierwsze, aby się „wygadać" – wielką przyjemność sprawia mi wymyślanie fabuł czy anegdot. Najczęściej są to pomysły już nieco zużyte, ale staram się je odświeżyć i opakować atrakcyjnie. Niewątpliwie jestem jednostką próżną, stąd nie można wykluczyć żądzy sławy i popularności, aczkolwiek niewiele jej zażywam. Pieniądze nie są zbyt rewelacyjne – po ośmiu wydanych powieściach nie stać mnie na samochód klasy np. hyundaya.

– *Pozycja polskiej książki uległa zachwianiu na skutek konkurencji autorów zachodnich, których wydawnictwa tłuką w masowych nakładach – polska książka dzieli los reszty krajowych produktów. Czy czujesz się tą sytuacją zagrożony?*

– Jest to sytuacja niedobra, ale była do przewidzenia. Rynek musiał się zachłysnąć rzeczami, których przedtem nie było: pistacjowymi orzeszkami, samochodami, tajlandzkimi ciuchami oraz niedostępnymi do tej pory książkami. Złe jest to, że o wysokości nakładu decydują nie wyrobieni czytelnicy, tylko jakaś bliżej nieokreślona „masa nabywcza". Podejrzewam, iż może dojść do tego, co na Zachodzie: większość książek wyrzuca się bez czytania. Wielu nie kupuje polskich autorów, bo na czymś się sparzyli, a inni ponieważ uważają, że wszystko co zachodnie musi być lepsze, książki również.

– *Niektórzy z polskich autorów komercyjnej SF przybierają anglosaskie pseudonimy, co ja osobiście mam za żenujące oszustwo. Co sądzisz o tego rodzaju postawie?*

– Przesada w tego rodzaju praktykach nie jest dobra, ale robiących te numery autorów raczej rozgrzeszam – zwykle to wydawnictwo życzy sobie brzękliwego pseudonimu. Najczęściej są to firmy bez środków na kilka książek, muszą walczyć o natychmiastowy zwrot pieniędzy. Teraz zysk jest podstawą ideologii, strategii i taktyki działania. Każdy „numer" jest usprawiedliwiony, o ile daje firmie szansę przetrwania. Zauważ, ile oficyn wypięło się na Polaków. Reszta, jeśli chce nas jakoś wydawać, musi walczyć z powszechną, raczej negatywną opinią.

– *Na okładce ostatnio wydanego tomu przygód Owena Yeatsa w miejscu autora widnieje jego nazwisko.*

– Jest to drugi chronologicznie tom przygód Yeatsa – „Ludzie z tamtej strony czasu". Czytelnicy zauważyli już, że Yeats zaczął sam spisywać swoje przypadki. W szóstym tomie jest wytłumaczone, dlaczego to jego książka, a nie Dębskiego – pojawia się u niego prawnuk Dębskiego, który wyjaśnia, że te książki Owena zostały już wcześniej napisane... Podejrzewam, że wydawca – CIA-Books – opacznie zrozumiał całą intrygę. Kiedy w folderze wydawnictwa zobaczyłem, że „Ludzie z tamtej strony czasu" mają za autora nie Dębskiego, a Yeatsa, zadzwoniłem do wydawnictwa z protestem. Okazało się, iż uznało ono, że udzieliłem dyspensy na taki zabieg. Książka była już w druku i nie dało się nic zmienić.

– *Miała być to zatem taka autotematyczna zabawa?*

– Tak. Szósty tom, zamykający, miał być od początku autorstwa Yeatsa, który sam spisuje swoje przygody i wydaje pod swoim nazwiskiem. Wydawca źle pojął moje intencje – być może nie dość jasno je określiłem. Ale sam cykl chyba się podoba – znam kilka osób, które zabrały się do czytania całości po kupieniu czwartego tomu. Tym, którym serial się nie spodobał, przyrzekam, że tom szósty będzie naprawdę ostatni.

– *Co sądzisz o krytykach?*

– W pełni podzielam opinię Woody Allena, którą wypowiedział jeden z jego bohaterów (brytyjski pisarz Maugham): „Nie trzeba brać krytyki poważnie. Moje pierwsze opowiadanie pewien znany krytyk doszczętnie skopał. Ja dumałem, dumałem i chciałem człowieka otruć. Potem pewnego dnia przeczytałem jeszcze raz opowiadanie i stwierdziłem, że miał rację. Ono było płytkie i źle zbudowane. Nigdy nie zapomniałem o tym przypadku i po latach, gdy niemiecka Luftwaffe bombardowała Londyn, oświetliłem dom tego krytyka."

– *Aż tak?*

– Lubię krytyków jako ludzi, zwłaszcza tych znanych mi osobiście, natomiast ich krytyka zupełnie do mnie nie dociera. Bo jeśli np. Marek Oramus pisze (o opowia-

daniu „Ostatni statek z planety Ziemia" – antologia „Wizje alternatywne"), że temat go nie rusza, ponieważ zna go, a i Dębski również, tylko z filmów – chodziło o przesyt dobrobytem – jest to trochę nie tak. Weźmy na przykład temat AIDS, którego, mam nadzieję, Oramus również nie zna z autopsji – czy to oznacza, że mamy o tym nie pisać?* Cała fantastyka zasadza się na rzeczach nierealnych – jeśli założymy, iż nie będziemy pisać o rzeczach, których nie znamy, to przejdziemy wprost do powieści realistycznych, współczesnych i skończymy z fantastyką. Wadą krytyki jest to, że często goni za sympatycznymi sformułowaniami – krytycy wyżywają się w uszczypliwościach i ładnych stylistycznie zdankach, którymi dowalają autorom, powodując się swoim chciejstwem.

Rzadko natomiast krytyka zajmuje się stroną komercyjną utworu – czy jest dobry pomysł, postacie, akcja itd. Zwykle traktuje się to szablonowo: pomysł znam (a jak wspomniałem, o nowe pomysły coraz trudniej i z tym się trzeba pogodzić), dalej: postacie schematyczne, wiedziałem, co będzie na końcu, czyli mi się nie podobało. Można i tak – ale czy naprawdę zażywamy jakichś potwornie egzystencjalnych dreszczy czytając np. Vonneguta? Oczywiście, czytam go z przyjemnością, ale nie widzę tam specjalnie odkrywczych rzeczy. On uświadamia pewne sprawy, ale niczego nowego nie odkrywa. Ja w ogóle twierdzę, że nie ma nic do odkrycia. W ciągu tych kilku tysięcy lat zajmowania się sobą człowiek odkrył wszystko, co było w człowieku do odkrycia. Dlatego też głębi psychologicznej w literaturze współczesnej raczej nie ma. Jeśli jest, to pozorna, symulowana przez formę. W fantastyce nie ma jej wcale i należy się tylko z tego cieszyć. Krytycy oczywiście twierdzą, że jest lub ma być odwrotnie, ale – wybacz – zupełnie im nie wierzę. Są to dla mnie ludzie całkowicie niewiarygodni, przekonani o swej absolutnej wszechwiedzy. Nie wierzę krytykom – tak mogłoby brzmieć moje pisarskie credo.

– *Uważasz zatem, że literatura (fantastyczna i nie tylko) może się czuć zwolniona z tradycyjnych pytań np. o sens życia?*

– Jestem typem tolerancyjnym i jeśli istnieje tzw. zapotrzebowanie na jakikolwiek nurt w literaturze – to niech istnieje. Nie wolno nikomu *ex cathedra* decydować o wartości i potrzebie publikacji tego czy owego. A w fantastyce, gatunku w sposób oczywisty rozrywkowym, najważniejsza jest sprawa proporcji. Najlepsza moim zdaniem powieść Zajdla „Limes inferior", której przypisuje się rozmaite podteksty społeczne i polityczne, miała jednak na tyle atrakcyjną fabułę, że zdołała unieść wszystkie te ważkie pytania, nic nie tracąc ze swej czytelniczej atrakcyjności. Proza Strugackich również była nasycona pytaniami o poważne sprawy, miała jednak taką formę, że można było książkę z przyjemnością przeczytać, a dopiero potem ewentualnie nad nią się zastanowić. Natomiast np. w „Ślimaku na zboczu" zwłaszcza w części „Las", która z pewnością zachwyciła krytyków, nie zachwycała czytelnika. Nastąpiło tam oczywiste zachwianie proporcji i rzecz stała się hermetyczna, zrozumiała tylko dla autorów.

– *Też jestem zwolennikiem równowagi między formą i treścią. Ale w twórczości twojej i innych autorów komercyjnych tej równowagi nie widać – tam jest tylko forma i akcja.*

– Moim zdaniem literatura (i w ogóle sztuka) oddziałuje na odbiorcę tylko w momencie kontaktu i chwilę potem. Nie słyszałem o takim przypadku, aby jakiś bandzior przeczytał wzruszającą opowieść o, dajmy na to, dziewczynce z zapałkami i przez to się poprawił.

– *To jest program literatury dydaktycznej, która się przeżyła – ale nie przeżyła się moralność. Czy można pozbawiać literaturę funkcji moralnej, możliwości budowania pewnych wzorców, które przez jednych będą oczywiście odrzucone, ale przez innych przyjęte?*

– Może nie budowania, co przypominania tych, które już istnieją. Nie potrafię podać nazwiska filozofa, intelektualisty czy myśliciela, który by ostatnio coś nowego o człowieku powiedział. Czytałem niedawno tom opowiadań Szałamowa, który spędził kilkadziesiąt lat na Syberii w sowieckich łagrach – zaczyna on od stwierdzenia, że nie wierzy w absolutnie żadną moc uzdrawiania literatury. Mówi to człowiek, który widział na własne oczy kilka tysięcy ludzkich tragedii. Podzielam jego zdanie – moralizowanie na siłę jest chybione. Ale, oczywiście, nie ustawajmy w wysiłkach. Dlatego zawsze w moich powieściach dobro zwycięża, a zło ginie. Jest to oczywiście trochę naiwne, ale czytelnik tak lubi (zasada happy endu), no i jakieś wzorce moralne z tego wynikają. I jeszcze jedna uwaga: ci, co zarzucają komercyjnej literaturze wszystko, co zarzucić się da, niech przeanalizują fenomen Myszki Miki, której filmy żadnych treści nie niosą, a mają miliardy widzów.

– *Masz w dorobku jedną powieść fantasy, „Śmierć magów z Yara", która została różnie przyjęta, mnie się nawet podobała. Czy w związku z tym – jako człowiek znający ten gatunek – nie obawiasz się, że przeżywająca w tej chwili gwałtowny okres popularności fantasy nie zagrozi typowej literaturze fantastyczno-sensacyjnej, który reprezentuje twój serial o Owenie Yeatsie?*

– „Śmierć magów z Yara" nie jest klasyczną powieścią fantasy, ma wyraźne odnośniki i scenografię. Będąc autorem komercyjnym czy galanteryjnym (w dobrym znaczeniu tego słowa), usiłowałem być na bieżąco z różnymi modami. Gdy Polska zaczęła się zachłystywać różnymi pozycjami z tego nurtu, to szybko napisałem swoją. Trochę się niestety odleżała w wydawnictwie i w efekcie spóźniła. Zachłystujemy się fantasy, bo u nas tego nie było, poza tym w naszym kręgu kulturowym brakuje legend z dzieciństwa i młodości. Przeskakiwaliśmy po prostu z bajek o Czerwonym Kapturku od razu do „Łyska z pokładu Idy". Dla autorów jest to furtka, droga ucieczki od braku pomysłów na kosmiczną, klasyczną SF.

Świat fantasy otwiera nowe możliwości i to niewątpliwie zachęca autorów. Ale już w tej chwili widać, że koło się zamyka – są to historie coraz bardziej wtórne, suche i przykurzone. Myślę, że albo się odkryje coś nowego, jakiś mały nurcik dotąd nie eksploatowany, w który się wszyscy rzucą, albo nastąpi powrót do hard SF. W pewnym sensie przypisuję sobie „odkrycie" dla polskiego czytelnika tego typu powieści sensacyjno-fantastycznej. Oprócz „Pozytronowego detektywa" na dobrą sprawę tego rodzaju pozycji nie wydawano. Jest to jakby moja własna nisza ekologiczna, którą sam odkryłem i sam wypełniłem. Czas przejść do czegoś nowego.

– *Powiedz, o czym będą te powieści napisane, a jeszcze nie opublikowane?*

– „Krótki lot motyla bojowego" jest powieścią fantastyczną o wojnie telepatów, z wyraźnym wątkiem sensacyjnym, z zagadką do rozwiązania. Jest tam zbrodnia, jest i kara. „Piekło dobrej magii" w zamyśle miało być łagodną, stonowaną powieścią o życiu współczesnego człowieka, przerzuconego do innego, dosyć dziwnego świata. Sporo magii (tej dobrej), zero smoków – sądzę, że gdybym ją opublikował pod pseudonimem, byłyby trudności z odkryciem prawdziwego autora. Po zakończeniu cyklu o Owenie mam zamiar zabrać się za rzecz, która będzie chyba dziełem mojego życia – tak mi się przynajmniej w tej chwili wydaje. Sądzę, że jest szansa na powieść, jakiej nikt jeszcze nie napisał. Będzie miała zupełnie odmienną strukturę, powinno się to znakomicie czytać i jednocześnie być czymś innym. Czy tym razem zaspokoję żądzę głębi krytyków i jednocześnie wymagania czytelników – nie wiem, ale obiecuję dołożyć starań.

– *A co z formami krótszymi?*

– Zarzuciłem jakiś czas temu pisanie opowiadań, ponieważ nie bardzo było gdzie je publikować – trudno mi zaspokoić gusta redaktorów „Fantastyki" i „Fenixa".

– *Horacy napisał o swojej twórczości „Non omnis moriar", nie wszystek umrę. Czy twoje pisarstwo przetrwa próbę czasu, czy za dziesięć, dwadzieścia lat będziesz nadal czytany?*

– Myślę, że nie wejdę do historii literatury polskiej, tym bardziej do europejskiej czy światowej. Być może – i do tego dążę – wejdę do jakiejś encyklopedii pod hasłem „najpłodniejsi autorzy". Najbardziej urządzałaby mnie sytuacja, gdyby wydawcy leżeli na moich schodach, błagając o kolejną nową rzecz, krytycy piali za każdym razem o odświeżaniu gatunku, o odnowie i czym tam jeszcze, a czytelnicy wyrywali w księgarniach książki razem z półkami, ale wygląda na to, że wszystkich koniecznych ku temu warunków nie spełniam. Zadowalam się na razie pochlebnymi opiniami czytelników, nawet tych, których krytycy nazywają „niewyrobionymi". Oni wszyscy, wyrobieni i nie – są najważniejsi.

Rozmawiał **Jacek Inglot**

* *Dębski udaje, że mnie nie zrozumiał. Dobrobyt nie jest naszym problemem; AIDS, niestety, tak. (przyp. Marka Oramusa)*

Wszyscy za jednego

Niezmiernie rzadko zdarzają się książki, które rzetelnie spełniają swe obietnice. „Smok i jerzy" Gordona Dicksona jest jedną z nich. Z góry wiadomo, że będą rycerze, zamki, smoki, magia i inne znane rekwizyty fantasy, więc człowiek zajęty mógłby sobie oszczędzić lektury następnego produkcyjniaka z tej dziedziny.

A jednak powieść Gordona dostarcza nadmiernej satysfakcji w stosunku do tak sformułowanych oczekiwań. Po pierwsze dlatego, że nie jest ponura jak sama śmierć; autor docenia wartość humoru i potrafi go tworzyć zarówno w dialogach (świetna rozmowa ze średniowiecznym rycerzem na temat jego numeru polisy ubezpieczeniowej), jak i przez zbitki sytuacyjne. Młody naukowiec Jim zostaje przeniesiony do Anglii magicznej i co się zowie średniowiecznej, a uwolnienie ukochanej Angie wymaga wyruszenia przeciw ciemnym mocom. Po drodze trzeba zdobyć sojuszników, ale smokowi, w którego został wcielony Jim, przychodzi to bez trudu. Jest chętny pomagać każdemu w szlachetnej sprawie i to zostaje docenione.

Myślę, że Dickson zamierzył „Smoka i jerzego" jako pastisz fantasy, ale w miarę pisania zrozumiał, że kroi mu się rzecz poważniejsza. Nie eliminując zatem humoru dopuścił do głosu motywy głębsze. Świat, w którym znalazł się Jim, stawia o wiele większe wymagania żyjącym tam istotom niż nasza rzeczywistość XX wieku. Kto w nim żyje, musi się wykazać przydatnością – także dla innych. Nad całością czuwa Wydział Kontroli, dbający by w zmaganiach między siłami światła i ciemności przestrzegano reguł.

Wszystko kończy się dobrze: Jim odzyskał Angie, złe moce zostały poskromione, między smokami i jerzymi (jerzy to w smoczym języku synonim człowieka) rysuje się perspektywa pojednania, a czytelnik ma poczucie, że wysłuchał wartościowej i pouczającej opowieści.

Predator

Gordon R. Dickson: *Smok i jerzy*. Tłum. Izabella i Andrzej Śluzkowie. Amber 1991. Cena 15 000 zł. Fantasy.

Szatańska Arkadia

Czytając po raz kolejny „Władcę much" doszedłem do wniosku, że Golding pragnął zabrać głos w dyskusji między zwolennikami Jana Jakuba Rousseau, żywiącymi przekonanie o dobroczynnym wpływie natury na człowieka, a uczniami Freuda, twierdzącymi, że wystarczy zdjąć z umysłu uwarunkowania narzucone przez kulturę, a dopiero wtedy zobaczymy, do czego istota ludzka jest naprawdę zdolna.

Na bezludnej wyspie ląduje awaryjnie grupa angielskich chłopców – zostali ewakuowani ze swojej ekskluzywnej prywatnej szkoły na skutek wybuchu trzeciej wojny światowej. Pozbawieni opieki dorosłych, rządzą się sami, początkowo na modłę brytyjską – demokratycznie wybierają sobie wodza, rozsądnego Ralfa, którego doradcą zostaje krótkowzroczny intelektualista, Prosiaczek.

Niezmącona z początku Arkadia szybko ulega zburzeniu – chłopcy zaczynają polować i pierwsza własnoręcznie zabita dzika świnia wyzwala w nich atawistyczne instynkty. Na dodatek wpadają w panikę na wieść o bestii, która rzekomo usadowiła się w środku wyspy. W sytuacji zagrożenia władzę nad chłopięcą społecznością obejmują myśliwi, dawniej członkowie chóru kościelnego. Po zwierzętach przychodzi czas na ludzi. Ich wódz, Jack, rozpoczyna polowanie na prawowitego przywódcę Ralfa, zaś Prosiaczka zabija zrzucona nań skała.

Powieść Goldinga to właściwie moralitet opowiadający o społeczności pozbawionej nagle kulturowego kontekstu. Rezultat tego symbolizują tytułowy Władca Much (jedno z biblijnych imion Szatana) oraz Bestia (*Jestem częścią was* – objawia jednemu z chłopców). Tym samym potwierdza odwieczny dualizm dobra i zła, który manichejczycy przypisywali naszemu światu. Człowiek raz wyzuty ze swej kultury może się tylko staczać w otchłań freudowskiego Id, na dnie którego jest Piekło, gdzie czeka jego Władca.

Karburator

William Golding: *Władca much*. Tłum. Wacław Niepokólczycki. Czytelnik 1992. Wyd. III.

Wiara i optymizm

Isaac Asimov to już człowiek-legenda. Debiutował w 1939 roku, do tej pory opublikował blisko 500 książek. Jest też znanym prezenterem tv, popularyzatorem, wreszcie wydawcą magazynu SF. Z jego powieści ciepło wspominam „Pozytronowego detektywa" czy „Koniec wieczności", ale już cykl „Fundacja" mnie znudził. Sentyment spowodował, że sięgnąłem po powieść „Nemezis", hard SF z 1989 roku.

Wydaje się, że dla Asimova czas stanął w miejscu. Wciąż pisze tak, jak to czynił dla „Astounding" Campbella; sam przyznaje zresztą, że zwracanie uwagi na stylistykę jest mu obce. Pomysł książki to same klasyczne tematy: eksploracja kosmosu, przeludniona Ziemia i zbuntowane osiedla w przestrzeni, wynalazek hipernapędu i podróż do nowo odkrytej gwiazdy Nemezis. Zmierza ona niczym zemsta bogów ku naszemu układowi. Prócz tego mamy jeszcze pierwszy kontakt, który następuje dzięki nie przystosowanej do życia dziewczynce.

Asimov pomimo swoich ponad 70 lat, spełniających się czarnych przepowiedni futurologów (ekologiczna ruina, kryzys gospodarczy, głód, przeludnienie) i odejścia od niezłomnej wiary w naukę – nadal promieniuje optymizmem. Snuje historyjki gloryfikujące rozum ludzki i naukę, która wybawi nas od wszelkich plag XX wieku. Kto wie, może to właśnie optymizm Asimova sprawia, że wciąż jest chętnie czytany?

Tłumacz słusznie używa w tekście polskiej formy Nemezis. Czemu więc na okładce pozostawiono angielskie *Nemesis?*

Denuncjator

Isaac Asimov: *Nemesis*. Tłum. Jędrzej Polak. Kantor Wydawniczy SAWW 1991.

Magia komunizmu

Krótką powieść „Gangsterski" Tomasza Matkowskiego wypada zaliczyć do gatunku fantasy, gdyż magia pełni w niej kluczową rolę. Dwaj wykwalifikowani gangsterzy zachodni otrzymują do wykonania proste zadanie w Warszawie, która – jak wiadomo – wraz z resztą Polski jest obszarem zaklętym. Wszelkie plany, więc i przestępcze, biorą tu w łeb, gdyż żadne cywilizacyjne zdobycze nie działają. Zatelefonować, wynająć pokój w hotelu, użyć walkie-talkie (zaraz siadają baterie) przekracza możliwości zwykłego śmiertelnika.

Zapewne przedstawiciele Zachodu w ten sposób nas widzą: zaczarowany, spętany niemożnością kraj. Tu nawet Europejczyk musi ulec przeciwnościom. Matkowski chcąc sporządzić prozę na import (książka ukazała się najpierw we Francji) serwilistycznie opowiedział się za słusznością tego popularnego stereotypu. Całą swą inwencję skierował na to, by go wzmocnić i doprowadzić do granic absurdu. Tak pomyślany tekst odniósł we Francji sukces, jeśli wierzyć cytatom z tamtejszej prasy. Ale książka ukazała się także w Polsce. Jak można się było domyślać, panująca tu magia odarła ją bezlitośnie z uzyskanego nad Sekwaną nimbu.

Widać więc, że „Gangsterski" został wyposażony w bardzo szczątkową fabułę, służącą tylko za pretekst mniej lub bardziej udanym gagom. Niestety, większość z nich, oparta na inwersji (służąca sztorcuje panią, kelner – konsumenta, alarm wywołuje tylko znudzenie itp.), dla Polaka jest nawet nie drugiej świeżości. Są to blade repliki tego, co naprawdę przynosi życie. W miarę nabierania przez powieść objętości coraz bardziej widoczny jest wysiłek autora, by utrzymać się w konwencji.

Także napisane to zostało niespecjalnie: rwana akcja, klejone fragmenty, ciągnięcie pewnych scen na siłę nie da się usprawiedliwić tym, że podstawą utworu był scenariusz filmowy. Matkowski nie chciał zauważyć, że niemożności totalnej towarzyszy w komunizmie wszechmożliwość dla nielicznych, którzy znają odpowiednie zaklęcia.

Kunktator

Tomasz Matkowski: *Gangsterski*. Tłum. Dorota Szuszkiewicz. Tenten 1991.

Zwyczajny Volkyan

Kiedy na okładce książki widzę nagą dziewczynę skutą łańcuchami, a dookoła węże i potwory różnego kalibru, zwykle nie mam ochoty zaglądać do środka. Tym razem przyciągnęło mnie nazwisko Tanith Lee, angielskiej pisarki znanej z krótkich form zamieszczanych na tych łamach. Po przeczytaniu stwierdziłam, że „Czarnoksiężnikowi z Volkyanu" daleko do arcydzieła, ale tandeta okładki znacznie tę powieść krzywdzi.

Jest to ten rodzaj fantasy, który najbardziej przypomina baśń; znajdziemy tu odwołania do magii i religii, ludową bohaterkę i kostium ludowej przypowieści, łącznie z wyeksponowanym na końcu morałem. W związku z tym i bohaterowie pomyślani są prosto i jednoznacznie. Dwa równoległe wątki powieści, opisujące losy czarnego i białego charakteru w pewnym momencie krzyżują się, by dać z góry przewidziany finał; od początku spodziewamy się, że piękna niewolnica Shaina pokona złego Kernika, działa wszak w imię miłości i dobra, a on jest wcieleniem mrocznego boga Takerny. Nic nas tu nie może zaskoczyć, ale i nie ma nas zaskakiwać.

„Czarnoksiężnik..." nie zadowoli ani czytelnika lubiącego prozę pełną napięcia i szybkich zwrotów akcji, ani też konesera fantastyki. Daleko mu do wyrafinowania Dicka, celności Le Guin czy choćby plastycznych wizji Tolkiena. Powstaje zatem pytanie: czy w ogóle warto ją komuś polecić? Myślę, że tak. Wszystkim tym, którzy szukają w literaturze eskapizmu, a przed rzeczywistością lubią się chronić w prostotę baśni. Również młodzieży, która zanim skonfrontuje swoje „ja" ze światem, potrzebuje, jak wiadomo, jednoznacznych wzorców i posągowych postaci. Czy w takim razie będzie to aż tak niewielu czytelników?

Grażyna Lasoń-Kochańska

Tanith Lee: *Czarnoksiężnik z Volkyanu*. Tłum. Danuta Górska. Alfa 1991. Biblioteka Fantastyki nr 22.

Równi bogom

Jeszcze dwa lata temu nikt nie powiedziałby u nas złego słowa o fantastyce anglojęzycznej. Wystarczyło jednak trochę więcej przekładów, aby opinia ta wzięła w łeb. Okazało się, że Asimov pisze wykłady dla pięcioklasistów, Kuttner wali teksty zrozumiałe tylko przez Murzynów, Le Guin też zdarzają się produkcyjniaki, a Dick jest świetny w porywach i kopie do jednej bramki. Z tym większą ostrożnością zabrałem się do „Szklanej wieży" Silverberga, wydanej przez enigmatyczną oficynę E.I.A., o której wiadomo jedynie, że jest i ma na koncie trzy książki SF.

Roberta Silverberga znaliśmy dotąd z dwóch powieści, tyluż mikropowieści i kilku opowiadań, były to jednak rzeczy nagradzane: „Skrzydła nocy" (Hugo), „Pasażerowie", „Dobre wieści z Watykanu" i „Pożeglować do Bizancjum" (wszystkie Nebula). „Człowieka w labiryncie" wspominam z łezką w oku, a powieścią „W dół, do ziemi" rozpoczęła cykl książek Silverberga oficyna Rebis. Ukazała się tam już powieść „Ciernie", w przygotowaniu „Czas przemian" (Nebula) i „Umierając wewnątrz".

Krytycy i historycy gatunku są zgodni, że dopiero od udziału w „Niebezpiecznych wizjach" Ellisona Silverberg stał się dojrzałym pisarzem SF. Wszystkie wymienione pozycje zostały napisane po 1967 roku. Cechą Silverberga jest doskonałe opanowanie warsztatu literackiego i różnorodność poruszanej tematyki. Pomysłami sypie na lewo i prawo, nie powtarza się, imponuje oryginalnością spojrzenia.

„Szklana wieża" z 1970 roku poprzedza większość najsłynniejszych książek Silverberga. Autor podejmuje temat eksperymentów genetycznych, odpowiedzialności za swoje czyny i granic ludzkich możliwości. Tytułowa szklana wieża jest dziełem życia i obsesją najbogatszego człowieka na Ziemi – Simeona Kruga, kilkukilometrowej wysokości budowlą, pomnikiem jego geniuszu. Ma posłużyć skomunikowaniu się z odległą mgławicą, skąd odebrano tajemnicze sygnały. Do budowy wieży Krug wyprodukował w genetycznych laboratoriach trzy rodzaje sztucznych ludzi o zróżnicowanej inteligencji i funkcjach.

Obdarzając robota (?) świadomością i wolną wolą można spodziewać się buntu, ale Silverberg nie poszedł na łatwiznę i nie zaserwował zburzenia szklanej Bastylii, lecz skłócił ze sobą androidy. Część z nich usiłuje dostać się do ziemskiego parlamentu i walczyć o równouprawnienie, pozostali tworzą kult swego twórcy – Kruga. Budują tajne świątynie i tworzą cały rytuał, gdzie litania składa się z symboli aminokwasów tworzących podstawowe kombinacje RNA. Krug żyje w nieświadomości tej czci, zaś androidy wierzą, że przyjdzie dzień, gdy twórca zabroni im niewolniczej pracy.

Krug dowiaduje się oczywiście, że jest przedmiotem kultu, wpada we wściekłość i beztrosko, z ciekawości raczej dokonuje zabiegu wymiany świadomości ze swoim zaufanym androidem Watchmanem, który okazuje się religijnym przywódcą robotów. Jest to szok dla kapłana – poznaje myśli swego Boga, który traktuje swe dzieci jak maszyny i narzędzia do realizacji swoich mrzonek.

Marzenia Kruga okażą się zamkiem na piasku, szklana wieża runie, na Ziemi wybuchną zamieszki, Watchman zostanie unicestwiony w kabinie teleportacyjnej, a Krug uniesie się w niebo w statku kosmicznym udającym się w nieznane. Tchnie to wszystko tanią symboliką, ale pomysł miał Silverberg wyśmienity.

Historia, jak fortuna, kołem się toczy – ludzkość tak urosła w pychę, że na wzór i podobieństwo swoje stworzyła androidy, od początku dzieląc je na kasty i tracąc dla nich zainteresowanie. Roboty reagują nienawiścią – buntują się i dekadencka cywilizacja człowieka musi ulec. Łatwo można sobie wyobrazić, że historia jeszcze raz się powtórzy, ze względu na brak płodności i skłócenie androidów.

W powieści zawiodło jednak wykonanie – brakuje typowej dla Silverberga plastyczności w opisie zachowań robociej społeczności. Marginalnie potraktowany jest też pysznie zapowiadający się kawałek o konflikcie pomiędzy androidami narodzonymi w symbolicznej kadzi a ludźmi narodzonymi z probówki, mającymi kompleks niższości i odgrywającymi się za to na dzieciach Kruga. Cała powieść pozostawiła wrażenie niedokończonej i niepełnej, ale może to wina wydawcy, który, jak słyszałem, zdecydował się na tłumaczenie pośrednie z języka francuskiego.

Wojtek Sedeńko

Robert Silverberg: *Szklana wieża.* Tłum. Robert Romaszko. E.I.A. Warszawa 1991.

Jak kotołak z konopi

Dwa słowa o okładce książki: jest tragiczna. A w środku mamy pewien świat.

Ale może najpierw o tym, co najbardziej w powieści szwankuje. Przede wszystkim – język. Autor nie potrafił zdecydować się, czy dialogi mają być stylizowane, czy nie. Osobnicy, którym dane było na kartach powieści przemówić, pilnie przestawiają szyk wyrazów w budowanych przez siebie zdaniach, by za chwilę o tym zapomnieć. Wraz z owym zapomnieniem spływa na nich dar giętkości języka i dialogi naprawdę da się czytać bez krzywego uśmieszku na gębie.

Warto także poprosić autora, by bawił czytelnika w sposób zamierzony, nie zaś przez przypadek. *Ile razy był ssany?* – pyta z powagą tytułowy bohater myśląc – zgaduję – nie o seksie ani macierzyństwie, ale o tym, co robi wampir z człowiekiem. *Był tam w niej całym sobą i trzepotał się niczym ptak tonący w głębinach oszalałego żywiołu* – język polski nie wszystko może wytrzymać, co polecam łaskawej uwadze autorów pragnących, by bohater na babie trzepotał.

Nie przepadam za obfitością stosunków intymnych na kartach powieści, przyznać jednak muszę, iż autor serwuje dość ładne opisy zbliżeń, może tylko trochę zbyt liczne, jak na rozmiary powieści.

No, a co w książce dobre? Napomknąłem na wstępie: właśnie – świat.

Nie jest to świat jak u Andre Norton – z czego wynika, że musi być całkiem udany. Taki jest. Wcale nie wygląda na atrapę. Jest to świat oparty na pomyśle. Autor nie dorósł jeszcze do tego, by wstydzić się swoich pomysłów, stać go na nie i wali je śmiało, miast chować ukradkiem, by broń Boże nie powiedział ktoś światły: literatura pomysłu.

Jest w tym świecie całe mnóstwo wilkołaków, strzyg i wampirów (zwanych też gdzieniegdzie wąpierzami; tam mianowicie, gdzie autor pamięta, że miał stylizować język), główny bohater to kotołak, wokół żyją sobie ludzie – no i dobrze. Świat jest wcale oryginalny i niegłupio, wiarygodnie przedstawiony. Gratuluję, uchyliwszy kapelusza; to bodaj najciekawszy spośród światów, zaproponowanych dotąd przez rodzimych autorów fantasy.

Wart świata jest bohater, tylko troszkę stylizacja wypowiedzi mu szkodzi. Ale tak ogólnie – da się polubić. Ma jakieś rozterki wewnętrzne (kto ich nie ma?), ale rzadko kiedy pcha się z nimi naprawdę nachalnie.

Autor na koniec przeraził się nagle, że wyszła mu uczciwa, fajna książka na miarę możliwości. Postanowił wzbogacić ją do oporu. I tak oto na dwie strony przed finałem wyjawia, że kotołak zmienił się w elfa i odejdzie w nieznane, dając początek wielkiej przemianie świata złego w świat dobry. Niesłychana głębia tej przemiany poraziła mój rozum, gdyż rzecz wynika z wcześniejszych trzystu stron tak samo jak pojawienie się Kaczora Donalda. Śmiertelna powaga, z jaką prezentuje się ów elf w zakończeniu, skłania do rozważań, czy aby nie błądzę polecając – mimo wszystko – tę książkę miłośnikom fantasy. Autor dość solidnie odwalił robotę, tylko myślenie o wyższości dobra nad złem wyraźnie mu szkodzi. Że jemu zresztą – to mały ból. Gorzej, że i mojemu kumplowi – kotołakowi Ksinowi.

Witold Chmielecki

Konrad T. Lewandowski: *Ksin.* Orbita, Warszawa 1991.

Inny, czyli gorszy

Po trylogii „Ziemiomorze" i cyklu haińskim polscy czytelnicy otrzymują kolejną książkę Ursuli Le Guin „Słowo las znaczy świat". Jest to tym razem rzecz napisana na początku lat siedemdziesiątych, ale starsze książki tej autorki mają u nas większe powodzenie.

Jak zwykle w przypadku Le Guin mamy do czynienia z dobrą literaturą, choć temat – zderzenie dwóch obcych cywilizacji – jest dziś znacznie bardziej wyświechtany niż dwadzieścia lat temu. Prezentowany w powieści wizerunek Obcego nie staje się groteskowy, jak w przypadku większości książek SF. Athsheanin z odkrytego przez Ziemian Świata 41 jest niewątpliwie najbardziej obcym Obcym w twórczości pisarki. Jego zielone futro i misiowate kształty służą nie tylko ukazaniu absolutnej inności, ale i ludzkiej reakcji na tę inność. Koloniści z Ziemi nie potrafią zauważyć w nim ani przyjaciela, ani wroga, a jedynie tanią siłę roboczą. Założona z góry dominacja przeradza się w rasizm, ten w agresję i gwałt. Nawet wtedy, gdy „stworzonka" zmuszone są w końcu wystąpić przeciw człowiekowi, nie widzi on w nich godnego przeciwnika.

Gdy przedstawiciele Ligi Światów uzmysławiają Ziemianom przyczyny buntu, jest już za późno. Zło i agresja wkraczają na stałe w system zachowań nie znających dotąd przemocy Athshean. *Nie ma sensu teraz udawać, że nie wiemy, jak zabijać się nawzajem* – mówi jeden z nich. *Nie można rzeczy istniejących w świecie próbować z powrotem wepchnąć do snu.*

Podobnie jak w „Lewej ręce ciemności" Le Guin dotyka samej istoty zrozumienia Obcych. W powieści umiejętność tę posiada tylko miękki i wrażliwy Ljubow. Reszta kolonistów to zespół kojarzący się z ochotnikami wysłanymi do Wietnamu. Ich myślenie cechuje prostolinijna, żelazna logika, wtłoczona w umysł żołnierza-rasisty. Ci stuprocentowi mężczyźni zostają w końcu zwyciężeni i upokorzeni przez matriarchalną, kobiecą cywilizację, opierającą się na mądrości starych kobiet. Jeszcze raz Le Guin powraca do pytania zadanego choćby w „Lewej ręce ciemności": czy dominacja pierwiastka męskiego w świecie jest na pewno słuszna i zawsze właściwa? W powieści „Słowo las znaczy świat" zło przenika w ciepły, kobiecy świat właśnie za pośrednictwem mężczyzn.

Cywilizacja tubylców jest, jak zwykle u pisarki, społeczeństwem prawdziwym, trójwymiarowym. Opiera się na systemie klanów, które żyją wśród lasów, całkowicie pokrywających planetę. W miejscowym języku „las" znaczy „świat" i to właśnie świat zostaje naruszony z chwilą pojawienia się człowieka. Las to element obsesyjnie wręcz powracający w twórczości Le Guin, która tym razem czyni go duszą athsheańskiego narodu. Wycinanie lasu zatem to najgłębsza, brutalna ingerencja w obce życie, w inność i chęć przykrojenia tej inności na swoją miarę.

Obcość, a także trudność zrozumienia Obcych, wynikającą z bariery kulturowej i cywilizacyjnej, Le Guin najlepiej pokazuje w opisach snów tubylców. Ich umysły nie podlegają ziemskiemu rytmowi snu i jawy, ale w kontrolowanym śnie tłumaczą rzeczywistość, która była i która nadejdzie.

Le Guin uchodzi w świecie fantastyki za mistrzynię portretu psychologicznego. Nie zawodzi i tym razem, choć kapitan Davidson, któremu poświęca najwięcej uwagi, jest bohaterem negatywnym. W świetnie prowadzonym monologu wewnętrznym autorka demaskuje mechanizm myślenia rasisty, człowieka absolutnie niezdolnego do wyjścia poza ciasne ramy swego rozumowania.

Nie mamy więc tym razem samotnego bohatera, od którego wyborów zależy wszystko, ani typowego dla pisarki świata z całym bogactwem i znaczeniem detali ten świat budujących. Świat nr 41 jest tylko jednym z wielu miejsc, gdzie rozgrywa się dramat nietolerancji, wyzysku i krzywdy wyrządzonej za inność.

Grażyna Lasoń-Kochańska

Ursula K. Le Guin: *Słowo las znaczy świat*. Tłum. Agnieszka Sylwanowicz. CIA-Books / Fenix. Warszawa – Poznań 1991

Tylko dla obłąkanych

Jeśli na powieści Mirosława P. Jabłońskiego zakończy się historia polskiej SF, nie będę miał pretensji do losu. „Duch czasu" to niewątpliwie godne uwieńczenie – ostatni, szalony skowyt na gruzach świetnego niegdyś imperium.

Wielu pisarzy, czując w kościach przemijanie epoki, ma ambicję stworzyć „księgę ksiąg", dzieło będące summą danego czasu, jego ostatecznym osądem i rozliczeniem – jak np. „Finnegans Wake" Joyce'a. Podobnie desperacką próbą wydaje mi się powieść Jabłońskiego. Z Joyce'em łączy go korzystanie z techniki „strumienia świadomości" – tu proszę nie wpadać w panikę, w znacznie skromniejszym i o wiele strawniejszym dla czytelnika wymiarze.

Czytając powyższe dzieło myślałem chwilami, że gdyby markiz de Sade żył teraz i zajmował się SF, to z pewnością prędzej czy później spłodziłby dzieło bodaj czy nie bliźniaczo podobne do książki Jabłońskiego. Prócz wymiaru ewidentnie libertyńskiego „Duch czasu" jest też postmodernistyczny, poprzez ostentacyjne odwołanie się do – wątpliwego, jak się okazuje – historyczno-kulturowego dorobku ludzkości.

Akcja jest osadzona w niedalekiej a szczęśliwej przyszłości, kiedy człowiek stanie się jednym z czternastu lub trzynastu ocalałych gatunków. Z warstwy ozonowej zostały wspomnienia i glob nasz skwiercząc pogrąża się w cieplnym udarze. Bardzo to martwi bohatera, Roberta Crane, ponieważ ma bezpośredni związek z zagładą białych niedźwiedzi – thalarctos maritimus – jedynych istot, których losem czuje się naprawdę przejęty. Los ten jest niepewny z powodu topnienia lodów polarnych. Postanawia zwrócić oczy świata na ten problem, odbywając publiczny stosunek z samicą zagrożonego gatunku.

Nim jednak do tego dojdzie, za sprawą tytułowego Ducha Czasu (*der Zeitgeist*) wciela się w kolejnych historycznych Robertów (np. w rosyjskiego kupca, rzymskiego legionistę czy mężnego esesmana) i odbywa wędrówkę przez czas i przestrzeń, patrząc świeżym okiem na mniej lub bardziej istotne punkty naszych ludzkich dziejów. I odkrywa ich absolutną, wariacką absurdalność.

W ujęciu Jabłońskiego historia świata to ciąg groteskowych szaleństw, które nigdy nie doprowadziły do niczego dobrego. Wszystko jest krwawym, obłąkanym koszmarem, kreowanym przez ludzką chciwość, okrucieństwo i żądzę, dobrze doprawione głupotą lub jawnym nonsensem. I tak np. chrześcijaństwo jest wynikiem działania rzymskich tajnych służb, których Jezus był nieudolnym agentem (dlatego Piłat tak niechętnie przystał na jego egzekucję). Podobnie surowo zostaje oceniona historia Polski jako kraju utracjuszy i maniakalnych powstańców. Zdobycie Meksyku to wyprawa spragnionych złota i krwi łajdaków świeckich i duchownych. Podobnie szyderczy jest „Duch czasu" względem innych wyznań, praktycznie je kwestionując. Wydaje się, że jedynym wyjściem jest kościół ateistyczno-ekologiczny, którego mesjaszem ogłasza się Crane – wspomniany wyżej zoofilny stosunek z samicą *thalarctos maritimus* ma być aktem uświęcającym jego powstanie.

Tu akurat objawia się przewrotna logika, którą zdaje się kierować Duch Czasu – wszak historiozoficzny ciąg absurdów może się skończyć jedynie absurdem ostatecznym i totalnym.

Osobną sprawą jest styl narracji, wyraźnie nawiązujący do technik postmodernistycznych – ma ona formę paranoicznej rozmowy grupy przyjaciół, obrońców środowiska i wyznawców przyszłego Crane'owego kościoła, która za sprawą Ducha Czasu drąży zda się wszystkie możliwe tematy, o jakich warto jeszcze rozmawiać. To w ich trakcie Robert ulega swym historiozoficznym przekształceniom. Wbrew pozorom nie jest to jednak bełkot – z książki bucha strumień barokowej narracji, autor z rzadką (w SF zwłaszcza) swobodą porusza się po problematyce religijnej, historycznej, matematycznej, biologicznej, filozoficznej a nawet fizjologicznej, jako że Robert intensywnie ćwiczy przed wspomnianym już aktem zoofilii.

Zełgałbym, gdybym rzekł, że jest to książka dla każdego. „Duch czasu" to lektura dla czytelnika o wyrobionym smaku literackim. Osobnikom przeżywającym największe wzruszenia przy porykujących, czkających i szlachtujących się bohaterach fantasy typu Kane czy Conan serdecznie książkę Jabłońskiego odradzam, padną bowiem przy trzecim zdaniu, puszczając dym uszami. A cała reszta – no cóż, powinna wiedzieć, iż jest to *teatr magiczny – tylko dla obłąkanych – wejście kosztuje rozum* (Herman Hesse, „Wilk stepowy").

Jacek Inglot

Mirosław P. Jabłoński: *Duch czasu*. Białowieża 1991.

Polska początku lat dziewięćdziesiątych to kraj zalany towarami z importu: spirytusem, papierosami, artykułami spożywczymi. Także tłumaczeniami. W dobie kryzysu literatury zasypują nas książki, znowu głównie obcego pochodzenia. Typowy wydawca chce zarobić szybko, drukuje więc byle co – i często byle jak, oszczędza na redakcji, korekcie, konsultantach itp. Interesuje go wyłącznie doraźna sprzedaż tytułu i ani dba o dalekosiężne skutki swej polityki. Do produkcji tej masówki angażuje słabych tłumaczy (bo ci dobrzy dawno są rozchwytani) lub wręcz kreuje nowych spośród ludzi, którzy winni jak najdalej trzymać się od tego zajęcia. Tłumacze ci wiedzą, że koniunktura nie potrwa wiecznie, pracują szybko i byle jak, często w ogóle nie znają języka. Cierpią na tym przekładani autorzy, cierpią naiwni czytelnicy, cierpi literatura. Tego typu praktyki jako żywo przypominają podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Omawiamy je na przykładzie głośnych powieści Rogera Zelaznego „Pan światła" i Carla Sagana „Kontakt" oraz serii horrorów Phantom Pressu. (MO)

Piotr W. Cholewa

Jak zarżnąć powieść

Dlaczego książka SF, powszechnie uznawana za wybitną (w USA i Wielkiej Brytanii, gdzie dość jest dobrej fantastyki, by czytelnicy mieli skalę porównawczą), w Polsce nie została zauważona? Zacząłem rozważać to zagadnienie, gdy po wydaniu „Pana światła" (*Lord of Light*) Rogera Zelaznego nie dotarł do mnie chór zachwyconych opinii. Sam czytałem tę powieść kilka lat temu w oryginale i wywarła na mnie naprawdę duże wrażenie. Kiedy jednak przekonałem się, że na naszym rynku nie zrobiła kariery, a w wypowiedziach czytelników trudno było doszukać się entuzjazmu, solidnie wziąłem się do analizy.

Powieść mówi o planecie, gdzie ziemscy koloniści, korzystając z bogatego zaplecza technicznego, praktycznie urzeczywistnili religię hinduistyczną, razem z reinkarnacją, bogami i wszelkimi tego typu rekwizytami. Dokonano podziału na bogów i wiernych, przy czym bogowie usiłują go utrzymać, zaś wierni – nie aspirując do boskości – próbują przejąć niektóre elementy techniki. Pomaga im Sam, niegdyś jeden z bogów, potem Budda, wreszcie przywódca rebelii.

Mogą zaistnieć trzy powody niedostrzeżenia wybitnej powieści. Po pierwsze: rynek. Ostatnio wychodzi sporo tytułów SF i trudno oczekiwać, by każda propozycja stała się bestsellerem. Zwłaszcza że przywaleni górą książek nabywcy nie bardzo wiedzą, co brać. „Fantastyka" i „Fenix" książki nie zauważyły. Może przyczyny niepowodzenia „Pana światła" znajdują się między okładkami powieści? Przeczytałem ją zatem po raz drugi i po polsku.

A zatem drugi z możliwych powodów: wydawca. Trzeba przyznać, że firma Atlantis zrobiła wiele, by obrzydzić swój produkt. Nieprzyjemny system rozpoczynania kolejnych rozdziałów od samego szczytu strony psuje wygląd, sprawiając wrażenie posuniętej do absurdu oszczędności papieru. Duża liczba literówek, które zmieniają sens zdania (np. *tom* zamiast *ton*), czy utrudniają zrozumienie (*dokryty* zamiast *doktryny*), a także pojawiające się tu i tam, często w samym środku dialogu, zwiększone odstępy między akapitami (sugerujące „zmianę sceny" czy może przeskok czasowy) skutecznie rozbijają płynność narracji (a więc i lektury).

Ale dość o wydawcy. Niechlujność wydawnicza powoli opanowuje rynek i trzeba przyznać, że Atlantis daleko jeszcze do dna. Lektura książki ujawniła jednak prawdziwy, trzeci powód niechęci czytelników do tej powieści. Jest nim fatalna jakość tłumaczenia.

Od razu mówię: znam gorsze teksty. Ale „Pan światła" to nie jakaś „Zemsta skorupiaków" czy „Macki" z Phantom Pressu. Tam, jeśli tłumacz nie odróżni cysterny od tankowca (dzięki czemu tankowiec rozbija się kilkadziesiąt kilometrów od brzegu – w głębi lądu), nie szkodzi to zbytnio samej powieści. Ale Zelaznemu szkodzi.

Tłumacz, Robert Reszke, w zasadzie pisał po polsku. Co oznacza, że nie rzucają się w oczy błędy stylistyczne, składniowe i gramatyczne, a jedynym zarzutem jest nadmiernie czasem napuszony ton i zbędna stylizacja niektórych wypowiedzi (zarówno bohaterów, jak i narratora). Niestety, semantyczna strona tekstu pozostawia wiele do życzenia. Nie jestem w stanie omówić tu wszystkich błędów, więc podam kilka przykładów.

Zauważyłem, że w pewnych scenach zupełnie nie rozumiem, o co chodzi. Na przykład jeden z bohaterów mówi (str. 51): *Może pamiętasz takiego smarkacza [...] imieniem Jama? Łobuz z rodzaju tych, które zawsze wcinają generatory*... Naturalne pytanie, jak *wcinają* i co to znaczy *wcinać*? – okazało się błędem. W oryginale mamy *[...] The kid who was always souping up generators*... Słowo *soup* oznacza zupę i w tym sensie ma związek z wcinaniem czyli jedzeniem. Natomiast *soup up* oznacza *podrasować* albo *zwiększyć moc*. I to właśnie Jama robił z generatorami.

Nie zrozumiałem też, dlaczego na tej samej stronie pan Agni przez całe trzy dni chłostał księżyc swym ognistym berłem, równocześnie falując wody morza. Po sprawdzeniu okazało się, że płomień ognistego berła dosięgnął wszystkich trzech księżyców, gdy pan Agni machnął nim, stojąc na brzegu morza. Gdzie indziej (str. 101) czytamy, że Jama *wymierzył cios, poczuł, jak ziemia rozstępuje się pod nim, wciągając go w głęboki lej. Stał, wyciągnięty na baczność i tak już pozostał*. Wnioskujemy, że zapadł się w lotny piasek po szyję, gdyż tylko wtedy nie mógłby zmienić niezbyt wygodnej pozycji *na baczność*. Dlaczego więc dwie strony dalej stwierdzamy, że *Jama tkwił już w ziemi do połowy ud?* Wypychało go czy co? Sprawdzamy. *Kiedy nastąpił na pas piasku u stóp skały, coś powstrzymało jego ruch. Upadł niemal, skręcił ciało pod kątem prostym i odzyskał równowagę. Szarpnął mocno, ale nie mógł się poruszyć*. Zatem nie wpadł po szyję i nie pozostał wyciągnięty na baczność.

Z kolei na str. 211 pewna kobieta, realizując dość wygórowane wymagania żywieniowe przypadkowego żebraka, stwierdza: *Sama nie wiem, czemu wyświadczam ci tę łaskę*. Żebrak (domyślamy się, że to Kriszna), jakby w odpowiedzi, mruczy na stronie *Bo ciebie pragnę*. Co ma jedno do drugiego? Nic. W oryginale Kriszna mówi *Bo tego chcę*, czyli bo chcę, żebyś to zrobiła (*Because I want you to*). Pan Reszke pominął ostatnie *to*, przez co całkowicie zmienił znaczenie zdania i pozbawił go związku z treścią dialogu.

Tłumacz dość swobodnie traktował tekst oryginału. Np. na str. 49 czytamy: – *Co? – książę omal nie zleciał ze stołka*. W oryginale ten akapit brzmi: *Co?* I tyle. O spadaniu ze stołka nie ma mowy.

Czasem także brakuje kilku słów, bywa, że ważnych. Przykład, który tu podam, ilustruje także poważne braki tłumacza w znajomości języka. Zatem strona 209:

– *Też tak uważam* [mówi Olvegg] [...]

– *Znasz mnie?* [pyta Nirriti].

– *Tak, kapelanie. Bo jestem Jan Olvagga, kapitan Gwiazdy Indii.* [...]

– *Jeden z Pierwszych i... no tak... chrześcijanin!*

– *Niekiedy, jedynie wówczas, gdy łamię słowo dane hinduizmowi.*

Cóż to oznacza? Nirriti pyta, czy marynarz rozumie, w czyich rękach się znalazł. Ten odpowiada, że zna go, gdyż jest kapitanem statku (w domyśle: bywałym w świecie). Zdania o łamaniu słowa danego hinduizmowi nie zrozumiałem. Zajrzyjmy więc do oryginału.

– *Tak, Renfrew. Uważam, że masz rację* [mówi Olvegg]. [...]

– *Znasz mnie?* [pyta Nirriti]

– *Tak, kapelanie. Bo jestem Jan Olvegg, kapitan „Gwiazdy Indii".* [...]

– *Jeden z Pierwszych i... no tak... chrześcijanin!*

– *Tylko czasami, kiedy wyczerpię już wszystkie hinduskie przekleństwa.*

Teraz sytuacja wygląda całkiem inaczej. Nirriti pyta, skąd marynarz zna jego ziemskie nazwisko. Ten przedstawia się także ziemskim nazwiskiem i przypomina nazwę statku, którym dolecieli na tę planetę. *Słowo dane hinduizmowi* pozostawiam bez komentarza. Reszke, usuwając *Renfrew* i zmieniając Olvegga na Olvaggę całkowicie wypaczył sens tej znaczącej sceny. Zaś nie rozumiejąc ostatniego zdania, zagmatwał je tak, by nikt inny nie mógł go pojąć.

Zdarzają się także błędy drobniejsze, za to irytujące. Jak choćby określenie miejsca zwanego Koniec Świata (*Worldsend = World's End*) jako Przesłanie Świata, aczkowiek z kontekstu wynika jasno, że chodzi o pierwszą z tych nazw. I tak dalej.

Nie jestem w stanie wyliczyć wszystkich pomyłek merytorycznych Roberta Reszke. Ich liczba zachwiała jednak moim przekonaniem, że tłumacz z angielskiego na polski powinien znać przede wszystkim polski – angielski może znaleźć w słownikach. Przykład „Pana światła" demonstruje jasno, że tłumacz nie pojął, o co chodzi w powieści, podobnie jak nie pojął sensu poszczególnych scen. Przekład sprawia wrażenie dokonanego wyłącznie na podstawie słownika, gdyż pomyłki zdarzają się nie tylko przy każdym niemal idiomie, ale też przy bardziej złożonych konstrukcjach gramatycznych. Obszerną listę błędów pana Reszke zachowuję dla potencjalnych zainteresowanych.

Na zakończenie miałem zamiar dokładnie sprawdzić losowo wybrane dziesięć stron i tylko policzyć – bez ich wymieniania – rzeczowe, logiczne błędy przekładu. Zrezygnowałem szybciej, mianowicie wtedy, gdy po dwóch i ćwierć stronie (od 105 do 107, pomijając wstęp i motto rozdziału) znalazłem 31 merytorycznych błędów. To znaczy takich, gdzie tłumacz opisał inne fakty niż Zelazny. Oczywiście, można stwierdzić, że nie mają one wielkiego znaczenia dla akcji. Zwykle nie ma też znaczenia, czy bohater jest blondynem czy brunetem, niemniej przyzwoitość każe dać mu kolor włosów wymyślony przez autora. I tylko tego typu pomyłki liczyłem na stronach 105, 106 i 107.

Jeszcze jedno. Język polski posiada ortografię, czyli reguły poprawnej pisowni wyrazów. Można jej nie lubić, ale póki obowiązuje, należy stosować. Otóż w języku polskim nie piszemy *kreszendo* (str. 21), a *crescendo*, o czym można się przekonać zaglądając do „Słownika poprawnej polszczyzny". Podobnie piszemy *Kriszna* i *Siwa*, a nie Kryszna i Śiwa. Nawiasem mówiąc, Kriszna nie grał na kobzie, a na flecie, wbrew sugestiom tłumacza ze str. 222.

By wzbudzić zazdrość informuję, że przeczytałem „Pana światła" po raz trzeci, znów po angielsku. I stwierdzam, że jest to doskonała powieść, gwarantująca sporo przeżyć natury estetycznej i etycznej. Polscy czytelnicy zostali ich pozbawieni przez fatalne tłumaczenie, a także niedbałość i beztroskę wydawcy i redaktora. Te elementy zniszczyły dzieło wybitne. Przy okazji mocno a niezasłużenie podkopały dobrą opinię autora.

PS. Kawałki moich tłumaczeń należy uznać raczej za przekłady filologiczne niż literackie, mają bowiem służyć jedynie ilustracji wypowiadanych tez.

Strzelać do tłumacza!

Wydawnictwo EXPRESS BOOKS (Bydgoszcz, ul. Warszawska 13) wydało w 1991 r. książkę science fiction Carla Sagana „Kontakt" w przekładzie Michała Bończy. Tłumaczenie jest skandaliczne i to zarówno w zakresie nauki lub techniki (a jest to przecież w dużej mierze przedmiot powieści!), jak i prostych wiadomości z dziedziny kultury, religii, języka angielskiego i polskiego. Dla ilustracji przytoczę kilka przykładów.

Tłumacz najwyraźniej nie wie, że amerykański *billion* to polski miliard (10^9), a amerykański *trillion* to dopiero polski bilion (10^{12}). Wynika stąd mnóstwo zabawnych nonsensów. Czytamy np. o ewolucji biologicznej, która trwała biliony lat – gdy wiek wszechświata obliczamy tylko na 10-20 miliardów lat! Podobnie nie peszy tłumacza wydawanie trylionów dolarów (polski trylion to 10^{18}), a więc o wiele rzędów wielkości więcej niż jest dolarów na świecie. Takie błędy powtarzają się mnóstwo razy.

Czytelnik zaduma się zapewne nad zdaniem *siła grawitacji ziemskiej zależy od minusa kwadratu, a dwubiegunowa siła magnesu od minusa potęgi trzeciej*; po polsku – siła grawitacji jest odwrotnie proporcjonalna do kwadratu, a siła oddziaływania magnesu – do sześcianu odległości.

Tłumacz jest najwyraźniej nieświadom istnienia powszechnie przyjętej terminologii w nauce, technice (którą zresztą uparcie nazywa technologią – nie zdając sobie sprawy z różnicy znaczeń w obu językach), a nawet w religii.

Oto kilka kwiatków z dziedziny religii i kultury: *wyjaśniał, czym jest baptyzm i pośmiertne życie (chrzest!); dyskusje z Shinto i innymi kapłanami buddyjskimi* (shinto i buddyzm to dwie różne religie!); *Szabat Cwi, jeden z autorów Talmudu* (słynny pseudo-Mesjasz i mistyk żydowski XVI w., żył ponad tysiąc lat po spisaniu Talmudu); *w chińskim języku kanji* (*kanji* nie jest językiem, a pismem chińskim, złożonym ze znaków obrazkowych, ideogramów).

A teraz co nieco z nauk ścisłych: *o detektorach arsenidu galu* (o detektorach z arsenku galu); *rzadkie składniki* (z kontekstu wynika, że były to ziemie rzadkie, ang. *rare earths*); *pozostałość spektrum radioaktywnego* (po polsku widmo promieniowania reliktowego!); *szczególnie cenne jest egzaminowanie planet i gwiazd* (ang. *to examine* – zbadać!!); *pojedyńczość* (ang. *singularity*) zamiast polskiej osobliwości; *opróżnianie się przestrzeni w miarę ucieczki eonów* (eon to 10^9 lat; a więc w miarę upływu eonów); horyzont ostateczny (horyzont wydarzeń); *obłok Komety Oorta* (idzie o hipotetyczny obłok kometarny Oorta) itd., itp.

Litanię taką można ciągnąć długo. Nie w tym rzecz; ważne są dwa aspekty sprawy:

(1) Trzeba przestrzec czytelników! Sagan napisał świetną książkę, a tłumacz i wydawnictwo zupełnie ją spaskudzili.

(2) Jak zapobiec na przyszłość takim „tłumaczeniom"??

Moja propozycja, to zwrócić się do Sejmu RP o powołanie specjalnego trybunału (może być nawet niekonstytucyjny), który karałby bezczelnych wydawców i tłumaczy – najlepiej karami piekielnymi, bez odwołania lub odroczenia.

prof. **Zbigniew Ryszard Grabowski**
członek-korespondent PAN

Włos się jeży

Przykuty do łóżka postanowiłem przeczytać 10 (dziesięć) horrorów Phantom Pressu. Już same okładki mogą zamącić w głowie (ludziom posiadającym jakikolwiek zmysł estetyczny). Feeria kolorów (z przewagą czerwonego), twarze charakteryzujące się głównie wytrzeszczem oczu.

Jako pierwsze zaatakowało mnie „Pragnienie", skąd dowiedziałem się, iż: a/ zapowiadany na okładce tankowiec nie pojawia się wcale; b/ Birmingham leży nad morzem – przez co runęła moja (jakże mizerna) znajomość geografii; c/ redaktor nie zna zasad (żadnych) polskiej ortografii.

Każda następna pozycja była gorsza od poprzedniej. Zacząłem utwierdzać się w przekonaniu, że pod tymi dziełami powinni podpisywać się także tłumacze i redaktorzy – jako współautorzy. Cóż to bowiem za przyjemność odkrywać, iż ktoś posiada *suche poczucie humoru*, a akcja drugiego tomu „Pragnienia" wciąż rozgrywa się nad morzem, mimo że tom pierwszy stanowczo temu zaprzecza.

Szczególnym przykładem tak rozumianej konsekwencji jest wymordowanie wszystkich osób występujących w powieści „Dzwon śmierci 1" przez tłumacza części II, by dalej ożywić kilka z nich. Wprawdzie wyciek zapory przez jedyną studnię w zalanej wiosce okazał się możliwy, lecz nie mogłem uwierzyć, że postrzelony potwór zdycha z powodu zatrucia ołowiem zawartym w kuli (patrz „Bestia"). Dowiedziałem się też, iż mangusta i langusta to jedno i to samo zwierzę, grzechotnik grzmoci łbem w drzwi tak długo, aż je otworzy, a para to trzy osoby (przykłady te zaczerpnięte zostały z powieści „Węże").

Tego już było dla mnie zbyt wiele. Poddałem się. Rozumiem, że zagorzałego czytelnika nic nie powstrzyma przed pochłanianiem horrorów (wydawniczych) Phantom Pressu. Ale miejcie kochani na uwadze, że *to co kiedyś stało się na wyspie, powraca za każdym razem, nie tylko 40 lat temu*. Jeśli musicie kupować – kupujcie, ale nie zawracajcie sobie głowy czytaniem.

Piotr „Raku" Rak

Guy N. Smith: *Wyspa*. Tłum. Anna Mackiewicz. *Bestia*. Tłum. Andrzej Sawicki. *Dzwon śmierci*. Tłum. Mikołaj Stasiewicz. *Dzwon śmierci 2. Demony*. Tłum. Mikołaj Stasiewicz. *Trzęsawisko*. Tłum. Agnieszka Jankowska. *Trzęsawisko 2. Wędrująca śmierć*. Tłum. Agnieszka Jankowska. *Pragnienie I. Symptom*. Tłum. Piotr Trzebiatowski. *Pragnienie II. Plaga*. Tłum. Marek Michewicz. *Szatański pierwiosnek*. Tłum. Krzysztof Gronowicz. *Węże*. Tłum. Przemysław Panek. Wszystkie Phantom Press 1991 (tom Bestia z udziałem Agencji Wydawniczej „Arka").


Piotr Kowalski

Miraże: zjawisko, które od dawna budziło obawy i ciekawość ludzi. Oto w miejscu, w którym nigdy niczego nie było, nagle pojawia się miasto, zamek albo – przede wszystkim na otwartych równinach – jezioro, las, ogród. Złudzenie optyczne, mówi nauka, załamanie światła na granicy dwóch warstw powietrza o różnych temperaturach.

Marian Wierzchoń

Czy miraż jest tylko złudzeniem?

Zjawiska te nazywane są fatamorganą (od Morgany, potężnej wróżki-czarodziejki). Stanowią one przypadek bardzo skomplikowanego mirażu, określanego jako miraż drugiego rzędu.

Miraż pierwszego rzędu jest zjawiskiem prostym. Nawet w Polsce można nieraz w upalny dzień, jadąc asfaltową szosą zauważyć, że daleko przed nami, przez drżenie rozgrzanego powietrza widać, jak szosę pokrywa odbijająca słoneczne światło warstwa wody. Lecz ta woda ucieka w miarę jak się do niej zbliżamy, a w końcu znika całkiem, gdy zmienia się kąt padania promieni słonecznych.

Miraż drugiego rzędu jest zjawiskiem bardziej skomplikowanym i polega na tym, że załamujące się w powietrzu promienie słoneczne uginają się jakby wzdłuż powierzchni Ziemi. W ten sposób do obserwatora może dotrzeć światło odbite od obiektów, znajdujących się w rzeczywistości bardzo daleko za horyzontem. Obserwowano niekiedy w ten sposób obiekty odległe nawet o setki kilometrów od miejsca, w którym je widziano.

Lecz czy zawsze obserwowany w oddali miraż jest odbiciem, niekiedy zniekształconym, realnie istniejących w naszym świecie budowli czy innych szczegółów rzeźby terenu?

Niektóre mitologie oraz wywodzące się z nich baśnie ludowe proponują inne wytłumaczenie: mówią, iż jest to odbicie obiektów znajdujących się w innym świecie. Na przykład opowieści celtyckie mówią o Krainie Po Drugiej Stronie Tęczy, zamieszkanej przez znające magię elfy. Porywają one niekiedy ludzi, a gdy bliscy chcą odszukać ofiarę, najpierw muszą się udać do kogoś znającego magię, żeby uzyskać sposób na przekroczenie granic królestwa elfów i na zniwelowanie lub uniknięcie skutków magii elfów. Znający sekret wejścia do czarodziejskiej krainy bohater bardzo rzadko musi wybierać się w długą drogę, wędrówka zabiera mu najwyżej parę dni.

W krainach Środkowej Azji (od Półwyspu Arabskiego prawie po granice Chin) częstymi motywami baśni są opowieści o peri. Zasadniczo tą nazwą określane są piękne dziewczęta-wróżki, lecz wiele baśni opowiada o miastach, w których one mieszkają. Miasta te różnią się od ludzkich tylko tym, że ich mieszkańcy dysponują wiedzą magiczną, którą wykorzystują do uprzyjemniania sobie życia. Są to mężczyźni i kobiety, władcy i żołnierze, kupcy i zwykli poddani. W miastach tych jest zawsze pełno czarodziejskich przedmiotów, na przykład lamp świecących bez ognia, zapalanych zaklęciem itp.

Intryguje pewien szczegół: niełatwo dostać się do takiego miasta. Normalnie jest ono niewidzialne i niewyczuwalne dla człowieka, jednak jeśli ktoś zna sposób, może przekroczyć barierę dzielącą świat ludzi od świata peri. Można też trafić w to miejsce całkowicie przypadkowo, gdyż niekiedy, z reguły raz na wiele lat, takie miasto na krótki czas, najwyżej na jeden dzień, pojawia się w naszym świecie. Wtedy można do niego wejść, lecz jeśli człowiek nie zdąży w porę wyjść, miasto znikając uprowadzi go ze sobą.

Tajemnicze, pojawiające się od czasu do czasu miasta czy zamki są dość częstym motywem ludowych opowieści. Niekiedy są to miasta przeklęte, które zapadły się pod ziemię na skutek zbrodni ich mieszkańców i od tej pory pojawiają się od czasu do czasu na powierzchni ziemi, na jedną noc albo tylko na jedną godzinę. Wtedy można do nich wejść i uszczknąć trochę z ich skarbów, lecz biada temu, kto zatrzyma się tam zbyt długo. Gdy wybije godzina albo zapieje kur, przeklęte miasto znów zapada się pod ziemię, pociągając za sobą nieszczęśnika.

Czasem zaś, choć rzadziej, miasta takie stanowią schronienie dla tych, którzy uszli przed złem naszego świata. I jeszcze jedna ważna okoliczność: każdy taki obiekt związany jest zawsze ze ściśle określonym miejscem: wzgórzem, częściej jeziorem; zdarzają się też tereny nadrzeczne. Sporo ich jest na Wielkiej Nizinie Europejskiej. Są to łączone z rozbójnikami zamki w Wielkopolsce czy na Mazurach, przy czym baśń zwykle podaje dokładny „adres" obiektu (zaklęty zamek Gilsztki na Litwie, niewidzialne miasto Kiteż w Ziemi Jarosławskiej czy Miasto Pokoju nad Wołgą). Nie ma prawie zakątka świata, wolnego od podobnych opowieści.

W baśniach hinduskich istnieje na przykład relacja o pojawiającym się niekiedy przed oczami śmiertelników wspaniałym, pełnym wysokich zamków i wież mieście gandharwów, którego przypadkowe zobaczenie, jak głosi legenda, przynosi nieszczęście.

Czy za tymi opowieściami kryje się coś więcej niż czyste zmyślenie? Czy nie są to tylko wymysły, pozbawione racjonalnego ziarna?

Analizując stare mity można stwierdzić, że nie. W mitach normańskich Ziemia nazywana jest Mitgardem, Środkowym Światem, w którym mieszkają ludzie, a oprócz niego istnieją też światy bogów, elfów, trolli i olbrzymów. Bogowie, część olbrzymów oraz niektórzy, bardzo nieliczni zresztą ludzie, mający pomoc sił wyższych mogą przekraczać granice pomiędzy tymi światami.

Podobnie w wielu innych mitologiach dostrzega się wyraźne rozwarstwienie światów. W hinduizmie istnieją światy bogów, ludzi i demonów, przy czym światy te przenikają się wzajemnie, niewidzialne i niewyczuwalne dla siebie. Przejść z jednego do drugiego może ten, kto ma moc i wiedzę, umożliwiające mu przekroczenie granic, czyli znów bogowie, demony i nieliczni ludzie, przeważnie mędrcy-bramini.

I znów wspólna cecha tych opowieści: przekraczają granice pomiędzy światami istoty nadzwyczajne, dysponujące mocą i wiedzą. Nie ma mowy, żeby taką granicę sforsował ktoś zwyczajny.

Podobno w każdej baśni jest ziarenko prawdy. Szerokie rozprzestrzenienie tego właśnie motywu (przy czym w przeciwieństwie do innych „wędrujących" tematów baśni ludowych, zawsze dziejących się gdzieś daleko, za siedmioma górami, za siedmioma morzami, ten motyw zawsze jest powiązany z konkretnymi, istniejącymi tu, w pobliżu, znanymi wszystkim rejonami) może świadczyć, że niewidzialne miasta istnieją naprawdę. Lecz gdzie się znajdują? Dlaczego normalnie ich nie widać? Skąd przybywają i dokąd odchodzą?

Oto próba odpowiedzi. Miasta te istnieją naprawdę, lecz znajdują się na innej płaszczyźnie istnienia, w innym świecie, który możemy nazwać światem równoległym. Są one absolutnie poza zasięgiem naszych zmysłów i tylko niekiedy, przy rzadkich zbiegach okoliczności granica pomiędzy światami słabnie na tyle, że obiekt znajdujący się w innej płaszczyźnie istnienia można zobaczyć, a nawet go dotknąć.

Można też udzielić ciekawej odpowiedzi na pytanie, dlaczego teraz praktycznie nie obserwuje się rusałek, elfów, peri czy innych tego typu istot. Rusałki pływają w rzekach czy jeziorach albo tańczą w lasach. Ludzie ich albo nie obchodzą, albo służą im jako obiekty złośliwych kawałów. Lecz istniał sposób zdobycia władzy nad taką istotą. Najlepiej jest to opisane w „Baśniach z tysiąca i jednej nocy".

Oto do jakiegoś ustronnego jeziorka przylatuje stadko ptaków, przeważnie gołębi. Zrzucają ptasie skóry i przemieniają się w piękne dziewczęta, peri. Jeśli ktoś zdoła ukraść taką skórę wykorzystując to, że peri się kąpią, a następnie schować się tak dobrze, że nie odnajdą go koleżanki jego ofiary, uzyskuje nad wróżką władzę, gdyż pozbawiona swojej magicznej skóry dziewczyna jest całkowicie bezradna, a przy tym gotowa na wszystko, żeby ją odzyskać. Czasem chodziło o uzyskanie pomocy peri w jakiejś sprawie ziemskiej i wtedy, po wyczekaniu aż zrozpaczona dziewczyna przyrzeknie, że spełni każde życzenie tego, który odda jej skórę oraz że nie będzie się mścić za kradzież, dochodziło do takiego handlu wymiennego. Czasem złodziej oczarowany urodą dziewczyny brał ją za żonę. Wtedy małżeństwo takie trwało tak długo, dopóki peri nie odnalazła swojej skóry. Wtedy uciekała, niekiedy zabierając urodzone w naszym świecie dzieci, jednak przeważnie sama, zaś zauroczony złodziej błąkał się po świecie, próbując ją odszukać.

Kim były te peri czy rusałki? Postawmy taką hipotezę: przeważnie córkami osób wysoko postawionych. Istoty znajdujące się na wysokim poziomie wiedzy, a zarazem na skutek rozwoju techniki żyjące w zanieczyszczonym świecie, mają techniczne możliwości przekroczenia bariery pomiędzy światami równoległymi. Podróże takie mogą być jednak zakazane z bardzo wielu powodów, choćby epidemiologicznych. Zdarza się jednak, że znudzone panienki z bardzo dobrych domów postanawiają dokonać wypadu. Podkradają więc rodzicom pojazdy czy skafandry (w baśniach określone jako „ptasie skóry"), po czym przeprawiają się przez granicę światów, żeby popływać w czystej wodzie i pooddychać czystym powietrzem dziewiczego świata. Oczywiście zdają sobie sprawę z ryzyka, ale to przecież tylko dodaje eskapadzie smaku. Mają mało czasu, ważne jest przede wszystkim, żeby wrócić do domu, zanim rodzice czy stosowne służby zorientują się, że brak specjalistycznego sprzętu. Tym można wytłumaczyć pośpiech peri, krótkotrwałość i mały zasięg poszukiwań, a także całkowitą bezradność pozbawionej „pomocy technicznej" dziewczyny. Jest też dodatkowy punkt potwierdzający tę hipotezę. Czasem człowiekowi udawało się odszukać zbiegłą peri w jej świecie i wtedy często się dowiadywał, że ponosiła surową karę za swoją wyprawę.

Teraz, gdy nasze rzeki i jeziora są zapaskudzone, być może o wiele gorzej niż tam, komu chciałoby się tu przybywać i moczyć w brudach i chemikaliach? W taki to właśnie sposób przemysł „wytruł" wszelkie istoty nadnaturalne.

Motyw kradzieży magicznej skóry nieostrożnej wróżce czy czarodziejowi jest dość rozpowszechniony. Na przykład opisana przez Selmę Lagerloff legenda o powstaniu Sztokholmu opowiada o rusałce, która straciła foczą skórę, lecz zakończenie jest identyczne: gdy rusałka odzyskuje ją, porzuca męża i dzieci i ucieka.

Innym motywem baśni ludowych, również mogącym mieć coś wspólnego z problemem światów równoległych, są opowieści o zaczarowanych podziemnych krainach. W Irlandii jest to kraina sidhów, do której wejście prowadzi przez otwierające się w niektóre noce kurhany. W Sudetach spotykamy się z opowieściami o Karkonoszu, zwanym też Liczyrzepą, władcy podziemnych skarbów, pałaców i ogrodów. Sam Karkonosz swobodnie wychodzi na powierzchnię, gdy tylko zechce, lecz ludziom bardzo rzadko udaje się dostać do jego posiadłości. Baśń twierdzi, że drzwi do jego pałacu otwierają się dla ludzi tylko na godzinę w ciągu roku, o północy w noc sylwestrową. Kto w tym czasie wejdzie przez te drzwi i odnajdzie skarbiec, może bez przeszkód ze strony właściciela wynieść, co potrafi, lecz jeśli pozostanie za długo, nigdy już nie wyjdzie na powierzchnię. Na podobnej zasadzie działa Pani Miedzianej Góry na Uralu. Włada ona rozległymi podziemnymi pałacami, lecz nie można się do nich dostać bez jej zgody.

Góry Harzu, Sudety, Góry Świętokrzyskie i Ural powstały w tym samym okresie geologicznym. Według ludowych opowieści Harz roi się od demonów, w Sudetach działa Karkonosz, a w niektórych pasmach także skrzaty. Góry Świętokrzyskie sławne były ongiś z sabatów czarownic, zaś w podziemiach Uralu włada Pani Miedzianej Góry. W Alpach i w Karpatach tego typu opowieści trafiają się bardzo rzadko. Czy to może oznaczać, że góry ukształtowane w dawnych okresach geologicznych różnią się od później powstałych czymś, co sprawia, że w ich rejonie bariery pomiędzy światami są łatwiejsze do przekroczenia?

Łączy też te miejsca inny ważny szczegół. Bardzo wiele z nich było w okresie przedchrześcijańskim miejscami kultowymi, np. Łysa Góra w Górach Świętokrzyskich. W późniejszym okresie, gdy chrześcijaństwo ogarnęło całą Europę, w takich miejscach budowano klasztory lub kościoły, żeby rozpędzić gromadzące się tam pogańskie demony. Często to skutkowało. Czyżby masywna bryła klasztoru naruszała istniejącą w danym regionie równowagę pól energii, uszczelniając w ten sposób barierę? Nie wiadomo, ale nie jest to wykluczone.

Jest też inny element, łączący miejsca pojawiania się zaklętych miast i zamków. Są to tzw. miejsca dyskomfortu biologicznego, w których naturalny przebieg ziemskich pól energetycznych jest zaburzony i gdzie występują silne prądy radiestezyjne. Jeśli pojawią się dodatkowe warunki (burza magnetyczna, rozbłysk słoneczny) może to „rozmiękczać" barierę i sprawiać, że światy mogą się przez jakiś czas kontaktować. Oczywiście, istnieje też inne wytłumaczenie: działanie tych czynników wywołuje po prostu zaburzenia w układzie nerwowym człowieka i wzbudza halucynacje. Lecz czy warunki radiestezyjne byłyby zawsze takie same lub choćby zbliżone na tyle, żeby wywoływać praktycznie identyczne halucynacje? Przecież opisy obserwacji miast-widm są dosyć zgodne. To również można wytłumaczyć uprzedzeniem, tym, że obserwator widzi to, czego się spodziewa, lecz jednoznaczna odpowiedź na te pytania byłaby na pewno interesująca.

Teraz ostatnie pytanie: czy kiedyś ludzie umieli przekraczać te granice? Pewne dane wskazują, że tak. Czarodziejka Morgana podróżowała na wyspę Avalon, której zwykli ludzie nie mogli nawet dostrzec. Bohaterowie mitów i baśni chińskich, perskich czy hinduskich, znający wiedzę tajemną lub mający pomoc istot nadprzyrodzonych, wędrują po różnych dziwnych, zaklętych krainach. Może też paść pytanie, dokąd podróżowali Herakles, Odys czy niektórzy inni bohaterowie mitów greckich i nie tylko. Czy wszystkie ich przygody stanowią tylko czysty i absolutnie pozbawiony podstaw wymysł, czy może są przekazami o czymś, co zdarzyło się naprawdę, lecz później, gdy zgubiona została tajemnica przekraczania bariery, zostały potraktowane jako czysta baśń? Odpowiedź wydaje się jednoznaczna, ale... Niewiele ponad sto lat temu opowieści o królu Krety Minosie, o całej epoce mykeńskiej i wojnie trojańskiej również były traktowane jako czysta baśń. „Iliada" doczekała się swego Schliemanna. Kto wie, może kiedyś przyjdzie kolej i na „Odyseję"?

GALAKTIKA

Autor artykułu wstępnego, József Futaki, lamentuje w numerze grudniowym z 1991 roku, że mało jest nowych pozycji w węgierskiej literaturze SF. Liczono na to, że po wielkich zmianach politycznych ukażą się tuziny utworów. Tym samym utwory zachodnie, w pierwszym rzędzie amerykańskie, zalewają bez przeszkód węgierski rynek wydawniczy i oczywiście „Galaktikę". Także pisarze SF z byłych KDL-ów są prawie absolutnie nieobecni na łamach „Galaktiki" i w wydawnictwach.

Natomiast okres rozkwitu przeżywają różne teorie pseudonaukowe. Do nich należy między innymi tzw. teoria obracania wody. Według fizyka Egely György takim działaniem można wyzwolić enigmatyczne siły z naszych palców. Fizyk Jámbor László – w dziale „Inne światy" – nie kwestionuje elektrycznych i magnetycznych zjawisk żywego organizmu, ale ostatecznie wnioskuje, że „obracanie wody" to nie parazjawisko, lecz objaw normalnych praw fizycznych. Co charakterystyczne, nawet sami naukowcy są skłonni dać wiarę tym teoriom. Centralny Fizyczny Instytut Badawczy na przykład oficjalnie poparł fizyka Egely György, poza tym wydał i kolportował studium jego autorstwa po angielsku pod tytułem „Experimental Investigation of Biologically Induced Energy Transport Anomalies".

Godny jest jeszcze uwagi interesujący artykuł Szilágyi G. Gábora „Fantastyczne serie filmowe 1929-1956". Autor stwierdza ze zdumieniem, że te prastare filmy SF w wielu wypadkach okazały się bardziej autentyczne i lepsze pod względem technicznym niż wiele nowych serii TV.

László Ábrán



Po doświadczeniach w „Komiksie-Fantastyce" i „Komiksie" Jacek Rodek postanowił otworzyć własne czasopismo poświęcone temu rodzajowi działalności artystycznej. W porównaniu z wymienionymi nowy magazyn ma objętość zwiększoną do 80 stron i prezentuje różne gatunkowo rodzaje komiksu. Zrezygnowano także z zamieszczania całych albumów na rzecz historii w odcinkach (stąd nazwa pisma). Przeobrażenia te okazały się korzystne: wyjście poza tematykę fantastyczną zaowocowało różnorodnością, zaś kto będzie chciał śledzić rozwój poszczególnych seriali, musi gromadzić kolejne numery „CDN".

Ale i te zmiany nie gwarantowałyby sukcesu, gdyby w repertuarze nie znaleźli się mistrzowie gatunku: Moebius, Storm i przede wszystkim Bilal. Wszyscy trzej uprawiają komiks o ukierunkowaniu fantastycznym, ale klasą dla siebie i swego rodzaju odkryciem staje się dla polskiego czytelnika właśnie ten ostatni. Mistrzowskie opanowanie rysunku, niebanalna wyobraźnia (to cecha bodaj najrzadsza w królestwie komiksu, gdzie produkcja albumów idzie już na tony), wreszcie specyficzny dla tego twórcy eklektyzm, polegający na łączeniu kompletnie wydawałoby się nie pasujących do siebie elementów – te cechy składają się na chyba najciekawszego autora w komiksie współczesnym. Każda jednak z wielkich gwiazd komiksu ma swoich zagorzałych zwolenników.

„CDN" zawiera także stosowną część publicystyczną, która nie zabiera wiele miejsca planszom, a jest ciekawym uzupełnieniem dla tych czytelników, którzy chcieliby dowiedzieć się o zamieszczanych autorach czegoś więcej. W debiutanckim numerze „CDN" pisze więc o Moebiusie, przedstawia zmarłego niedawno polskiego komiksiarza Jerzego Wróblewskiego (autora okładki do pierwszego numeru „Fantastyki"), nareszcie omawia kilka najsłynniejszych komiksów świata. Pismo jest kolorowe, na dobrym papierze, staranne graficznie. Polecamy.

(MO)

Ostatnio ukazały się ❊ Ostatnio ukazały się ❊ Ostatnio ukazały się

❊ T.H. White: *Był sobie raz na zawsze król*. T. 1: *Miecz dla króla*. T. 2.: *Pani powietrza i ciemności*. Editions Spotkania, wyd. I.
❊ Stanisław Lem: *Cyberiada*. Verba, wyd. ?
❊ *Historie dziwne i straszliwe*. Jezuickie opowieści z czasów saskich. Verba, wyd. I.
❊ Władysław Zambrzycki: *Nasza pani radosna, czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau*. Verba, wyd. II.
❊ Dorota Terakowska: *Córka czarownic*. Verba, wyd. I.
❊ Brian Stableford: *Imperium lęku*. Rebis, wyd. I. Horror.
❊ Clive Barker: *Cabal. Nocne plemię*. Rebis, wyd. I. Horror.
❊ Jan Parandowski: *Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian*. Czytelnik, wyd. XXIV.
❊ William Golding: *Spadkobiercy*. Czytelnik, wyd. II.
❊ Andrzej Brodziak: *Jesteś nieśmiertelny*. O wnioskach fizyków, biologów i lekarzy wynikających z zasady antropicznej. Zakład Poligraficzny Bytom, wyd. II.
❊ Andrzej Brodziak: *Funkcja Ewy, czyli o twojej tajemniczej przyszłości*. Zakład Poligraficzny Bytom, wyd. I.
❊ Robert Heinlein: *Władcy marionetek*. Phantom Press, wyd. I. Fantasy i SF.
❊ Herbert George Wells: *Gracz w krokieta*. Cyklady, wyd. I.
❊ James Thurber: *Trzynaście zegarów*. Alfa, wyd. I.
❊ Dana Reed: *W objęciach demona*. Rebis, Wyd. I. Horror.
❊ Honorata Korpikiewicz: *Smutne niebo*. Opowiadania science ficton.
❊ Roger Zelazny: *Umrzeć w Italbarze*. Phantom Press, cena 12 500 zł, wyd. I.
❊ Clive Barker: *Księga krwi I – III*. Phantom Press, cena 13 000 – 13 500 zł, wyd. I. Horror 16.
❊ James V. Smith: *Bestia apokalipsy*. Amber, wyd. I, cena 18 000 zł. Horror.
❊ F. Paul Wilson: *Odrodzony*. Amber, wyd. I, cena 19 000 zł. Horror.
❊ Joseph Citro: *Nieznany*. Amber, wyd. I, cena 18 000 zł. Horror.
❊ Andre Norton: *Czarodziejka ze świata czarownic*. Amber, wyd. I, cena 16 000 zł. Fantasy.
❊ Stephen King: *Oczy smoka*. Amber, wyd. I, cena 26 000 zł. Fantasy.
❊ Kurt Vonnegut jr: *Witajcie w małpiarni*. WL, wyd. I.

Wydawców, z którymi nie mamy kontaktu, prosimy o nadsyłanie książek z szeroko rozumianej fantastyki (SF, horror, fantasy), a także popularnonaukowych i krytycznych związanych z fantastyką – pod adresem działu publicystyki naszej redakcji.

Lista bestsellerów – luty 1992

Najlepiej obecnie kupować stare książki. Te wydane rok i pół roku temu można dostać jeszcze po kilkanaście tysięcy. Nowe są nawet od 80 do 100 procent droższe. Dla wydawców, księgarzy, dla czytelników szykuje się ciężki rok.

Luty był miesiącem Andre Norton – ukazało się pięć nowych książek jej autorstwa. Nadal – niestety – najlepiej sprzedaje się horror, potem fantasy. Po raz pierwszy w naszych notowaniach zamieszczamy dane liczbowe z hurtowni „Liber", aby czytelnicy zorientowali się, jakie ilości książek wchodzą w grę.

Księgarnia Wysyłkowa SF „Verbum", Olsztyn, Dożynkowa 33
1. Andre Norton: *Czarodziejka ze świata czarownic* (Amber)
2. Piers Anthony: *Źródła magii* (Rebis)
3. Andre Norton: *Statek plag* (Rebis)
4. Gordon Dickson: *Z krwi i kości* (Avalon)
5. Jonathan Carroll: *Dziecko na niebie* (Rebis)
6. Marcin Wolski: *Bogowie jak ludzie* (KAW Katowice)

Księgarnia „Oramus"*, Warszawa, Młynarska 9
1. Andre Norton: *Brama kota* (Amber)
2. Robert E. Howard: *Wysłańcy Walhalli* (Arka)
3. William Tenn: *Wyzwolenie Ziemi* (Phantom Press)
4. William Tenn: *Ludzki punkt widzenia* (Phantom Press)
5. Karl Wagner: *Pierścień z krwawnikiem* (Amber)

* *Nie jestem właścicielem ani udziałowcem tej księgarni – Marek Oramus*

Księgarnia „Pod Arkadami", Myślenice, Piotra Skargi 1
1. Graham Masterton: *Rytuał* (Amber)
2. Graham Masterton: *Łowcy nocy* (Amber)
3. Andre Norton: *Brama kota* (Amber)
4. Brian Lumley: *Nekroskop III* (Phantom Press)
5. James Herbert: *Mgła* (Amber)
6. William Golding: *Władca much* (Czytelnik)

Hurtownia „Liber", Kraków, Lubelska 14
1. Michael Moorcock: *Amulet szalonego boga* (Amber; 1500 sprzedanych egzemplarzy – całość)
2. Andre Norton: *Brama kota* (Amber; 1200 – „trochę zostało")
3. Robert E. Howard: *Conan obieżyświat* (Pik; 1000 – „jeszcze mamy")
4. Karl Wagner: *Pierścień z krwawnikiem* (Amber; 500 na 500)
5. William Tenn: *Ludzki punkt widzenia* (Phantom Press; 300, czyli wszystko)

Rekomendujemy: William Golding: *Władca much*; Jonathan Carroll: *Dziecko na niebie*; Marcin Wolski: *Bogowie jak ludzie*; William Tenn: *Wyzwolenie Ziemi*.

(MO)

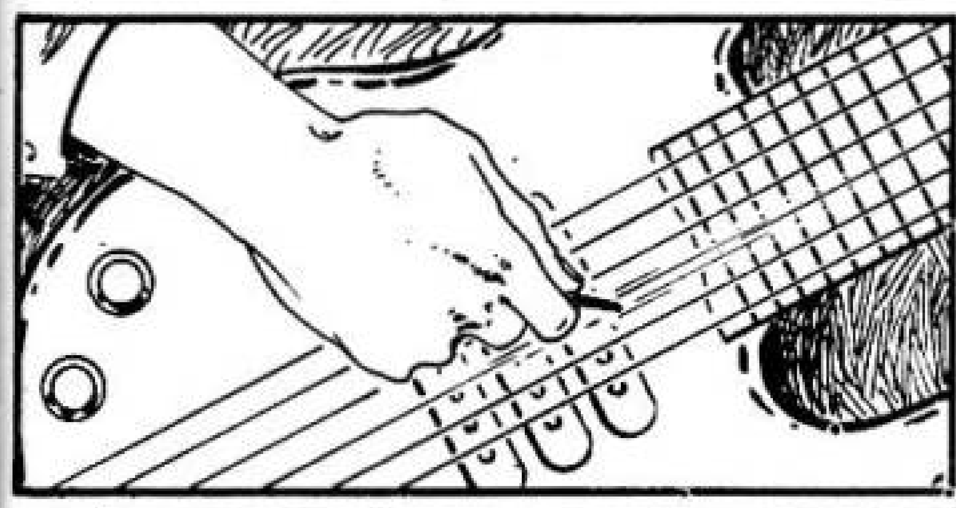
NARÓD WYBRANY – 1. Zadyma

M. PAROWSKI ❁ J. MUSIAŁ

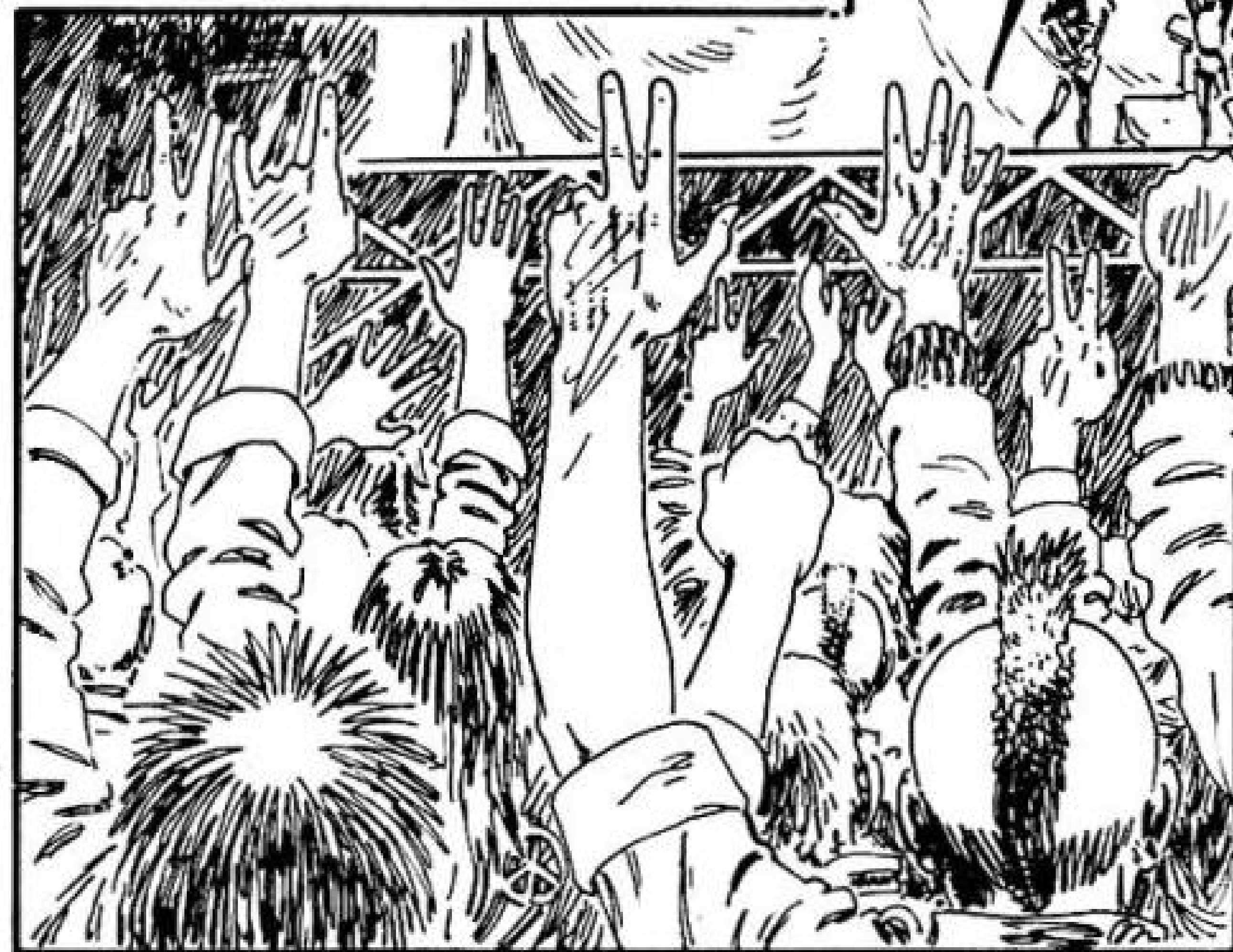















W DOMACH
Z BETOOONU
... PARANOJA JEST
GOOOŁAAAA!!!


...A GDYBYM BYŁ
ZOMOWCEM,
TO CO BYŚ
POWIEDZIAŁA?
GOTT MI

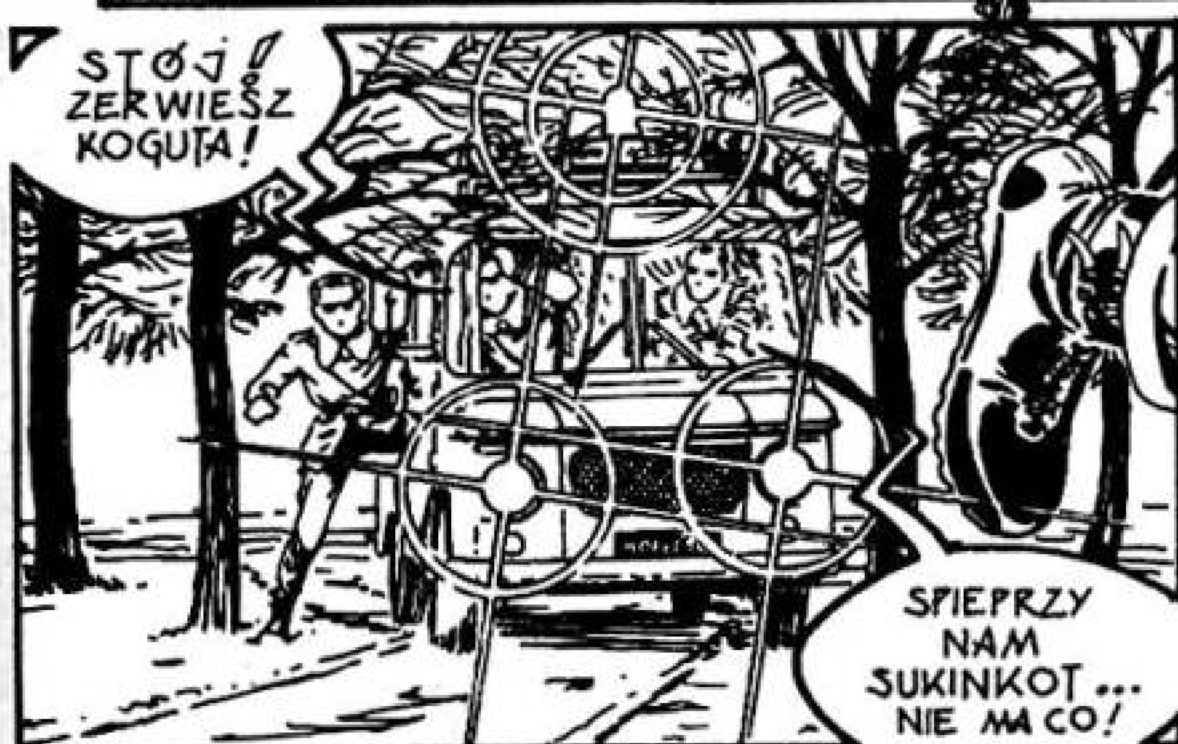

O-O! NIE RÓB
TYLE HAŁASU!...
...BĘDZIESZ MIEĆ
NOWE MAJCIOCHY
!!!


ZABIĆ
SKINA
-SUKIN-
SYNA!


CHODŹ
TU
ŁYSOLU
!

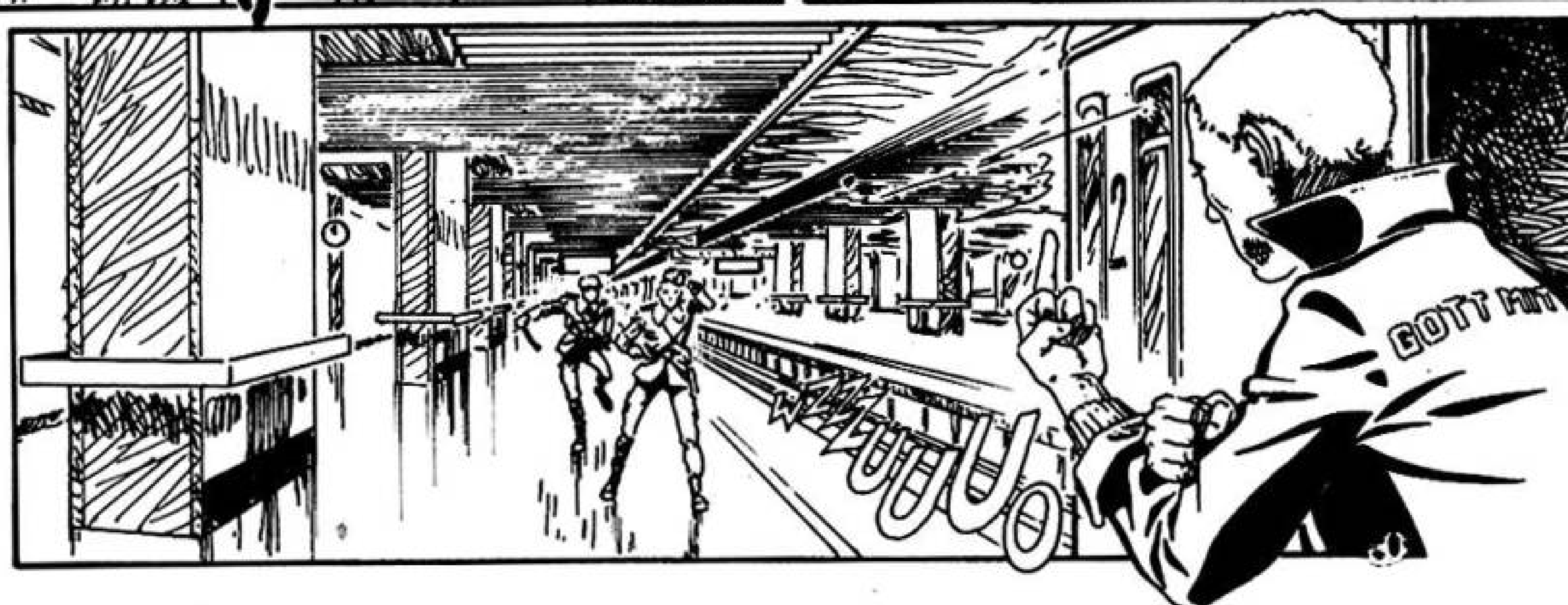

ŁYSY
W SKÓRZE,
BARDZO AWANTURNY.
PRZEJMIJCIE GO,
J-23...



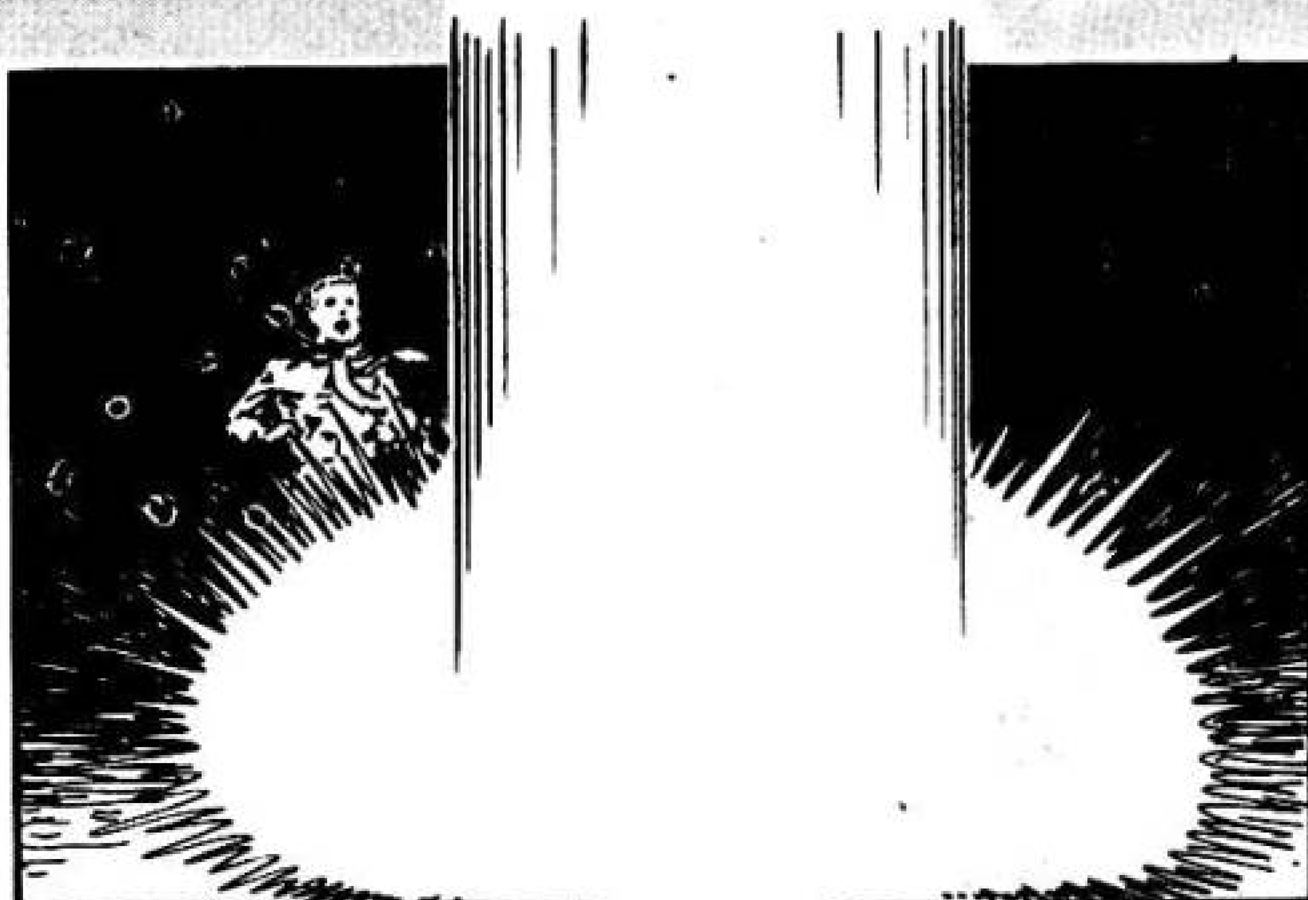

STÓJ! ZERWIESZ KOGUTA!
SPIEPRZY NAM SUKINKOT... NIE MA CO!

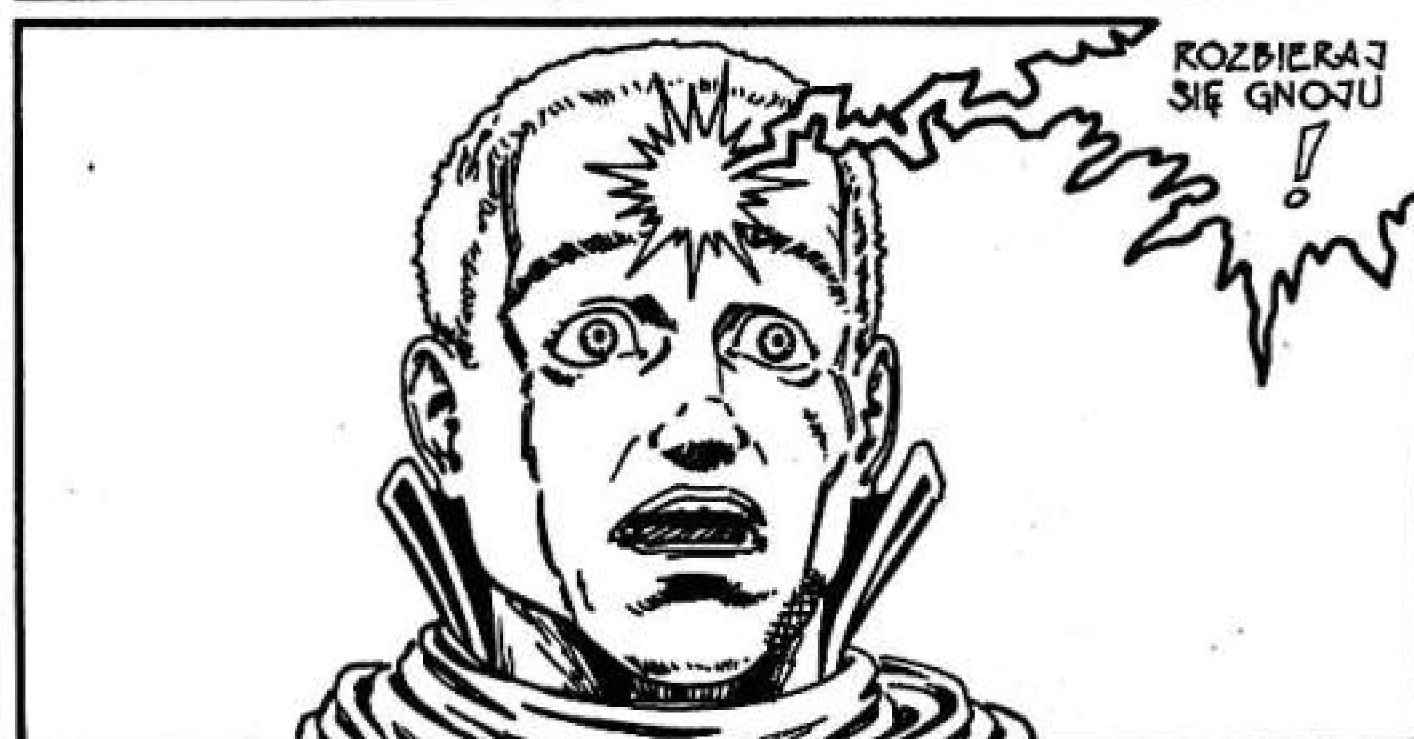





GOTT MIT


zyleśie
UUUUUUo
TRAP




ROZBIERAJ SIĘ GNOJU !


WSZYSTKO !
NO DALEJ !
SWETER.
KOSZULĘ.
I SPODNIE.
I BUTY.
GACIE TEŻ!




AAA!... NIE MASZ BILETU, GÓWNIARZU ?!


...EEE... TO ZNACZY... PRZEPRASZAM, NIC NIE SZKODZI...

Blisko Nobla, czyli czy sztuka niszczy?

Uzmysłowiłem sobie dobrze tę prawdę o niszczącym działaniu prawdziwej sztuki podczas jubileuszowych dni Stanisława Lema. Jego bogate i światowej sławy dzieło jest tej prawdy klasycznym przykładem. W chwili, kiedy rozpoczęła się kariera tego pisarza, to znaczy, gdy właściwie wcale jeszcze pisarzem nie był, tylko tworzył swoje typowo marsjańskie science fiction i typowo amatorskie opowieści o prawdziwej sztuce tworzenia, o autentycznej wielkiej prozie nie mogło w ogóle być mowy. „Astronauci" mieli już jednak charakter prawdziwej science fiction. Był to po mistrzowsku wykonany utwór, w którym uczony wykład stale dominował nad ludzkimi sprawami. Czytało się to z nie mniejszymi wypiekami niż kiedyś, znacznie wcześniej, rzeczy Verne'a, z tym, że było to nam bliższe, jako prawdziwie polskie, przez rodaka wykoncypowane. Ale czy to była już sztuka i jakie utwory, poza głęboko wnikającym w głąb chłopięcej duszy autora „Wysokim Zamkiem" – który ja osobiście najwięcej cenię – oraz jeszcze „Solaris", osiągnęły wymiary najwyższego kunsztu pisarskiego pod piórem coraz bardziej rozchwytywanego na rynku Stanisława ze Lwowa?

Oglądałem ostatnio, także z jubileuszowej Lemowej okazji, film zrobiony na podstawie książki, która aż 7 czy 8 lat czekała kiedyś na druk. Oglądałem po raz trzeci lub czwarty, byłem obecny przy powstawaniu „Szpitala przemienienia" w jego pierwotnej wersji książkowej. Muszę stwierdzić, że ta książka jest dziełem do dziś nie w pełni docenionym, zarówno przez krytyków, jak i historyków literatury. I to nie tylko jako jedno z najśmielszych i najwybitniejszych w powojennym okresie dzieł sztuki pisarskiej, ale także jako studium człowieczeństwa o charakterze uniwersalnym, o wprost genialnej wnikliwości! Za tę właśnie jedną książkę, ciągle nie dosyć spopularyzowaną w kraju i za granicą, nawet po jej spóźnionym i okrojonym wydaniu, należała się Nagroda Nobla, a na pewno te wszystkie zaszczyty, które Lema spotykają dzisiaj. On już wówczas był wielkim pisarzem! Z czego prawdopodobnie zdawał sobie sprawę.

Stykałem się z nim w tych czasach często, więc wiadomo mi także, jak bardzo kosztowała go strata tego kierunku twórczych i artystycznych poszukiwań, w których „Szpital" (ale również i „Wysoki Zamek") były prawdziwymi milowymi krokami w polskim pisarstwie powojennym. Mając takie „milowe buty" musiał zmienić kierunek i iść normalnym krokiem, bocznymi ścieżkami, nieraz bardzo dalekimi od sztuki, aby zdobyć dzisiejszą sławę i poważanie.

Był na tyle dzielny i na tyle skłonny do kompromisowych poczynań, iż zdecydował się na science fiction. Walnie pomógł mu w tym oczywiście talent pisarski, jak i wszczepiona właściwie od dzieciństwa pasja badań i dociekań naukowych. Dzięki obu tym skłonnościom, science fiction w wykonaniu Lema także nabrała charakteru uniwersalnego. Nie mogąc zaatakować człowieka od strony stuprocentowej sztuki, atakował mity, pasje i marzenia istoty myślącej z pozycji poznawczych, naukowych. Pytanie, czy był w tej ostatniej i już na zawsze wybranej dziedzinie szczęśliwy, czy jakoś pogodził się z drugorzędną wspinaczką na Parnas, staje się w gruncie rzeczy czysto retoryczne, gdy pisarz ma za sobą około 40 pozycji książkowych, setki tłumaczeń i renomę światową. A jednak nie da się pominąć kwestii, kim i jaki byłby Stanisław Lem, gdyby jego „Szpital" wyszedł wtedy, kiedy wyjść był powinien i gdyby wówczas zrozumiano od razu jego wartość. Myślę – i mam po temu pewne osobiste doświadczenia z kontaktów z mistrzem czy arcymistrzem fantastyki – że wiele z jego krytycyzmu, a nawet złośliwości pod adresem kolegów-pisarzy bierze się z goryczy. Musiała się nawarstwić w jego duszy po pierwszych młodzieńczych niepowodzeniach.

Rozbrat ze sztuką stał się tym wyraźniejszy, że początkowo ten wybitny artysta, piszący głęboką prozę, był też i ciekawym poetą, twórczość poetycka wygasła jednak u Lema wraz z jego coraz to śmielszymi krokami w nieznane współczesnej fantastyki.

I tutaj, w tym właśnie momencie, pozwolę sobie na woltę, zapowiedzianą w tytule. Właściwie żadnemu z twórców fantastycznych, z wyjątkiem zarówno samego Lema, jak i Amerykanina Dicka (i to jedynie w niektórych utworach), nie udały się dojścia na Parnas. A krytyka, zarówno światowa, jak i nasza rodzima, nigdy nie przeceniała twórców fantastyki i nigdy ich nie rozpieszczała. Uważano, że nie ma prawa równać się ich z twórcami nie tylko tej miary, co na przykład Mann i Dostojewski lub co nasi nobliści, ale nawet i grubo gorszymi. Czy działo się to i dzieje w pełni słusznie? Wcale nie mam takiej pewności. Zdaję sobie jednak sprawę z przedziwnej i jedynej w swoim rodzaju przepaści między artystyczną a fantastyczną twórczością literacką. Można być wielkim pisarzem „normalnego nurtu" albo wielkim pisarzem fantastyki. Jedno wyklucza drugie. Tak mi się przynajmniej dzisiaj wydaje. Prawdziwą wielkość w każdej z wymienionych tu dziedzin osiągał tylko ten, kto był „gatunkowo czysty". Wprawdzie można by wymienić zaraz dziesiątki interesujących utworów literackich z pierwiastkami fantastyczności i niektóre utwory fantastyczne o sporych walorach artystycznych. Ale, w gruncie rzeczy, poczytność zdobyła sobie fantastyka, będąca jakby zaprzeczeniem literackości oraz literatury bez wtrętów scjentyficznych. Mógłby ktoś w tym momencie podpowiedzieć, że przecież w „Czarodziejskiej górze" Tomasza Manna scjentyficzny światopogląd odgrywa sporą rolę, ale czyż nie jest to, w tym przypadku, światopogląd wykpiony, skarykaturowany?

Z pisarzy światowych, uprawiających fantastykę, jeden jedyny Lem trafił do elity! To zjawisko ma więc charakter wyjątkowy i rodzi pytanie: czy elita ceni go za jego sztukę czy także, lub przede wszystkim, za naukę, a może za umiejętność wiązania w niektórych przypadkach w jedno spójne dzieło – i literatury, i nauki? A to już byłyby prawdziwe atuty do pozyskania przez naszego pisarza Nagrody Nobla.

Adam Hollanek

Drodzy Czytelnicy!

Proponujemy PÓŁROCZNĄ (sześciomiesięczną) prenumeratę naszych czasopism, rozpoczynającą się od dowolnie wybranego numeru. Przyjmujemy zamówienia na prenumeratę sześciu kolejnych numerów „Poradnika domowego", „Czterech Kątów", „Zwierzaków" „Fantazji", „Nowej Fantastyki" i „Bęc!" oraz na prenumeratę trzech numerów „Komiksu" i „Fenixa".

Aby zaprenumerować któreś z naszych czasopism (lub kilka jednocześnie) należy wpłacić odpowiednią kwotę (odczytaną z tabelki) na nasze konto bankowe najlepiej za pomocą przekazu zamieszczonego poniżej. Zamówione egzemplarze wysyłamy pocztą (w kopertach), korzystając z adresu podanego nam na przekazie. W cenę prenumeraty wliczyliśmy już koszty wysyłki pocztowej.

Ponieważ odcinek przekazu docierający do naszego banku jest dla nas zamówieniem, prosimy o bardzo wyraźne napisanie DRUKOWANYMI LITERAMI na wszystkich trzech odcinkach przekazu: imienia, nazwiska i dokładnego adresu z kodem pocztowym, abyśmy nie popełnili błędu adresując przesyłki. Prosimy o dokładne wypełnienie obu stron wszystkich trzech odcinków kuponu.

Osobom zamawiającym po kilka egzemplarzy każdego numeru któregoś z czasopism proponujemy BONIFIKATĘ związaną z niższymi kosztami wysyłki!

Prosimy o dokonywanie wpłat z wyprzedzeniem co najmniej czterotygodniowym. Tylko w takim wypadku możemy gwarantować terminową wysyłkę. Uwaga: wpisanie litery „N" zamiast numeru w rubryce „Od którego numeru" sprawi, że wysyłkę prenumeraty automatycznie rozpoczniemy od pierwszego numeru wydrukowanego po otrzymaniu wpłaty.

Gwarantujemy wysłanie wszystkich zamówionych i opłaconych numerów bez konieczności dokonywania dopłat w przypadku, gdy pismo podrożeje.

Uwaga: „Komiks" i „Fenix" ukazują się średnio raz na dwa miesiące, dlatego proponując półroczną prenumeratę, pobieramy opłatę tylko za trzy numery.

Przyjmujemy również zamówienia na prenumeratę zagraniczną; opłata za prenumeratę zagraniczną wysyłaną pocztą zwykłą (lądową lub morską) jest dwukrotnie wyższa od opłaty krajowej.

Prenumeratorów, do których nie docierają zamówione egzemplarze lub których zamówienia są błędnie realizowane, prosimy o zgłaszanie tych faktów listownie (Dział obsługi prenumeraty, Prószyński i S-ka, skr. poczt. 21, 02-600 Warszawa 13) lub telefonicznie (tel. 43-66-11 w. 2514 w Warszawie). Reklamacje załatwiamy niezwłocznie.

„Poradnik domowy" – cena 1 egz. w kiosku 7 000 zł
„Zwierzaki" – cena 1 egz. w kiosku 7 000 zł
„Cztery Kąty" – cena 1 egz. w kiosku 7 000 zł
„Fantazja" – cena 1 egz. w kiosku 8 000 zł
„Bęc!" – cena 1 egz. w kiosku 6 000 zł

Liczba zamawianych egzemplarzy każdego numeru	Cena 1 egz. w prenumeracie zł	Opłata półroczna (za 6 numerów) zł
1	6 000	36 000
2	5 500	66 000
3	5 000	90 000
4	5 000	120 000
5	5 000	150 000
ponad 5	4 500	

„Nowa Fantastyka" – cena 1 egz. w kiosku 12 000 zł

Liczba zamawianych egzemplarzy każdego numeru	Cena 1 egz. w prenumeracie zł	Opłata półroczna (za 6 numerów) zł
1	8000	48 000
2	7 000	84 000
ponad 2	7 000	

„Fenix" – cena 1 egz. w kiosku 10 000 zł
„Komiks" – cena 1 egz. w kiosku 12 000 zł

Liczba zamawianych egzemplarzy każdego numeru	Cena 1 egz. w prenumeracie zł	Opłata półroczna (za 3 numery) zł
1	8 000	24 000
2	7 000	42 000
ponad 2	7 000	

Prószyński i S-ka

Numer dotychczasowej prenumeraty ....

Uwagi (np. zmiana adresu) ....

	Po ile egz. każdego numeru	Od którego numeru	Opłata półroczna zł
Poradnik domowy			
Cztery Kąty			
Zwierzaki			
Fantazja			
Nowa Fantastyka			
Komiks			
Fenix			
Bęc!			
	RAZEM zł		

Prószyński i S-ka

Numer dotychczasowej prenumeraty ....

Uwagi (np. zmiana adresu) ....

	Po ile egz. każdego numeru	Od którego numeru	Opłata półroczna zł
Poradnik domowy			
Cztery Kąty			
Zwierzaki			
Fantazja			
Nowa Fantastyka			
Komiks			
Fenix			
Bęc!			
	RAZEM zł		

Prószyński i S-ka

Numer dotychczasowej prenumeraty ....

Uwagi (np. zmiana adresu) ....

	Po ile egz. każdego numeru	Od którego numeru	Opłata półroczna zł
Poradnik domowy			
Cztery Kąty			
Zwierzaki			
Fantazja			
Nowa Fantastyka			
Komiks			
Fenix			
Bęc!			
	RAZEM zł		